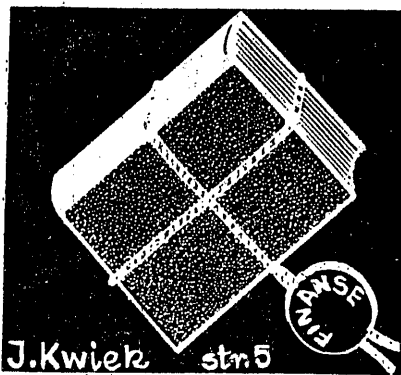




NIE „KLEPAĆ”
PODKŁADEK
NA OBRABIARKACH

str. 8



J. Kwiek str. 5

ZŁOTE JABŁKO
NA EKSPORT

J. Jurowski str. 15



A. Jędrzejczak str. 7

ŻYCIE

15 KWIETNIA 1979

ROK XXXIV

CENA 4 ZŁ

NR 15 GOSPODARCZE

MIASTO I ZAKŁAD

JACEK BOŁDOK

Puławy, miasto zaledwie od 1906 roku, pod koniec XVIII wieku i na początku XIX były fenomenem kulturalnym na skalę światową. Ta wówczas jeszcze wieś stanowiła jeden z głównych ośrodków polskiej humanistyki, nauki i myśli politycznej, nierzadko pretendowała do roli przewodniej. Rozmaicie układały się potem losy puławskich instytucji kulturalnych i naukowych. Dla obrazu współczesnych Puław ważniejsza od szczegółowej rekonstrukcji historycznej wydaje się wiedza o tym, czym miasto, pamiętające o dawnej świetności, było przez kilkanaście lat powojennych.

W YZWOLONE 25 lipca 1945 roku liczyło 9000 mieszkańców. W 70 procentach zrujnowane, dzwigało się bez ładu i składu szeregi parterowych drewniaków, przypominając ogromną wieś. Na dobrą sprawę jeszcze w roku 1937 nie było planu zagospodarowania miasta, nie było jasności, jaka przyszłość ma czekać Puławy.

W roku 1958 Lublin ośmirował Puławom pierwszy autobus. Samochód był w przededniu kasacji i do Puław nie dał rady dojechać, ale fakt odnotowano jako narodziny regionalnej współpracy.

Jakieś trzy lata później stanęła w Puławach pierwsza latarnia z oświetleniem jarzeniowym. Duże zdjęcie tej latarni symbolizowało postęp na ścieżce gabinetu przewodniczącego miejskiej rady.

Wspominam o tych, dziś już tylko zabawnych, drobiazgach, gdyż dość dobrze charakteryzują skalę ówczesnych puławskich możliwości.

„Największe w Europie”

Władze zaś były ambitne i stęsknione perspektyw. Przez „perspektywę” rozumiano wówczas tylko jedno: duży przemysł. Rozpoczęły się więc starania o przemysł.

Najpierw miała tutaj stanąć elektrownia — ta, którą potem wybudowa-

wano w Kozienicach. Potem przemieszczano się do fabryki opon — tej, która dzisiaj jest w Olsztynie. Można uznać, że święto zaczęło się 19 grudnia 1960 roku, kiedy to na posiedzeniu rady ministrów zatwierdzono lokalizację wielkich zakładów azotowych.

W 1962 zaczęto wycinać las. W 1964 na placu budowy było już 10 tys. robotników. Wtedy zyskano zupełną pewność: kiedy lokalne władze starają się o taką dużą inwestycję jak „Azoty”, analiza własnych możliwości i bilans rąk chętnych do pracy bywają dość jednostronne. Teraz pewne potężności i niedokładności w ocenie kadrowego potencjału regionu nie miały znaczenia dla losów inwestycji.

W 1966 roku PAP doniósł, że 4 czerwca w sobotę, w późnych godzinach wieczornych ruszyła pierwsza linia amoniaku i mocznika. Było to święto nie tylko puławskie.

„Połowa krajowych nawozów azotowych z Puław”, „Największe w Europie” itp. — zachwycała się prasa. Miał jakiś czas, nim w publikacjach pojawił się nowy ton, ukazywać się zaczęły artykuły zatytułowane „Racje trucicieli”. Nikt rozsądny nie negował potrzeby rozbudowy przemysłu, ale zaczęło już dostrzegać sekki hektarów zniszczonego lasu i trujący obłok, który sięgał 15–20 kilome-

trów na wschód i południowy-wschód, zagrażając dalszym 11 tys. hektarów.

Potem o „Azotach” jakby przycichło. W 1974 odnotowano, że spłacyli już swój dług inwestycyjny. Ostatnio pojawiło się słowo „kaprolaktam”, bo jego wytwórnia z trudem dochodzi do planowanych zdolności produkcyjnych. Wielki przemysł na tyle stał się faktem związanym z miastem, że nikomu nie chce się wracać do jego historii.

W roku 1955 Puławy miały 13 tys. obywateli. Najgwałtowniejszy przyrost ludności nastąpił w latach 1965–68. W tym krótkim okresie miasto wchłonęło dziesięć tysięcy nowych ludzi i liczyło już 37 tys. mieszkańców.

W czterdziestoseściu tysiącach dzisiaj Puławach planuje się, że do roku 1990 zamieszka tutaj dalsze 20 tys. ludzi.

Specyfiką powojennej industrializacji Polski, wynikającą między innymi ze skali przedsięwzięć, jest fakt, że często nie miasta budowały nowe fabryki, lecz gigantyczne zakłady przemysłowe fundowały sobie, dla swych potrzeb miasta. Tak było także w Puławach. Tyle że Puławy, co by nie powiedzieć o ich powojennej sytuacji, nie były białą plamą. Dawna świetność trwała w nielicznych, lecz znaczących dla kultury narodowej zabytkach, częściowo nawet w ludzkiej pamięci. Lokalne struktury społeczne były może małomiejszackie, ale silnie ugruntowane. W cenie była przyroda i spokój, małe radości niespiesznego rytmu życia.

W sumie doszły, by miasto miało własną twarz; stanowczo za mało, żeby w procesie zaczynających się przemian odegrać rolę partnera.

Trudne lato

W początkowym okresie kombinat zawiódł nadzieje rodowitych puławian i lata sześćdziesiąte obrodziły trudnościami.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

MASZYNY W CIENIU CHEMII

LECH FROELICH

Kiedyś maszyna to była konstrukcja z żelaza, stali, mosiądzu i brązu. Dziś, choć oczywiście przemysł maszynowy nadal stosuje te metale, jednak o nowoczesności, o technicznej doskonałości maszyn oraz innych wyrobów przemysłu elektromaszynowego w mniejszej mierze decyduje hutnictwo, a w coraz większej chemia. Można zaryzykować twierdzenie, że bez chemii przemysł maszynowy nie byłby w stanie wytwarzać nowoczesnych, konkurencyjnych, o światowym standardzie maszyn, urządzeń technicznych, samochodów, zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego. A jednak postęp techniczny i technologiczny, postęp konstrukcyjny, ten „bieg ku nowoczesności”, staje się niekiedy „biegiem z przeszkodami”. Stawia je właśnie chemia.

TO krótka relacja z rozmowy, którą przeprowadziłem z wicedyrektorem Departamentu Obrótu Towarowego i Gospodarki Materiałowej MPM, mgr. Józefem Krystosikiem:

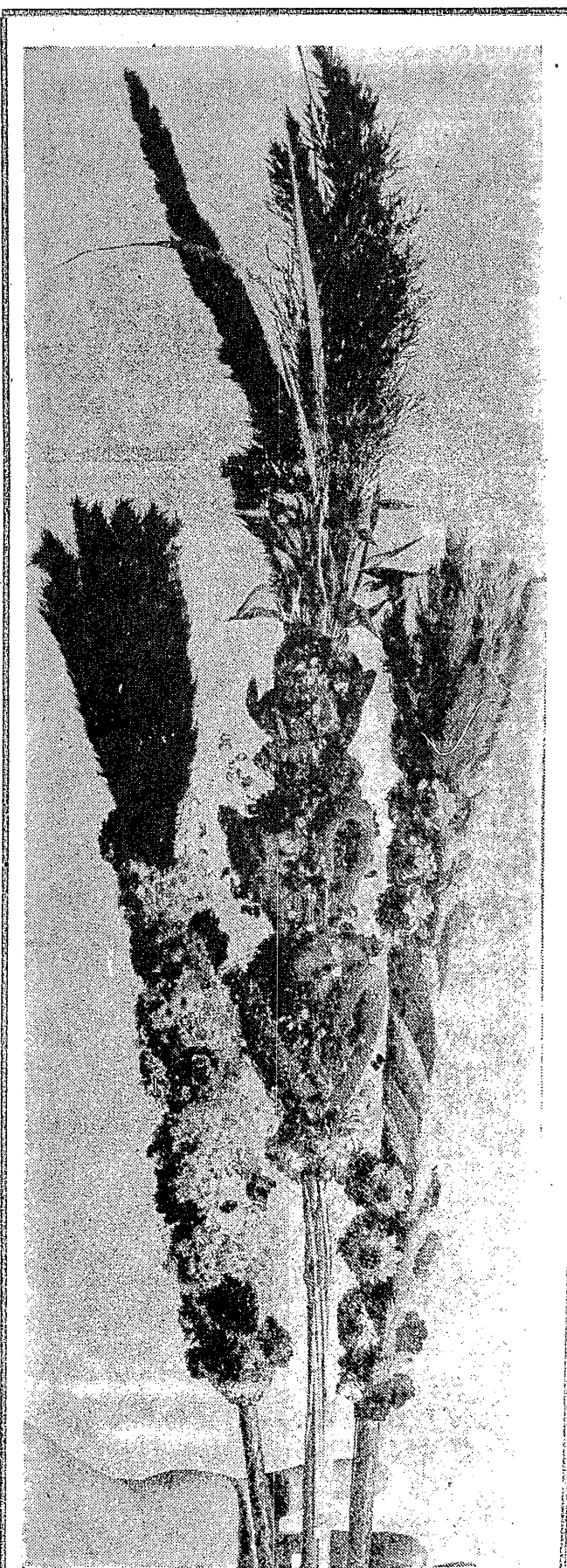
— Mówi się często, że „chemia nie nadąży”, że niedostateczne dostawy produktów chemicznych i półproduktów są w wielu dziedzinach czynnikiem hamującym rozwój niektórych dziedzin gospodarki narodowej. Sami znów chemicy uważają, że właśnie przemysł chemiczny powinien spełniać rolę swego „katalizatora” — przyspieszacza rozwoju gospodarczego.

— Przemysł maszynowy ma sporo pretensji i żalów pod adresem przemysłu chemicznego, są to jednak w znacznej mierze żale „platoniczne” — zdajemy sobie bowiem sprawę z niezwykle trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się ten przemysł. I nie chce-

my z chemii robić „chłopca do bicia”.

Przemysł maszynowy rozwijał się w ostatnich latach bardzo szybko — średnioroczne przyrosty produkcji sięgały 10–12 proc., tymczasem przemysł chemiczny wykazywał ostatnio przyrosty produkcji rzędu 6–7 proc. Szczycimy się w „maszynowiec” naszymi osiągnięciami, wysoką dynamiką produkcji, podjęciem produkcji wielu nowych wyrobów, daleko posuniętą modernizacją technik wytwarzania i konstrukcji, ale... Różne tempo rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu musiało być także źródłem określonych trudności. Wiemy następnie, że spośród nakreślonych przed siedmiu laty w Programie Chemicznej Gospodarki Narodowej z sześciu szczegółowych kompleksowych programów obejmujących ważne dziedziny ekonomiki kraju, większość środków pochłonął program

DOKOŃCZENIE NA STR. 9



Wesołych Świąt!



5 maja w Warszawie zostanie otwarta pierwsza jadalnia osiedlowa. Przed południem i wieczorem pełnić będzie rolę kawiarni.

Fot. S. ZUBCZEWSKI

Z ŻYWIENIEM BLIŻEJ KONSUMENTA

MARIAN SIKORA

W strukturze naszej sieci gastronomicznej znaczny udział mają kawiarnie i bary kawowe, a więc lokale, w których można posiedzieć, poplotkować, trudniej się natomiast pożywić. Dotychczasowy kierunek rozwoju gastronomii, stwarzający wyraźne preferencje dla lokali wysoko rentownych, poważnie zachwiał równowagę między jej funkcją żywieniową i rozrywkową.

Gastronomiczna pustka

Przywrócenie tej równowagi nie jest łatwe. Istniejąca baza materialno-techniczna gastronomii oparta głównie na sieci restauracji i barów szybkiej obsługi, a stosunkowo niewielkiej liczbie jadalni i barów mlecznych, nie stanowi dostatecznej podstawy do powszechnego świadczenia usług żywieniowych. Jednocześnie rozwijają się miasta, przybywa nowych osiedli, a liczba zakładów gastronomicznych z nowego budownictwa zdecydowanie nie nadąża za wzrostem zapotrzebowania społecznego, zwłaszcza, że trzeba likwidować sporo zakładów zlokalizowanych w starych budynkach ulegających rozbiórce, bądź nie zapewniających podstawowych warunków higienicznych. W rezultacie rozporządzamy trzy razy mniejszą liczbą miejsc konsumencyjnych w porównaniu z Czechosłowacją, Węgrami i NRD oraz dwukrotnie mniejszą niż Bułgarię.

W tej sytuacji konieczne jest zwiększenie liczby zakładów, zwłaszcza tych, w których można byłoby zjeść gorący, niedrogi posiłek.

Zasieg działań podejmowanych w tym zakresie przez „Społem” obejmuje całą gastronomię w miastach, ze szczególnym uwzględnieniem usług żywieniowych z jednej, a dynamicznym wzrostem popytu — z drugiej strony. Należą do nich szczególnie nowe osiedla; mimo założenia kompleksowego ich zagospodarowania zięją one na ogół gastronomiczną pustką. Z budżetów domowych natomiast wynika, że dla jednoosobowego gospodarstwa domowego, np. jedzenie o-biadu w domu kalkuluje się drożej niż korzystanie ze stołówki pracowniczej, nie mówiąc o ogromnym wkładzie pracy, jakiego wymaga pierwsze rozwiązanie. Niestety, w wielu przypadkach albo stołówki nie ma, albo jest do niej nie po drodze. Dużo wygodniej zjeść posiłek w pobliżu mieszkania, zatem w lokalu usytuowanym w osiedlu.

Domowe i osiedlowe

„Społem” wystąpiło więc z ciekawą inicjatywą nowego typu jadłodajni w osiedlach miejskich. Projekt przewiduje dwa typy jadłodajni: domowe i osiedlowe. Jadłodajnie domowe mają mieć do 30 miejsc konsumencyjnych, ograniczony asortyment potraw, a mieścić się w parterowych pomieszczeniach mieszkalnych, nie wykorzystanych świetlicach, klubach bądź innych wygospodarowanych lokalach. Ich usługi, ze względu na małą powierzchnię, ograniczono do minimum. Sprzedaje się w nich śniadania do bezpośredniego konsumowania lub paczkowane na wynos, dwa zestawy obiadowe do wyboru i ewentualnie kolacje. Jadłodajnie te zaopatrywane są w potrawy gotowe,

dostarczane w termosach z kooperujących zakładów gastronomicznych lub wprost z kuchni centralnych.

Placówki tego rodzaju powstają w osiedlach mniejszych — do 10 tysięcy mieszkańców. W dużych osiedlach, gdzie te małe lokaliki nie byłoby w stanie zaspokoić potrzeb mieszkańców, organizuje się tzw. jadłodajnie osiedlowe. Wielkość typowej jadłodajni osiedlowej określono na około 80–100 miejsc konsumencyjnych. W praktyce zależy ona od przeznaczonego na ten cel lokalu.

Jadłodajnie te mają powstawać sukcesywnie w dużych miastach, w aglomeracjach miejsko-przemysłowych, w centrach handlowych, w ośrodkach rekreacyjnych i w osiedlach liczących ponad 10 tysięcy mieszkańców, przede wszystkim — osiedlach nowych.

Jadłodajnie osiedlowe urządza się bądź w pawilonach wolno stojących, wybudowanych specjalnie w tym celu, bądź odpowiednio przystosowanych pomieszczeniach, pierwotnie przeznaczonych na sklepy, magazyny, wreszcie w pomieszczeniach nie-handlowych, które można adaptować na placówki gastronomiczne. Jeśli żadna z tych możliwości nie wchodzi w rachubę, a jadłodajnia jest w określonym miejscu niezbędna ze względów społecznych — będzie się przekształcać na ten cel inne zakłady gastronomiczne, np. bary uniwersalne lub restauracje.

Zasadniczą usługą jadłodajni jest wydawanie potraw do spożycia na miejscu, a zarazem sprzedaż wyrobów garmażeryjnych do sporządzenia posiłków w domu. Można tu będzie zjeść śniadanie, wybrać któryś z 3 czy 4 zestawów obiadów, w tym jeden lekkostrawny, a także dania dietetyczne. W wielu przypadkach jadłodajnie te będą pełniły rolę zakładu macierzystego, zaopatrującego w gotowe posiłki małe jadłodajnie domowe, o których wspomnieliśmy wyżej.

Zgodnie z koncepcją opracowaną w „Społem”, którą przed parą laty prezentowaliśmy już w „Życiu Gospodarczym” (nr 29 z 1973 r.), jadłodajnie osiedlowe będą lokalami o tzw. funkcji przemiennej: w ciągu dnia mają oferować gorące posiłki, a w godzinach wieczornych zamieniać się w klubo-kawiarnie, gdzie można będzie przeczytać prasę, spotkać się z przyjaciółmi i sąsiadami, a nawet zorganizować imprezę towarzyską. W zamysłu mają więc one służyć również ociepleniu stosunków sąsiedzkich w osiedlach, tworzeniu z ludźmi, związanych dotąd jedynie miejscem zamieszkania — zintegrowanej społeczności osiedlowej.

Wspólne działanie

Rok 1979 jest pierwszym rokiem realizacji wieloletniego programu rozwoju powszechnego żywienia przy pomocy jadłodajni domowych i osiedlowych. Już na wstępie okazało się, że nie będzie to zadanie łatwe, przede wszystkim ze względu na brak lokali. Przy projektowaniu wielu osiedli nie uwzględniono w ogóle usług gastronomicznych; wytyczne dla projektantów nie przewidywały budowy oddzielnych lokali na ten cel. Wprawdzie — zgodnie z obowiązującymi w projektowaniu normami — na każde 1000 mieszkańców osiedla przypadać ma 400 m kw. tzw.

powierzchni towarzyszących, ale — po pierwsze — są one często realizowane przez budowlanych z wielkim opóźnieniem, po wtóre — trudno z tej powierzchni wykreślić pomieszczenie na lokal gastronomiczny. Już sam sklep samoobsługowy pochłania średnio 100 m kw., a w grę wchodzi jeszcze żłobki, przedszkola, inne lokale usługowe.

Wychodząc z założenia, że zapewnienie mieszkańcom możliwości spożywania niedrogich posiłków poza domem jest zaspokojeniem jednej z najbardziej podstawowych potrzeb — „Społem” stara się jednak przezwyciężyć te trudności. Na podstawie porozumienia z Centralnym Związkiem Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego wojewódzkie spółdzielnie mieszkaniowe zobowiązały się przekazywać spółdzielniom spożywców odpowiednie lokale w tzw. stanie surowym oraz na koszt „Społem” wykonywać w nich odpowiednie roboty adaptacyjne. Wyposażeniem lokali zajmują się oddziały spółdzielni społemowskich. Spółdzielnie mieszkaniowe, oddając pomieszczenia na jadłodajnie, nadal pozostają ich gestorem.

Program ambitny, ale...

Dokument sankcjonujący tę pożądaną współpracę między spółdzielcami zakłada, że na każdym nowym osiedlu powinna pracować przynajmniej jedna jadłodajnia.

W bieżącym roku efektem porozumienia ma być zorganizowanie 209 jadłodajni domowych i 30 osiedlowych w blokach z nowego budownictwa. W latach 1979–1980 we wszystkich miastach wojewódzkich oraz w największych aglomeracjach miejsko-przemysłowych ma powstać 1320 jadłodajni domowych i 420 osiedlowych. W Warszawie, Katowicach, Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Gdańsku, Szczecinie i Wrocławiu, w wymienionym okresie, przewiduje się oddanie do użytku 180 jadłodajni domowych i 80 osiedlowych.

Rozmach tych zamierzeń, jakkolwiek godny uznania, budzić musi jednakże pewien sceptycyzm.

Już w samej umowie zawartej między ZSS „Społem” a CZSBM niektóre sformułowania brzmią dość enigmatycznie. Spółdzielczość mieszkaniowa zobowiązuje się do przekazywania pawilonów na jadłodajnie osiedlowe w miarę posiadanych warunków; o lokalach na jadłodajnie domowe nie mówi się w tym dokumencie nawet w podobnie mało wiążący sposób. Toteż na razie jadłodajnie osiedlowe powstają głównie drogą modernizacji i przeprofilowania już istniejących zakładów gastronomicznych. Przyjęto, że w całym kraju jadłodajnie powinny występować pod tą samą nazwą, mieć jednolity charakter, tę samą kategorię handlową, wyposażenie w sprzęt techniczny, system zaopatrzenia oraz organizację produkcji kulinarnej. Słowem — mają to być lokale standardowe, realizacja idei masowego żywienia, dostępnego dla niezamożnych kieszeni, musi się bowiem łączyć z oszczędzaniem gospodrowaniem środkami na ten cel.

Nie ulega wątpliwości, że o realizowaniu przez wojewódzkie spółdzielnie mieszkaniowe postanowień umowy zawartej między ZSS „Społem” a CZSBM zadecyduje w ogrom-

nej mierze postawa władz terenowych. Nacisk ze strony społeczności osiedlowych, reprezentowanych przez komitety mieszkańców sprzyjać będzie realizacji przez te władze przychylnego jadłodajniom osiedlowym stanowiska. Co więc trzeba zrobić, aby władze terenowe istotnie odczuły ten nacisk?

A jednak — wszystko w rękach „Społem”

Pomysł zwiększenia liczby jadłodajni, w których można stawić się na co dzień po cenach przystępnych oraz maksymalnego przybliżenia ich do miejsca zamieszkania potencjalnych konsumentów jest ze wszech miar słuszny i trafny. Eliminując pracochłonne przygotowywanie posiłków w domu i trud związany z tym zakupów, jadłodajnie osiedlowe mogłyby uwolnić wiele kobiet od wielogodzinnej, wyczerpującej krzątania domowej. Rzecz jest tym bardziej potrzebna, że nowe osiedla zamieszkuje w większości młode małżeństwa, które — jak wynika z badań nad czasem zajęć domowych — (Z.G. nr 11 z 1979 r.) — odczuwają szczególnie mocno uciążliwość i bezsensu nieustannej krzątania przy garnkach.

Jadłodajnie w osiedlach nastawione na codzienne żywienie mieszkańców nie mają jednakże tradycji. Nie można rościć o ich przyszłości na podstawie nikłej praktyki nielicznych zakładów tego rodzaju funkcjonujących do tej pory. A o tym, czy się przyjmą, czy staną się — jak to jest w założeniu — najbardziej potrzebnymi przybytkami gastronomicznymi decyduje to, jakie będą — czy istotnie można będzie w nich jadąc smacznie i niedrogo w schłodzonych pomieszczeniach i przyjemnej atmosferze, jeśli pierwsze jadłodajnie okazały się właśnie takimi, niewątpliwie powstanie wielki nacisk społeczny na otwieranie nowych w innych osiedlach.

Centralne władze spółdzielczości spożywców zdają sobie sprawę, jak wiele tu zależy od takiego startu. Wytwarzając ogólne kierunki działania, liczą na solidne działanie i pomysłowość wojewódzkich spółdzielni, które zdecydowały o modelu gastronomii osiedlowej. Te ostatnie z kolei oczekują pomocy od komitetów osiedlowych, zarówno w uzyskaniu odpowiednich pomieszczeń, jak też określaniu potrzeb mieszkańców poszczególnych osiedli.

Nie bez znaczenia jest fakt, że w jadłodajniach osiedlowych mogą znaleźć pracę zainteresowane osoby spośród samych mieszkańców osiedli. Bliska odległość niejednej kobiecie zmuszonej pozostawać dotąd w domu pozwoli łączyć pracę domową z zawodową. Im też szczególnie powinno należeć na tym, aby jadłodajnie jak najprędzej zdobyły uznanie.

Skutki opisanych tu poczyniń, zmierzających do pogodzenia gastronomii z szerokimi kręgami społeczeństwa, odcieplą dotąd od możliwości częstego korzystania z jej usług, wkrótce będą mogli ocenić konsumenci. Plany rozwoju jadłodajni domowych i osiedlowych przedstawiają się dobrze, ale jak wypadnie ich realizacja trudno na razie przewidzieć. W każdym razie — żyjemy powodzeniem!

listy

Stowarzyszenia wytwórcze

Idea spółdzielni wytwórczych opartych na samorządzie jest w praktyce trudna do zrealizowania.

Jest może paradoksem, ale istniejące obecnie spółdzielnie pracy funkcjonują, niektóre nawet bardzo dobrze, właśnie dlatego, że nie posiadają samorządu. Spółdzielnie te stały się właściwie przedsiębiorstwami państwowymi, gdzie istotne decyzje zapadają poza spółdzielnię. Przyczyną podstawową jest wadliwa organizacja władz spółdzielni, brak należytego funkcjonowania rady nadzorczej i walnego zgromadzenia. W spółdzielniach tych zachodziła konieczność interwencji z zewnątrz, a że taka interwencja dawała rezultaty, z czasem zostało to zaakceptowane jako działalność normalna. Wydaje się jednak, że idea spółdzielczości wytwórczej można realizować inaczej niż przez spółdzielnie pracy.

Członkami takiego stowarzyszenia mogłyby być pracownicy oraz ich rodziny, emeryci i inne osoby związane z realizacją celów stowarzyszenia. Stowarzyszenie byłoby zarządzane przez samorząd, tj. przez władzę wykonawczą, sądowniczą i ustawodawczą.

Samorząd stowarzyszenia realizowałby swe zadania przez zakłady produkcyjne i usługowe (spółki pracy i agencje). Zakłady te miałyby określony zakres samodzielności w razie potrzeby tworzyłyby grupowania branżowe. Istniałaby wówczas szersza możliwość tworzenia nowych zakładów. Zostałby zahamowany pęd do jednorodnej produkcji — nie zawsze gospodarczo uzasadnionej. Istniałaby możliwość rozwoju produkcji nietypowej.

Rada nadzorcza stowarzyszenia byłaby tą władzą, która by przejęła uprawienia rad nadzorczych spółdzielni pracy, jak również mogłaby przyjąć większość uprawnień związków rewizyjnych. Trzeba pamiętać, że rada nadzorcza musi być przygotowana do reprezentowania interesów ogólnogospodarczych, państwowych, a jednocześnie nie zapominać, że reprezentuje interesy członków spółdzielni, co w pewnych przypadkach może być dla rady nadzorczej nielatwym zadaniem.

W stowarzyszeniu wytwórczym nie powinna się powtórzyć taka sytuacja, jaką możemy zaobserwować w spółdzielniach pracy, gdzie walne zgromadzenie jest tylko formalnym zebraniem. Podstawowym zadaniem rady nadzorczej byłoby uświadomienie członków o ich prawach, przeprowadzenie odpowiednich wyborów delegatów, a następnie przywrócenie walnemu zgromadzeniu odpowiedniego znaczenia i prestiżu. Wydaje się, że tego rodzaju organizacja oparta na samorządzie zmniejszałaby rozwarstwienie na „rządzących” i „rządzonych”, uzyskane by przejęły informacje z dołu do góry, a przede wszystkim uzyskane by współpracę pracowników w realizacji celów stowarzyszenia. Zakłady pracy uzyskałyby większą autonomię w organizowaniu swej pracy.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć przykład z terenu. W Gdańsku działa Wojewódzka Spółdzielnia Pracy Usługowej, skupiająca następujące specjalności: pralnicza, drzewna, fryzjerska, kosmetyczna, fotograficzna, remontowo-instalacyjno-porządkowa, komunikacyjna, radiowo-telewizyjna, sztalnicza, ściemniarska, naprawa sprzętu gospodarstwa domowego. Należy postawić pytanie, czy te względnie organizacyjne nie lepsze byłoby stowarzyszenie wytwórcze i czy temu stowarzyszeniu nie można by powierzyć zakładów produkcyjnych różnych branż?

ANDRZEJ GRODECKI
Sopot

„Krakbud” buduje — „Hydrobudowa” paluje

W nr 9/1979 „Z.G.” zamieszczony został artykuł red. Aleksandra Jedrzejskiego pt. „Zagubiony priorytet”, zawierający krytykę Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Krakbud” szczególnie w odniesieniu do realizacji zadań inwestycyjnych w Krakowskich Zakładach Armatur. Na wstępie pragnę wyjaśnić, że decyzje strategiczne w sferze przyjmowania limitów i określania ich wielkości na poszczególne lata nie są podejmowane przez nas, zatem w tym zakresie przypisywanie nam roli „podcinającego gałąź, na której siedzi budownictwo” jest nieporozumieniem zupełnie zasadniczym. Ustosunkowuję się więc do tych zarzutów, które dotyczą niewykonania przez nas robót ustalonych rocznymi planami. Muszę przy tym uzupełnić materiał faktograficzny, jakim dysponował autor artykułu.

Sprawa pierwsza — to konieczność posiadania funduszy na nowe budowane obiekty na palach. Warunki gruntowe zasyszalizowały tę konieczność rysowaniem i pęchaniem starej hali. Projekt — opracowany przez BPWO „Prodiar” — mógł stanowić podstawę do wyko-

nia robót palowania dopiero po zweryfikowaniu go przez specjalny zespół weryfikacyjny, co trwało do końca roku 1974. Dopiero w styczniu 1975 r. można było zawrzeć umowę z „Hydrobudową” na wykonanie palowania pod kotłownię, a w marcu 1975 r. umowę na palowanie pod halę.

Tym samym przyczyna niewykonania limitów w 1974 r. była absolutnie nie po naszej stronie. Po rozpoczęciu robót palowania ujawniły się kolejne różne elementy podziemnego uzbrojenia terenu (głównie wodociągowe i kanalizacyjne), które musiały być przełożone, by można było prowadzić palowanie.

Zadanie to powierzono Przedsiębiorstwu Zmechanizowanych Robót Inżynierskich. Należy przy tym podkreślić, że były to roboty prowadzone w warunkach niepełnego rozrządzenia uzbrojenia, co wymagało szczególnej ostrożności, uniemożliwiało szerokie rozwinięcie frontu robót i ich mechanizację.

Nierozważanie przez biuro projektów i inwestora gospodarki podziemnej najlepiej ilustruje fakt, że ustalony początkowo zakres robót PZRI wzrósł w ciągu realizacji aż trzykrotnie. Oznaczało to zarazem wydłużenie okresu ich prowadzenia, a tym samym odsuwanie w czasie możliwości realizacji robót palowania. W rezultacie roboty te zakończono zostały dopiero w III kwartale 1976 r.

Dopiero zakończenie palowania otworzyło możliwości rozwinięcia głównych robót, tj. właściwych konstrukcji budowlanych — żelbetonowych i stalowych. Jak potwierdzają dane przytoczone w artykule, to otwarcie frontów zostało przez nasze przedsiębiorstwo natychmiast wykorzystane, skoro w samym roku 1977 wykonaliśmy zadania tej wielkości co łącznie w poprzednich dwu latach.

Również w roku 1978 — mimo zarzucanego nam przesunięcia części potencjału na budownictwo mieszkaniowe — wykonaliśmy aż 124 proc. zadań zaplanowanych dla Krakowskich Zakładów Armatur. Zrobiliśmy więc wszystko, by złagodzić skutki poprzedniej, nie przez nas zawiniętej zwłoki.

Przekraczanie zadań w budownictwie przemysłowym przestało być tytułem do dumy, obecnie obowiązujące dyscyplina wykorzystania limitów, sąd obawy autora artykułu co do realności terminu 30.VI.1980 r. — w świetle sygnalizowanego podziału limitów na lata 1979/80 — są w pełni uzasadnione. Dopóki nie w tej materii nie należą jednak do nas.

Przypuszczamy, że inwestor nie dostarczył autorowi artykułu pełnych informacji, co spowodowało błędny wydział, jakoby „Krakbud” był sprawcą i winowajcą przewlekłej realizacji ważnego zadania. Krzywdzi to nieraz naszą pracę, zwłaszcza w aspekcie trudnych warunków robót, a także w aspekcie podejmowanych i realizowanych w całą ambicją zobowiązań.

mgr inż. JANUSZ ROGATKO
dyrektor
KPB „Krakbud”

Rotacja opakowań

Produkcja opakowań z tworzyw sztucznych nie jest ani łatwa, ani tania. Surowce niekiedy kupowane są za „ciężką” dewizę.

Dlatego więc nie prowadzi się skupu choćby niektórych opakowań? Czy tak trudno jest zorganizować np. skup butelek po szampanie do wódek, samochodów, środków chemicznych, do mycia naczyń kuchennych itp.?

Proponuję, aby powierzyć to zadanie rencistom lub innym osobom, posiadającym odpowiednie pomieszczenia do magazynowania opakowań, dostarczając im gotowe wyroby, które będą mogli wymienić w zamian za pusze opakowania. Np. za sześć pustych butelek po szampanie do wódek klient otrzymywałby jedną butelkę szampanu. Rzecz w tym, by obrót tymi opakowaniami nie obrósł w nadmierną biurokrację. Oplatą byłoby się do wszystkich. Czy tak trudno to zorganizować? Odezwij się „Pollen”.

J. PISAREK
Piotrków

„Helios”

Są jeszcze zakłady w Polsce, które serio traktują zasadę „klient nasz pan”. Do takich przedsiębiorstw z powodzeniem można zaliczyć Bydgoską Fabrykę Mebli. W lutym br. zakupiłem komplet mebli stołowy i sypialny pn. „Helios” — produkt wyntenionej fabryki; meble są wyjątkowo wykonane, trwałe i solidnie wykonane. Jednak w pierwszych tygodniach użytkowania zaczęliem jedną z oryginalnych kluczyków oraz niegł zadrapaniu lakieru na szafie.

Zwróciłem się więc do dyrektora Bydgoskiej Fabryki Mebli i natychmi-

DOKONCZENIE NA STR. 4

DOKONCZENIE ZE STR. 3

ią prośbę, aby mi wskazano placówkę, w której mógłbym kluczki dokupić. Proszę sobie wyobrazić, że po tygodniu nadeszła z Bydgoszczy paczuszka, a w niej gratis dwa kluczki i słoik lakieru oraz życzenia pomysłowego używania ich wyrobu. Redakcja „Z.G.” zgodzi się ze mną, że jest to ewenement w dzisiejszych stosunkach fabryka—klient. Chciałbym serdecznie podziękować załozce Bydgoskiej Fabryki Mebli za ładny wyrób i życzliwe potraktowanie mojej prośby.

WŁADYSŁAW WIERSZKO
Sosnowiec

Eksportowe oferty

Województwo pilskie odgrywa coraz większą rolę w produkcji eksportowej. Do głównych eksporterów należą: Chodzieskie Fabryki Porcelany i Porcelitu, Fabryka Żarówek „Polam” w Pile, Huta Szkła-Ujście, „Predom-Wromet” i „Spomasz” we Wronkach, „Rofama” w Rogoźnie, „Meblomor” w Czarnkowie oraz Zakłady Przemysłu Lekkiego w Okonku.

W Zakładach Sprzętu Oświetleniowego „Polam” eksport ma stanowić 1/3 ogólnej wartości produkcji. W bieżącym roku z tam produkcyjnych fabryk zeszło już milion żarówek do lamp domowych, luminescencyjnych oraz samochodowych.

Zadania eksportowe Huty Szkła w Ujściu przewidują sprzedaż butelek wartości 10,3 mln zł dewizowych, głównie do krajów kapitalistycznych.

Fabryka Maszyn Rolniczych „Rofama” w Rogoźnie zamierza także w bieżącym roku utrzymać wysoki poziom eksportu. Wartość dostaw do Jugosławii, NRD i ZSRR przekroczy kwotę 200 mln zł dewizowych.

Fabryka Maszyn i Urządzeń Przemysłu Spożywczego „Spomasz” we Wronkach w ubiegłym roku podniosła poziom eksportu o 14 proc. i weszła ze swymi wyrobami na nowe rynki. Np. dla Filipin wyprodukowano zestaw maszyn do przerobu kukurydzy i maniołu, a do Grecji wysłano linie do wyrobu mączki rybnej. Tegoroczna oferta eksportowa, wyższa o 7 proc. niż w ub.r., została w całości zatwierdzona.

JOZEF KOZAK
Pila

O-de-kolon w Platerowie

Koło ZBoWiD z Platerowa od dłuższego już czasu prowadzi kampanię o polepszenie zaopatrzenia gminy — m. in. w wyroby kosmetyczne. Oto odpowiedź Zjednoczenia Przemysłu Chemii Gospodarczej „Pollena”:

Zakłady produkcyjne zgrupowane w naszym zjednoczeniu wykonują dostawy artykułów perfumeryjno-kosmetycznych i chemii gospodarczej do punktów odbioru (hurtowni) RSW „Prasa-Książka-Ruch” na podstawie umów o dostawy towarów, zawieranych na okresy kwartalne między bezpośrednimi producentami a Centralą Handlową RSW „Prasa-Książka-Ruch”, bądź na podstawie dodatkowych zamówień składanych przez podległe przedsiębiorstwa. Zaopatrzenie sieci detalicznej „Ruch” prowadzi właściciel terenu hurtowni RSW „Ruch” w ramach dostaw otrzymywanych od producentów.

Formalną podstawą wykonania dostaw jest zamówienie odbiorcy, określające warunki dostawy i płatności za towar. Przemysł nie realizuje zamówień pojedynczych punktów sprzedaży detalicznej nie mających potwierdzenia odpowiedniej hurtowni. Wysłanie zamówienia (z dn. 5.XI. 1978 r.) bezpośrednio przez punkt sprzedaży w Platerowie z pominięciem jednostki powołanej do dystrybucji towaru w ramach podległej sieci było przyczyną jego niewykonania.

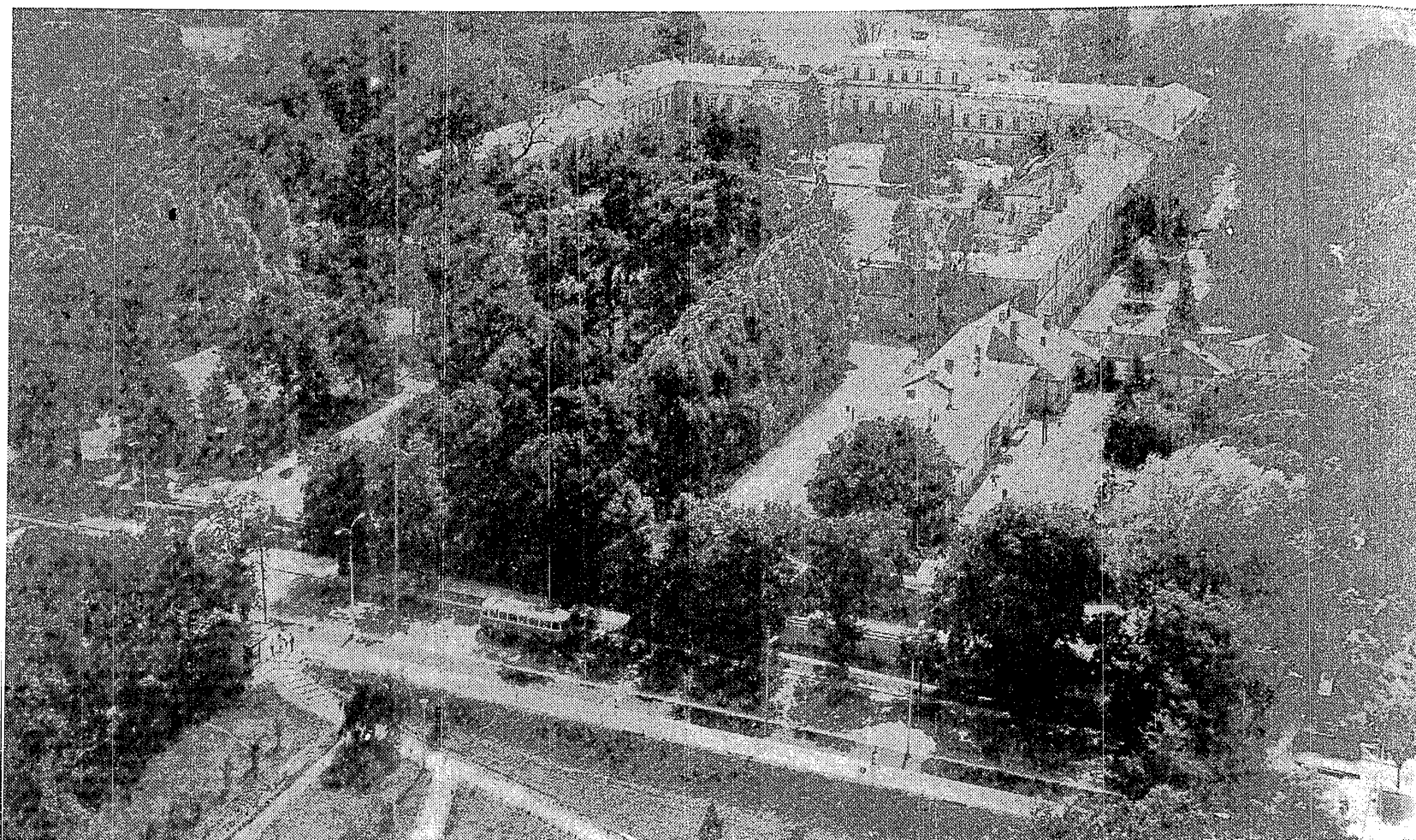
Fabryka Kosmetyków „Pollena-Uroda” wyjaśnia wyczerpująco w piśmie do Koła ZBoWiD w Platerowie oraz do Oddziału RSW „Ruch” w Białej Podlaskiej, od którego producent w dalszym ciągu oczekuje (potwierdzenia) zamówienia na proponowane artykuły.

Pragniemy zaznaczyć, że żywo interesują nas sygnały z rynku zarówno o stanie zaopatrzenia, jak też o jakości produkowanych artykułów, które wykorzystujemy bieżąco w naszej działalności.

Mamy nadzieję, że przedstawione przez nas oraz przez FK „Pollena-Uroda” wyjaśnienia naświetlają zaistniałe nieporozumienie, za które przepraszamy.

mgr TADEUSZ MIGDAŁ

z-ca nacz. dyr. d.s. ekonomicznych
ZPCCh „Pollena”



„Dawna świetność Puław trwa w nielicznych, lecz znaczących dla kultury narodowej zabytkach”

Fot. CAF

MIASTO I ZAKŁAD

DOKONCZENIE ZE STR. 1

Przed wszystkim brakowało mieszkań. Kiedy wcześniej robiono optymistyczne bilanse rąk chętnych do pracy, by zyskać jeszcze jeden argument w przetargu lokalizacyjnym, w minimalnym tylko stopniu uwzględniono strukturę wykształcenia potencjalnych robotników w stosunku do potrzeb nowoczesnych zakładów. Gdy przyszło do rozwijania produkcji, okazało się, że na miejscu nie ma ludzi o odpowiednich kwalifikacjach, trzeba było pracowników ściągać z całej Polski. Rzecz jasna — oni dostawali mieszkania w powstających osiedlach. Nadzieje rodowitych puławian, którzy też mieszkali w trudnych warunkach, w tym bardzo ważnym punkcie spaliły na panewce.

W nowych osiedlach oddawano przede wszystkim do użytku mieszkania, infrastrukturę odkladała na później. Przybywało więc gwałtownie ludzi, ale nie towarzyszyła temu proporcjonalna rozbudowa sieci sklepów, placówek usługowych itp. W roku 1960 na jeden sklep przypadało 160 osób, w 1970 — 272. W mieście żyło się mniej wygodnie.

Kadra sterująca procesami rozwoju miasta do roku 1965 nie dysponowała żadnym doświadczeniem, jak organizować zakrojone na taką skalę i w takim tempie przedsięwzięcia urbanistyczne i demograficzne. Rodziły się kolejne pomysły, coraz odmiennie, z których każdy następny wyrażał raczej brak jakiegokolwiek koncepcji.

Dzielnica składowo-przemysłowa skutecznie odcięła miasto od Wisły. Z okresu, gdy wyobrażano sobie przyszłość miasta jako przykładowego osiedla, pozostała dzielnica koszarowych czynszówek. Układ przestrzenny zdaje się wskazywać, że przeoczone jak gdyby problemy komunikacyjne. Do dzisiaj Puławy nie mają logicznie ukształtowanego centrum.

Każdy architekt i urbanista z prawdziwego zdarzenia marzy o tym, żeby chociaż raz w życiu mieć taką szansę: zaprojektować miasto od nowa, nadać mu własną twarz. W tym samym okresie budowy Puław nie byliśmy przygotowani do wykorzystania takiej szansy.

Zarzewiem najostrzejszych konfliktów były sprawy wywłaszczeniowe. Pod owe osiedla potrzebne były tereny. Można dyskutować, czy szczęśliwsze decyzje lokalizacyjne pozwoliłyby uniknąć przesiedlenia pewnej ilości właścicieli domków jednorodzinnych, faktem jest, że racje wywłaszczanych spotykały się z kategorią odprawą, że piętnowani byli jako wrogowie postępu, sprawy operowały się o najwyższe instancje państwowe.

Czaso to zdawałoby się niedawne, ale przecież pewne decyzje można wytłumaczyć tylko takim zafascynowaniem słowami „industrializacja”, „urbanizacja”, taką wiarą, iż są to wartości same w sobie, z jaką dzisiaj raczej trudno się spotkać. Przez fragment puławskiego parku, który należy do zabytków klasy zerowej, postanowiono (do dziś do końca nie wiadomo, kto postanowił, jest tylko decyzja konserwatora wojewódzkiego) przeprowadzić ulicę. W obronę parku zaangażowały się wówczas największe autorytety naszego życia

kulturalnego, z profesorem Lorenzem na czele. Bezskutecznie. Po tej przegranej batalii o park profesor Michał Strzemiński z IUNG, ówczesny prezes Towarzystwa Przyjaciół Puław, zrezygnował ze swej prezesury.

Obecność wielkich zakładów azotowych nie mogła pozostać obojętna dla okolicznej przyrody. Setki hektarów lasu uległy całkowitej zagładzie, tysiące uciepiali, klimat przestał być głównym walorem Puław. Oto kolejny powód zadrzań i dyskusji, zwłaszcza że szkody powstawały nie tylko z przyczyn obiektywnych — okresowo troska o plan bywała silniejsza niż obawa przed zniszczeniem okolicznej przyrody.

W rozmaity sposób dawała o sobie znać pogłębiająca się dezintegracja społeczna, zanik lokalnych więzi i autorytetów. Na przykład: między rokiem 1960 a 1972 czterokrotnie wzrósł współczynnik rozwodów, który wcześniej był znacznie niższy od średniej ogólnej.

W triumfalnym pochodzie przemysłu i urbanizacji przez nasze ziemie w latach powojennych Puławy nie stanowiły wyjątku.

Jak długo pamiętać?

Nad drzwiami Domu Gotyckiego, gdzie w roku 1809 utworzono pierwsze w Polsce muzeum historyczne, wyrzuty jest napis „Oby od tam zyciostwa nasze zatrzeć mogły pamięć kłeski doznanych”. Trudno powiedzieć, w którym momencie zwycięstwa zaczęły zacierać w Puławach pamięć pokłęk i czy pora już całkiem zapomnieć.

W 1962 roku ośrodek badania opinii publicznej w owym „mieście emerytów”, jak wówczas zwano Puławy, przeprowadził ankietę, zadając mieszkańcom między innymi dwa pytania: Czy zadowoleni są z tego, że mieszkają właśnie w Puławach? Czy zadowoleni są ze swojej pracy?

Ogromna większość zapytanych na jedno i drugie pytanie odpowiedziała twierdząco.

Ostatnio nikt takich badań nie prowadził. Ale kiedy w rozmowie z naczelnikiem miasta, Zygmuntem Czajkowskim, pytam czy podobają mu się dzisiejsze Puławy, słyszę: „Musza”. Oczywiście, zastrzega zaraz, że to żart.

Na ile dzisiejsze Puławy mogą się podobać? Jak dalece błędy popełnione w okresie pospieszonej urbanizacji zaciążyły nad obliczem miasta? Jakich korzyści Puławy doczekały się w końcu tak chętnie wychodząc naprzeciw wielkiemu przemysłowi? Kiedy się wjeżdża autem od strony Żyrzyna, gdyby nie tablica informacyjna u wlotu do miasta, trudno byłoby się zorientować, że jest tu w ogóle wielki przemysł. Oddzielenie zakładów ponad trzykilometrową barierą leśną okazało się pomysłem bardzo szczęśliwym. Podobno, gdy wjeżdża się koleją, widok jest mniej zachęcający i zakład rekultywacji w IUNG-u będzie miał zajęcie na dobrych parę lat. Szkodliwe emisje pyłów, choć zdrowia nie przysiadają, są jak na razie wielokrotnie niższe od norm sanitarnych.

IUNG, czyli Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, jest jedną z czterech naukowych placówek Puław. Niewiele jest czterdziestolecnych miast, które mogłyby się pochwaląc taką koncentracją kadry naukowo-badawczej.

Mnie się to podoba, działacz Towarzystwa Przyjaciół Puław narzeka, że to nie to, gdyż nie udaje się ciągle odrodzić tradycji wielkiej aktywnej humanistyki, między innymi dlatego, iż strzywdono miasto nie lokując tutaj nadto uniwersytetu...

Podoba mi się także Towarzystwo Przyjaciół Puław, które skupiając około 250 członków prowadzi dość szeroką i wszechstronną działalność kulturalną. Organizuje sesje naukowe poświęcone miastu, rozwija działalność edytorialną, starając się przy tym godzić interesy tradycji i współczesności, zainicjowało Dni Puław, imprezę kulturalną o sporym ciężarze gatunkowym, wymyśla kluby piszących robotników i patronuje wielu innym jeszcze poczynaniom istotnie ożywiających kulturalny pejzaż miasta...

Obecna architektura Puław to konglomerat rozmaitych tendencji ożywiających nasze budownictwo od roku 1960. Jest to w zasadzie brzydota swojska, bo jednakowo powielona w całym kraju, więc zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić. Przy czym — im osiedla młodsze, tym sensowniej, a rany, te najdotkliwsze, są mało widoczne, gdyż zdążyła je przykryć zielen. Przybyłszy z zewnątrz trudno się tu dopatrzeć horroru. Rzeczywiście, kłopotliwe jest odnalezienie nie w pełni jeszcze zarysowanego centrum, ale jest to właśnie szansa, którą się chce wykorzystać.

W tej chwili Puławy przeżywają okres kolejnego przyspieszenia budowlanego. W 1976 oddano 133 nowe mieszkania, w tym roku będzie ich blisko siedemset.

Czy tu można żyć wygodnie? Chociaż centrum handlowo-usługowe jest ciągle w planie, wskaźnik liczby mieszkańców na sklep powrócił

już do stanu sprzed roku 1960. Zresztą niełatwo jest powiedzieć, jakie wskaźniki są tutaj miarodajne, gdyż odzwierciedlają one przede wszystkim nowe aspiracje miasta, które ma silne pretensje do wielkomiejskości.

Narzeka się więc, że za mało sklepów, ale w sklepach, jeśli nie liczyć mięsnych, nie ma kolejek. Mówi się, że usługi są niewystarczające, ale głównie decyduje o tym niedostatek infrastruktury osiedlowej. Tonem pretensji wymienia się liczbę 30 autobusów komunikacji miejskiej, podczas gdy określona norma przewidywała 55, ale jeszcze parę lat temu Puławy w ogóle nie miały miejskiej komunikacji. Problem raczej polega na tym, że miasto dostaje autobusy już wysłużone.

Wydaje się to paradoksalne, ale rzeczywiście są kłopoty z pracą. Przy ponad 25 tys. zatrudnionych w gospodarce społecznej, w tym ok. 5 tys. dojeżdżających — jednocześnie brakuje pracy dla kobiet. Przeważnie legitymujące się wykształceniem średnim ogólnym lub zawodowym, nie chcą podejmować prac fizycznych wymagających niskich bądź żadnych kwalifikacji. Innych natomiast miasto w tej chwili nie może zaoferować, przynajmniej w skali rozwiązującej zagrągnięciem. (Rozwiązaniem, ale dopiero za lat kilka, mają być duże zakłady mleczarskie, krawieckie i pracy chronionej).

Co najciekawsze, do całkiem zamkniętej już przeszłości zdają się należeć podziały puławian na „starych” i „nowych”. Dwudziestolatki, z którymi rozmawia się na ten temat, w ogóle już nie chwytają, o co chodzi. Przestała istnieć opozycja „zakłady” — „miasto”. Jest tak oczywiste, że największa fabryka w mieście stała się naturalnym mecenasem pewnych

poczniań, zwłaszcza gdy trzeba sięgnąć do kiesy, iż z różnych stron sięgają się tylko pretensje, że sięga nie dość szybko, jakby to był jej przyrodzony obowiązek. Pierwszego wieloletniego dyrektora puławskich „Azotów”, Mieczysława Kołodzieja, wspomina się niczym męża opatrzcowskiego regionu w tak różnych środowiskach, że ogarnia zdumienie. Jedni mu pamiętają obiekty socjalne, historycy sztuki i miejscowi plastycy do dziś z rozrównieniem wspominają zrozumienie, jakie wykazywał dla „sztuki w środowisku wielko-przemysłowym”, i to, co szło za tym zrozumieniem...

W 1973 chyba roku czytałem książkę Ireny Nowakowskiej „Robotnicy w uprzemysławianym się mieście”, poświęconą Płockowi. Szkoda, że nikt podobnych badań nie prowadził w Puławach, które mogą być obiektem bodajże ciekawszym, gdyż w mniejszym mieście pewne procesy łatwiej jest dostrzec w formie niemal laboratoryjnej. Dziennikarz nie ma możliwości, by prześledzić meandry przemian świadomości zbiorowej, co najwyżej może niekiedy otworzyć usta, gdy spotka się z jednostkowym efektem procesów integracyjnych.

Kiedy wjeżdżałem, działacz Towarzystwa Przyjaciół Puław, jednocześnie „gniewny” poeta, który na wizytówce kazał sobie wydrukować „Towarzystwo Ochrony Sensu”, wygłosił stosowną listę żądań pod adresem przemysłu i tego, co on niszczy, i tego, czego nie zniszcza. Udał się ze mną do Introligatorni, by mi wręczyć świeżutki, dopiero oprawiany tom „Studiów Puławskich” wydany nakładem TPP, w której to książce nieźle dostaje się także Zakładom Azotowym. Introligatornia oczywiście, należała do Zakładów Azotowych.

18 — 19 KWIETNIA 1979

DOM TECHNIKA NOT, ul. Stalingradzka 5/8, Poznań

POLITAR 79

Kolejna oferta Politechniki Poznańskiej pod hasłem:
„Oszczędzaj surowce, materiały i energię — uzyskuj
najwyższą jakość”

Ponad sto gotowych możliwości do zastosowania
w budownictwie, chemii, elektronice i mechanice.

Program imprezy oraz katalog ofert przesyła wszystkim zainteresowanym:

Biuro Koordynatora d/s Badań Naukowych
i Współpracy z Przemysłem
Pl. M. Skłodowskiej-Curie 5, 60-965 Poznań
Politechnika Poznańska

5-12

W INTERESIE CZYTELNIKA

JOANNA KWIEK

W dyskusji na temat przyczyn dotkliwego braku książek na plan pierwszy wysuwają się dwa problemy: zbyt szczupłych przydziałów papieru na cele wydawnicze oraz niewystarczających zdolności przemysłu poligraficznego. Są to bez wątpienia sprawy najsilniej determinujące możliwość zwiększenia liczby ukazujących się książek.

Alte bariery i progi tkwią także w ekonomice i organizacji na wszystkich etapach powstawania książki. Różnej natury, mają wszakże wspólną cechę: nie sprzyjają racjonalnemu, to jest najbardziej słusznemu z punktu widzenia potrzeb społecznym, wykorzystaniu tych deficytowych dóbr.

JAKIE są te potrzeby społeczne? W warunkach ograniczonych środków jest to pytanie przede wszystkim o hierarchię potrzeb, czyli o priorytety. Wydawcy prezentują tutaj dwa punkty widzenia. Po pierwsze muszą być książki należące do klasyki literatury światowej i rodzimej, bo bez tego nie wychowamy nowego pokolenia na ludzi. Drugi przedstawia rację równie trudną do odrzucenia: dlaczego wydawca ma wybierać książki zamiast czytelnika? Niechże ten ostatni wejdzie do księgarni i sam się rozejrzy za tym, co mu odpowiada. Chodzi tutaj zatem o jak najszerzą reprezentację tytułów i autorów.

Wydawnictwa w praktyce starają się godzić obydwa stanowiska. Pamiętając przy tym, że ich rola to nie tylko uwzględnienie potrzeb i gusty czytelników, ale także kształtowanie, że są organizatorem rynku czytelniczego, ale także autorskiego — więc dbać muszą nie tylko o utwory znanych i lubianych, ale także dawać szansę debiutantom.

Program wydawniczy kształtują jednak nie tylko tego typu sprawy. Wydawnictwa nie są instytucjami charytatywnymi i muszą być rentowne. Wynik finansowy wydawnictwa jest zadaniem planowym i od jego wykonania zależy premia dla instytucji. Można zaważyć plan tytułów i wysokość nakładów — ale zysk być musi.

Między zyskiem a stratą

Wynik finansowy wydawnictwa kształtują z jednej strony koszty papieru, usług poligraficznych, opracowania redakcyjnego, honoraria autorskie (obliczane w zasadzie od arkusza — czyli objętości, co nie sprzyja racjonalnemu wykorzystaniu papieru i czasu czytelników), z drugiej strony — ceny książek. Relacje nakładów do zysków są różne w po-

szczególnych wydawnictwach, zależnie od typu wydawanych przez nie książek. W większości wydawnictw wynik finansowy oznacza duży zysk, wszystkie razem wzięte przynoszą zyski nie gorsze od wielu gałęzi przemysłu: 1 mld 600 mln zł, zatrudniając 5 tys. pracowników. Nie kwestionując na ogół potrzeby rachunku ekonomicznego w produkcji książki, wydawnictwa dobijają się o równouprawnienia książki deficytowej. Reprezentują przy tym istotne interesy — tak czytelników, jak i autorów, a także słusne ambicje edytorskie.

Chodzi tu, oczywiście, o deficyt wynikający nie jako z natury książki, nie zaś błędnej oceny edytorskiej. A więc książki skierowanej do wąskiego kręgu czytelników, co wcale nie oznacza, że mniej ważne. Przy niskim nakładzie zysk ze sprzedaży książki nie może zrekompensować kosztów powstających w wydawnictwie oraz kosztów poligrafii. Każde chyba wydawnictwo mogłoby wskazać na takie „honorowe” pozycje, które wciąż nie mogą doczekać się realizacji, ponieważ przyniosą deficyt. I paradoks polega tutaj na tym, że tę sytuację spowodowała zmiana wprowadzona w 1973 r. do zasad finansowania działalności wydawniczej, której istotnym celem było zniwelowanie ekonomicznego progno na drodze tego rodzaju książek. Zmiana polega na tym, że ciężar finansowania książki planowo deficytowej został złożony na barki różnych resortów (w zależności od tematu).

Resort kultury, dotychczasowy gestor funduszy na dotacje dla wydawców takich książek, mógłby być nawet zadowolony. Niech inni również, partycypując w wydawaniu cennych, lecz deficytowych pozycji. Każdego roku resorty otrzymują na ten cel określone limity. Wydawca nie może podpisać z autorem umowy, jeżeli

księgowy z właściwego resortu nie potwierdzi przydziału środków.

Według opinii Naczelnego Zarządu Wydawnictw limity te nie zwiększają się — co więcej, coraz bardziej nie odpowiadają potrzebom, bo rosną cena papieru i usług poligraficznych.

Szczupłość limitów na dofinansowywanie wydawnictw uczyniła je wierzycielami resortów. A to ze względu na długi cykl wydawniczy. Wydawca podpisuje bowiem umowę — a więc występuje o dofinansowanie — przynajmniej na dwa lata wcześniej niż resort otrzymuje limit. Resort dysponuje więc limitem, którego wysokość zostanie określona dopiero w przyszłości.

System dofinansowywania wydawnictw (eksperymentalny, bo nie ma go w żadnym z krajów socjalistycznych) przesunął decyzję w tak ważnej kwestii jak programowanie działalności wydawniczej w ręce księgowego, którego interesuje głównie, czy starczy mu limitu. Partycypacja w finansowaniu miała zapewne w założeniu stworzyć okazję do merytorycznej dyskusji nad celowością wydania książki ubiegającej się o dofinansowanie, czego praktyka wskazuje nie potwierdza. Wydanie książki deficytowej staje się więc „sprawą załatwianą”, konsultowaną, negocjowaną. Płynnie czas, z reguły również deficytowy, bo z jego upływem topnieje sens wydania książki. Ciężar na tym, oczywiście, przede wszystkim książek naukowych, stanowiących najliczniejszą grupę potrzebujących resortowego wsparcia, a jednocześnie o najszybciej dezaktualizującej się treści.

System dofinansowywania przeczy zasadzie gospodarności. Wydawnictwo nie jest zainteresowane obniżką kosztów, nie mówiąc o tym, że otrzymuje 5 proc. zysku od wysokości kosztów.

Stać nas na deficyt

Jaka na to rada? Wydawnictwa zgodnym chórem proponują powrót do starej zasady samofinansowania, przede wszystkim każdego wydawnictwa, a potem w ramach resortu kultury. Skoro minister kultury jest odpowiedzialny za rozwój produkcji wydawniczej, nie mówiąc o kulturze, niech dźwierz pulę środków do ewentualnego dotowania mniej rentownych wydawnictw. Zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych NZW, Stanisław Zmijewski, podsumowuje sprawę krótko: — „Nie wyciągamy ręki do budżetu państwowego. Stać nas na wydawanie książek deficytowych”.

Książki bez dotacji, resortowych przyniosły w ubiegłym roku blisko 700 mln zł zysku. Inna rzecz, że finansowe wydawnictwo mogłoby być lepsze, gdyby nie konieczność oszczędzania, zarówno papieru, jak i zdolności poligrafii. Prowadzi ona do marnotrawstwa i to w różnym sensie. Powszechne zmniejszenie nakładu poszczególnych tytułów, niemożność dodruków, ograniczenie wznowień — zwiększają udział kosztów własnych w produkcji tych tytułów.

Sukces finansowy wydawnictwa nie jest wszakże jednoznaczny z sukcesem wydawniczym. Ba, te dwie kategorie mogą nawet pozostawać ze sobą w sprzeczności. PWE np. zarabia na swojej rentowności „Kuchnia polska”, wiele innych — produkcja kart i kalendarzy. Znajdują one nabywców, trudno więc powiedzieć, że są niepotrzebne. Ale z pewnością nie są najpotrzebniejsze w sytuacji, gdy w księgarniach z powodu braku papieru nie można kupić „Pana Tadeusza”.

Na 1 mld 600 mln zł zysku, osiągniętego w ubiegłym roku przez wydawnictwa, 650 mln zł przyniosły te inne, nie książkowe pozycje. I nie ma się z czego cieszyć — przynaj-

mniej jeśli chodzi o rynek książki. Trzeba też powiedzieć, że ceny książek, mimo że w założeniu nie opierają się na kosztach produkcji, bardzo wzrosły w ostatnich latach, ograniczając bez wątpienia ich zasięg oddziaływania. Większość książek przynosi duży zysk, o czym lubią przypominać wydawcy, dowodząc nie bez słuszności, że produkcja książek jest godna tych samych priorytetów co produkcja rynkowa.

Sila bezwładu

Mankamenty systemu finansowego działalności wydawniczej nie wyczerpują spraw utrudniających produkcję książki. Bariery tkwią także w gospodarce papierem. Rzecz charakterystyczna, że jego niedostatek nie racjonalizował zasad jego dystrybucji, lecz wręcz przeciwnie — uczynił żeń żywioł nie poddający się niemal kontroli.

Droga papieru od producenta do osiągnięcia swego najbardziej szlachetnego wcielenia, to znaczy książki, jest zawiła i co gorsza omija najbardziej zainteresowane, a jednocześnie kompetentne ogniwo — wydawnictwa. Rozdzielany jest centralnie na poszczególne odbiorców przez Zespół Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Komisji Planowania, a głównym kryterium wysokości przydziału jest zużycie w roku poprzednim.

Papier przeznaczony do produkcji książek trafia do przedsiębiorstwa handlowego „Grafpapier”, które następnie sprzedaje go drukarniom według ich zamówienia. Nie ma żadnego sprzężenia z wydawcą, tym bardziej że „Grafpapier” to zupełnie inna branża (Zjednoczenie Przemysłu Poligraficznego). Naczelny Zarząd Wydawnictw nie może więc, jak niegdyś (tj. do 1973 r., gdy przydział papieru dostawiał bezpośrednio wy-

dawnictwa) gospodarować zapasami, a istnienie scentralizowanych zapasów jest warunkiem sine qua non, by dodruk książki — powszechna na całym świecie metoda eksploatacji sukcesu wydawniczego, a przy okazji i kasowego — stały się rzeczywistością.

Wydawnictwa otrzymują oczywiście swoje limity papieru, tj. informację, ile papieru mogą w danym roku zadrukować. Obowiązujący jest w tym względzie plan pięcioletni, ale pracuje się oczywiście na rocznym. W połowie roku wydawnictwo dowiaduje się, że w roku następnym otrzyma tyle, a tyle papieru, nie jednak o tym, w jakim asortymencie. Taka wieść dociera dopiero w połowie grudnia. A to jest mustarda po obiedzie, bo przeszło połowa planu wydawniczego na rok następny jest już w trakcie produkcji. I zdarza się, że trzeba tę produkcję wstrzymać, bo nie ma właściwego papieru na jej kontynuację. Dla wydawnictwa oznacza to zamrożenie środków obrotowych. Dla czytelników — oczywiście brak książki w księgarni.

Poniżej przydziału papieru drukowego odbywają się zupełnie inne drogi niż powstaje plan wydawniczy, bardzo trudno spotkać się im z życzeniem wydawnictwa co do jakości papieru. Nieracjonalnie wykorzystywany jest przy tym papier pochodzący z importu (drukują się na nim blisko 40 proc. wszystkich książek). Jest on zdecydowanie lepszy od krajowego i powinien być wykorzystywany w pierwszym rzędzie do drukowania książek o trwałej wartości użytkowej bądź wymagającej lepszej gatunku papieru ze względu na techniczne (np. zawierających ryciny, ilustracje). Tymczasem, ponieważ jego dostawy są nieregularne, zasila on ogólną pulę papieru, wykorzystywaną zgodnie z ogólnymi zasadami, czyli głównie przypadkowo. Jedynie importowany papier kredowy jest przydzielany na konkretny tytuł.

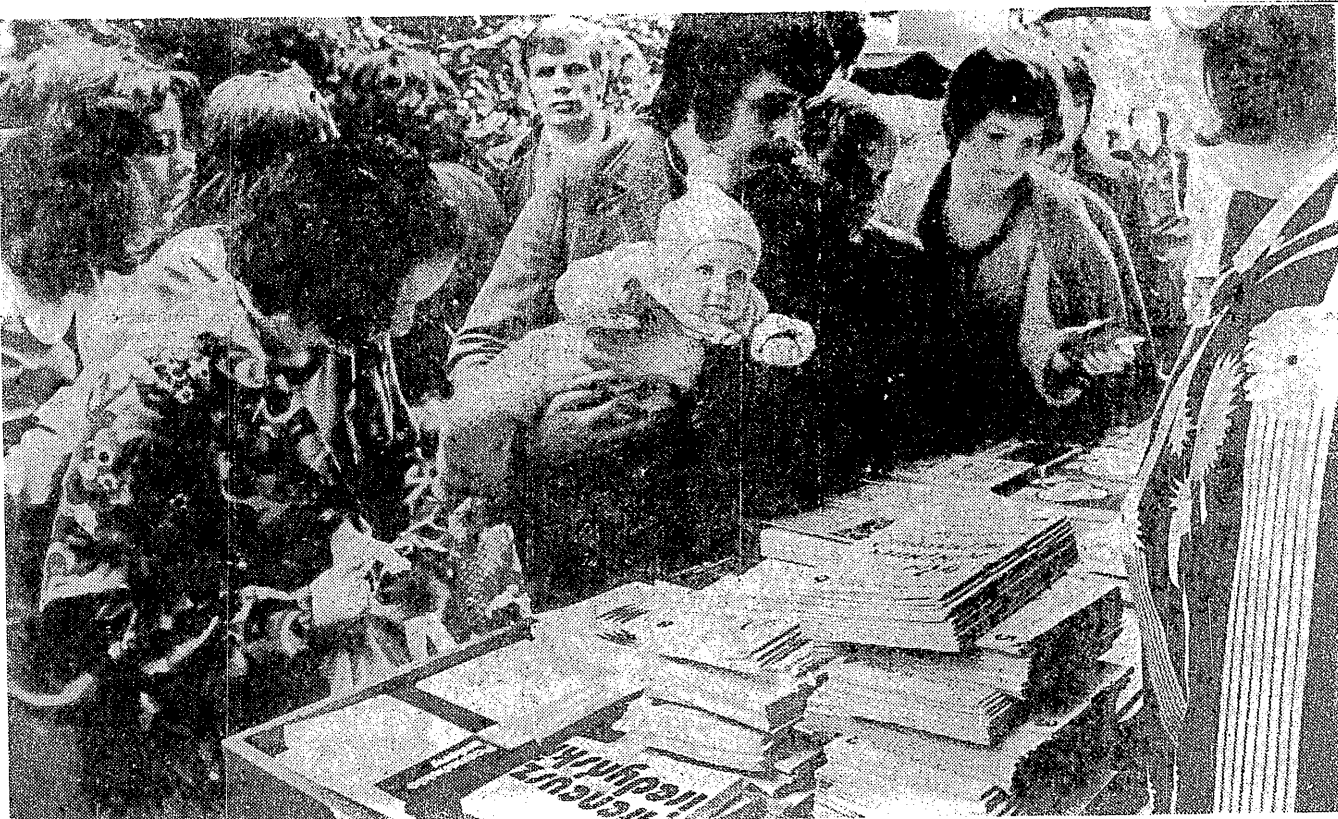
Bezwładny system zaopatrzenia materiałowego drukarni stanowi barierę dla właściwej polityki wznowień. Charakterystyczne, że w 1973 r. było ich więcej (w tytułach i egzemplarzach) niż w roku ubiegłym. Traci się jednak cały ich ekonomiczny walor, ponieważ od decyzji o wznowieniu wpływa przynajmniej rok, zanim zostanie przyznany papier na ten cel. Nie mówiąc o czasie, który upływa od pierwszego do drugiego wydania. Wszystkie więc składy są dawno rozsprzane i całą robotę trzeba zaczynać od nowa.

Wydawnictwa poddają w wątpliwość słuszność rozdziału papieru drukowego między różnych jego użytkowników. Konia z rzędem temu, kto powie, na co zużywają oni papier, którego brakuje na podstawowe nierz książki.

Niejednokrotnie wydawnictwa otrzymują informacje od jakiegoś przedsiębiorstwa czy branży, że mają „na zbyciu” papier. Nie zawsze się on już nadaje do produkcji książek, przechowywany w nieodpowiednich warunkach. Albo jakiś resort zleca okolicznościowe wydawnictwo na papierze, który za dewizy ów resort sobie zafundował. Serce mnie boli, gdy patrzę jak rośnie mi kolekcja takich dzieł, wypełnionych portretami kolejnych prezesów oraz zdjęciami z przecinania wstęg.

Książka musi walczyć o swoje równouprawnienie także w drukarniach. Mają one również swoje plany zysku, a książka nie należy do najbardziej opłacalnej dziedziny produkcji przemysłu poligraficznego. Potrafi więc przegrać w kolejkę do drukarskich mocy z akcydensami; książka o małym nakładzie i trudnym składzie ustąpić musi miejsca książce masowej, wielonakładowej. Tak to widzą wydawcy. Przemysł poligraficzny nie wszystkim tym racjom jest skłonny przyznać słuszość. Co więcej — mówi, że w istniejącej sytuacji mógłby drukować rocznie 10 tys. arkuszy więcej, gdyby... nie postawa wydawnictw.

Alte o tym napiszemy w oddzielnym artykule.



Fot. M. STANKIEWICZ

aktualności

NAJPIŁNIEJSZE ZADANIA

Przewyciężenie trudności i nadrobienie opóźnień spowodowanych niekorzystnym ukształtowaniem warunków atmosferycznych w styczniu i lutym br., wymaga skoncentrowania wysiłków zwłaszcza na następujących zadaniach:

- szybkim i możliwie pełnym odtworzeniem opóźnień w produkcji surowców i materiałów oraz zwiększeniu ich oszczędności, ze szczególnym uwzględnieniem paliw, energii, wyrobów walcowanych, tworzyw sztucznych, tarcicy, papieru i cementu;

- dostosowaniu produkcji do obecnych możliwości zaopatrzeniowych, ze szczególnym uwzględnieniem produkcji eksportowej i produkcji na rynek krajowy oraz produkcji części zamiennych i elementów kooperacyjnych;

- niedopuszczeniu do przekraczania planów produkcji na cele inwestycyjne oraz produkcji artykułów rynkowych nie znajdujących zbytu;

- zwiększeniu remontów samochodów ciężarowych, taboru kolejowego i ciągników oraz autobusów, m. in. przez rozszerzenie regeneracji części zamiennych;

- nadrobieniu zaległości w przewozach towarów, m. in. przez przejęcie części zadań kolei przez transport samochodowy;

- szybkiej naprawie uszkodzeń dróg publicznych i linii kolejowych;

- dostosowaniu zakresu robót budowlano-montażowych do obecnych możliwości zaopatrzeniowych i wykonawczych, m. in. przez przesunięcia w terminach rozpoczęcia nowych inwestycji i ograniczenia materiałochłonnych inwestycji kontynuowanych na rzecz koncentracji środków na inwestycjach priorytetowych, zwłaszcza przekazywanych do eksploatacji w 1979 r. oraz na budownictwie mieszkaniowym;

- naprawie szkód wywołanych przez zimę w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej.

Ponadto konieczne będzie podjęcie szeregu dodatkowych zadań w związku z powodzią na wielu terenach. (Sb)

SKUTKI POWODZI

Trudne są jeszcze do oszacowania skutki tegorocznej fali powodziowej. Oczywiście jest już jednak, że będą one większe niż kiedykolwiek dotychczas. W celu maksymalnego ich zmniejszenia, już obecnie konieczne jest zwrócenie uwagi na realizację niektórych związanych z nimi zadań. Chodzi zwłaszcza o skierowanie na tereny objęte powodzią dodatkowych dostaw: nawozów sztucznych, niezbędnych do zasilenia gleby, z których składniki nawozowe zostały wypłukane przez wodę; nasion zbóż jarych niezbędnych do ponownego

obsiania arealu, na którym zniszczeniu uległy zasiewy zbóż ozimych; pasz dla zwierząt gospodarskich w celu podtrzymania ich pogłowia do czasu nowych zbiorów; węgla potrzebnego do parowania ziemniaków z zatopionych kopców i piwnic. (Sb)

USUWANIE SZKÓD ZIMOWYCH

W celu zapewnienia warunków niezbędnych dla wykonania robót remontowo-budowlanych, związanych z usunięciem szkód w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej spowodowanych tegoroczną zimą, Prezydium Rządu podjęło decyzję o przyznaniu odpowiednio wyższych środków dla zainteresowanych ogniw administracji terenowej. W związku z tym Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska w najbliższym czasie powinno powiadomić Urzędy Wojewódzkie o wysokości przyznanych im dodatkowych kwot na remonty w ramach przyznanej przez Prezydium Rządu ogólnej kwoty na ich zwiększenie (600 mln zł). Równocześnie odpowiednio zwiększona została wartość obrotu globalnego przedsiębiorstw budownictwa komunalnego oraz limity zatrudnienia i funduszu płac.

Zapotrzebowanie na remonty związane z usuwaniem skutków tegorocznej zimy w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej może się okazać większe od przyznanych do-

datkowo środków na remonty. W tych przypadkach powinno nastąpić odpowiednie przesunięcie w podziale posiadanych już przez województwa środków, w celu zapewnienia pierwszej kolejności dla najpilniejszych potrzeb remontowych. (Sb)

REMONTY NA KOLEI

W celu przywrócenia sprawnej pracy transportu przez jak najszybsze wykonanie niezbędnych remontów linii kolejowych uszkodzonych w czasie tegorocznej zimy, Prezydium Rządu zwiększyło zatrudnienie w resorcie komunikacji o 2,7 tys. osób i fundusz płac o 163 mln zł. Wykorzystując te środki oraz posiadany wcześniej potencjał przerobowy, minister komunikacji ma zapewnić wykonanie zwłaszcza następujących zadań:

- naprawy mostów, nasypów, wykopów, rowów przy torowiskach, przepustów i innych urządzeń odwadniających;

- wymiany pękniętych szyn, uszkodzonych rozjazdów i sunięcie deformacji torów;

- naprawy budynków kolejowych, sieci wodociągowej, centralnego ogrzewania itp. (Sb)

REMONTY DROG

Prezydium Rządu postawiło do dyspozycji ministra komunikacji do-

datkowo 1 mld zł środków budżetowych na usunięcie przelomów i innych szkód powstałych na drogach publicznych w okresie tegorocznej zimy. W celu zapewnienia racjonalnego i pełnego wykorzystania tych środków na szybkie przeprowadzenie remontów dróg, minister komunikacji otrzymał 112 mln zł dodatkowego funduszu płac, pozwalającego na zwiększenie zatrudnienia o 2 tys. osób. Ponadto minister przemysłu chemicznego został zobowiązany do zwiększenia dostaw asfaltu, folii odblaskowej i farb do zabezpieczenia antykorozyjnego mostów, a minister budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych do dostarczenia dodatkowych ilości cementu i wapna budowlanego. (Sb)

NAPRAWY URZĄDZEN TELEKOMUNIKACYJNYCH

W celu naprawy uszkodzonych w czasie zimy urządzeń telekomunikacyjnych, Prezydium Rządu przyznało do dyspozycji resortu łączności dodatkowy limit zatrudnienia i funduszu płac, limit na wydatki z tytułu dostaw i robót wykonywanych przez jednostki gospodarki nieuspołecznionej oraz zwiększyło dostawy kabli i cementu.

Jednym z pilnych przedsięwzięć wydaje się poprawa stanu automatycznych łącznych połączeń międzynarodowych oraz wymiana zużytych aparatów telefonicz-

nych w centralach handlu zagranicznego i innych placówkach szerzej korzystających z międzynarodowych połączeń telefonicznych. Zły stan tych urządzeń sprawia bowiem, że zdarzają się połączenia z niewłaściwymi numerami za granicą, co naraża nas na zbędne wydatki dewizowe. (Sb)

WZMOCNIENIE KONTROLI CEN

Przewodniczący Państwowej Komisji Cen wprowadził od 2 kwietnia br. obowiązek użytkowania przez kierowników jednostek gospodarki uspołecznionej specjalnej zgody PKC na podwyżki cen wyrobów produktów i usług, na które ceny ustalają oni we własnym zakresie. Wystąpienia w tej sprawie mają być kierowane do PKC za pośrednictwem jednostek nadzórnych, tj. zjednoczeń lub zainteresowanych ministerstw, na 3 miesiące przed zamierzoną podwyżką.

Zarządzenie to nie dotyczy cen na produkty i wyroby, przy sprzedaży których stosuje się ceny sezonowe, wyrobów i produktów pochodzących ze skupu zdecentralizowanego, wyrobów i produktów importowanych sprzedawanych wg cen transakcyjnych, cen umownych na wyroby kooperacyjne i pamiętarskie, wyrobów i produktów małoseryjnych oraz wytwarzanych z odpadów surowców i materiałów. (Sb)

OFERTA ZSI

Spółdzielnia inwalidów, znana z dobrych pomysłów i solidności, oferowała na „Wiosnie-79” 2800 wzorów, wartości 3563 mln złotych. Nie zostało zakupionych przez handel kilkadziesiąt wzorów o łącznej wartości ok. 60 mln złotych. Świadczy to o pewnym nasyceniu rynku tymi właśnie wzorami. Były to m. in. karnisze, otwieracze uniwersalne, przyrządy do gotowania jajek, różna do pieczenia drobiu, torby podróżne i młodzieżowe (?), bielizna nocna, pieluszki z tetra.

Wśród wzorów prezentowanych przez 233 spółdzielnie inwalidów było 636 wzorów wzorów nowych lub zmodyfikowanych. Do konkursu „Nowości Roku” zgłosiło się jednak tylko 70 firm.

Pierwszą nagrodę w konkursie zdobyła SI „Iwa” z Warszawy za kolekcję ubiorów dla mężczyzn. Drugie nagrody: „Anka” z Częstochowy za kolekcję dziecięcą oraz „Wabis” z Gliwic za zabawki-pojazdy „Mars”.

Przyznano trzy trzecie nagrody następującym spółdzielniom: „Silesi” za kolekcję ubiorów meblowych, „Malwie” z Grodziska Mazowieckiego za kolekcję dziecięcą i damską oraz SI Niewidomych ze Szczecina za szatki do polysku i do zamszu.

Jury wręczyło 10 firmom wyróżnienia. Z ciekawszych wzorów wymienić należy: pomadki mleczne „Pionki” — „Zjednoczenia” z Poznania; komplety dziewczęce — „Diny” z Łodzi, komplet turystyczny do opiekania — „Silesi” z Gliwic, kolekcję wzorów rekodzielniczych — „Legsini” z Legnicy oraz torby podróżne na bagażnik — „Fata” z Gliwic.

Podstawową zaletą kolekcji ubiorów produkowanych przez spółdzielnie inwalidów — a więc filara drobnej wytwórczości — jest ich niezbyt wielka seria. Panie nie cierpią wzorów „taśmowych”, w których mogą zobaczyć koleżankę. Warto byłoby, aby handel zechciał „rozpraszać” te wzory — np. po kilkadziesiąt sztuk jednego wzoru — po różnych miastach.

790 TYS. ZEPSUTYCH JAJ

Byli dyrektorzy — naczelnicy handlowe — Zakładów Drobiarskich „Poldrob” w Sławnie, niewłaściwie kierując skupem, produkcją i handlem jajami przyczynili się do zepsucia ponad 790 tysięcy jaj. „Towar” ten przeterminowany i nie nadający się do konsumpcji, próbował sprzedać w sklepach z pomocą nieuczciwych kierowców i dostawców. Działaniem tym przyczynili się do strat materialnych, a przede wszystkim napięć na rynku województwa koszalińskiego i słupskiego.

Przewód sądowy — Sądu Wojewódzkiego w Słupsku — w pełni wykazał nieprzestrzeganie zasady gospodarności. Obaj dyrektorzy ukarani zostali karą pozbawienia wolności na dwa lata z warunkowym zawieszeniem wykonania wyroku na okres 5 lat oraz karą po 100 tys. zł grzywny. Ukazano ich również zakazem wykonywania funkcji kierowniczej na okres 5 lat.

Sądy, organa instytucjonalnej kontroli i kontroli społecznej coraz surowiej karzą za marnotrawstwo, niegospodarność, lekceważenie interesów konsumenta. Nie możemy tolerować „luksusu marnotrawstwa”.

SPÓŁDZIELCZE LEKI

Czternaście spółdzielni pracy produkuje ogółem 123 preparaty farmaceutyczne, m.in. leki: nasercowe, przeciwnowotworowe, psychotropowe, przeciwbólowe, przeciwrheumatyczne, przeciwpadaczkowe, przeciw schorzeniom przewodu pokarmowego itd. Wartość tej produkcji w ub. roku wyniosła 879 mln złotych, zaś w br. wzrosnąć ma do 938 mln zł w cenach zbytu. W cenach detalicznych — rozprawdza je Centrala Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm” — wielkość ta wynosiła odpowiednio 1,3 mld oraz 1,4 mld zł.

Spółdzielnie te mają duże trudności z uzyskaniem niezbędnej ilości surowców. Dotyczy to zwłaszcza zaopatrzenia z importu (z II obszaru płatniczego), od których to surowców zależy produkcja ok. 60 różnych leków. Drugim powodem niezaspokajania potrzeb „Cefarmu” są — jak poinformowano — dziennikarzy w CZSP — ograniczone zdolności produkcyjne spółdzielni.

Przy okazji przypominam o braku na rynku pastylek „emskich”. Pisałem o tym przed kilkoma tygodniami. Przed dwoma laty leku tego nie brakowało — a więc nie chodzi tu chyba o szczupłość mocy produkcyjnych. Raz jeszcze wracam się do Spółdzielni „Ziołolek” w Poznaniu oraz do CZF „Cefarm” o szczegółowe wyjaśnienia.

KALMAR STARUSZEK

Od zastępcy dyrektora d. s. handlowych „Centrali Rybnej” Warszawa-Zerań, inż. Tadeusza Warszawskiego w sprawie notacji pt. „Kalmar staruszek” zamieszczonej w „Z. G.” z 25 lutego br., otrzymałem krótkie wyjaśnienie. Otóż kalmary w konserwach zakupione zostały dla sklepów delikatesowych i handel dysponował pełną informacją, jak również ulotkami o walorach jakościowych i terminie przydatności towaru do obrotu handlowego.

Nadal pozostaje pytanie, dlaczego klient nie może dowiedzieć się, jaki „wiek” ma konkretna puszka z kalmar — nie tylko kalmarami — produktami z importu.

A.N.J.

POPYT NA ZIEMIĘ

ANNA SZEMBERG

COROZNE spisy rolne pozwalają zorientować się, że dotychczasowa poprawa struktury gospodarstw indywidualnych następuje zbyt wolno. Między 1971 a 1977 rokiem zmiany te były ledwo zauważalne. Ubyło 4 proc. gospodarstw o powierzchni większej od 0,5 ha i 7 proc. o powierzchni od 2 ha. Ziemi w gospodarstwach indywidualnych ubyło analogicznie 7 i 6 proc. W rezultacie przeciętny obszar gospodarstwa (o wielkości od 0,5 ha) zmniejszył się z 4,9 do 4,7 ha, a gospodarstw liczących powyżej 2 ha wzrosło z 6,3 do 6,4 ha. Również nieznacznie były zmiany w poszczególnych grupach obszarowych, na co wskazuje tabela 1.

Czy obecny popyt na ziemię zapowiada przyspieszenie zmian agrarnych?

Wyniki badań IER

Odpowiedź dają dwukrotnie (w 1975 i 1978 r.) przeprowadzone badania ankietowe w 178 wsiach (15 tys. gospodarstw). Ponadto wykorzystujemy wyniki badań regionalnych prowadzonych przez Instytut Ekonomiki Rolnej oraz badań opinii sołtysów, rolników indywidualnych oraz ich następców.

W latach 1975—1978 popyt chłopów na ziemię był większy niż w trzyleciu 1972—1975. Za podstawowy miernik zrealizowanego popytu przyjęto odsetek gospodarstw zwiększających obszar. Odsetek ten wzrósł z 13,2 proc. do 15,4 proc., przy niezmienionym przeciętnym obszarze zwiększenia wynoszącym około 2 ha.

Po ziemię sięgali przede wszystkim gospodarstwa średnie i większe i tendencja ta, którą niżej ilustruje tab. 2, przybiera na sile.

Jednocześnie obserwuje się coraz większy rozmach w realizowanych bądź planowanych zwiększeniach. Wzrost przeciętny obszar nabywanych gruntów oraz liczba gospodarstw zwiększających obszar o ponad 25 proc. w stosunku do powierzchni pierwotnie posiadanej. Udział tej grupy, wśród ogółu gospodarstw zwiększających obszar, zmienił się następująco: w latach 1972—1975 wynosił 41 proc., w latach 1975—1978 — 52 proc., a według zamierzeń na lata 1978—1981 — 74 proc.

Efekt strukturalny zwiększeń obszaru w ostatnich trzech latach był ewidentny. Przeciętny obszar gospodarstw w tej grupie wzrósł z 6,4 ha w 1975 r. do 8,0 ha w 1978 r., a ich struktura obszarowa zmieniła się radykalnie, na co wskazują dane zawarte w tabeli 3.

Konkluzje i prognozy

Odnosząc wyniki badań IER do całej gospodarki chłopskiej otrzymujemy następujący wynik:

● w okresie 1972—1975 zwiększył obszar około 410 tys. gospodarstw, a ogólny obszar zwiększenia wyniósł ponad 800 tys. ha, w tym udział gruntów PFZ wynosił 20 proc. (kupno + dzierżawa);

● w okresie 1975—1978 zwiększył obszar 477 tys. gospodarstw, a ogólny obszar zwiększenia wyniósł około 950 tys. ha; udział gruntów z PFZ wynosił 37 proc. (kupno + dzierżawa).

Z zamiarów rolników na najbliższe lata wynika, że popyt na ziemię będzie miał w dalszym ciągu trend rosnący. Odsetek gospodarstw sięgających po dodatkową ziemię wprawdzie utrzyma się na obecnym poziomie (około 14 proc.), ale wzrośnie znacznie przeciętny obszar zwiększenia (do około 3 ha). Oznacza to, że w trzyleciu 1978—1981 około 414 tys. rolników zamierza zwiększyć

obszar gospodarstw, a ogólny rozmiar zwiększeń wyniesie ponad 1,2 mln ha. Zakładając, że udział gruntów PFZ będzie podobny jak w latach 1975—1978 — potrzeba na ten cel co najmniej 460 tys. ha.

Istnieją jednak okoliczności, które wskazują, że realny popyt w najbliższych latach może być nawet większy od przewidywanego na podstawie badań IER. Po pierwsze, wynika to z faktu, że w latach 1975—1978 niektórzy rolnicy, którzy chcieli powiększyć gospodarstwo, nie mogli tego zrealizować. Badania z 1977 r. wykazały, że główną przyczyną był brak ziemi (albo w ogóle brak ziemi w wsi albo brak zgody na kupno ziemi z zasobów PFZ), następnie nie uregulowane stosunki własnościowe i brak przygotowania do zawodu. W latach 1975 i 1976 sprzedaż gruntów PFZ rolnikom indywidualnym była znikoma i wynosiła 17—19 tys. ha rocznie, a ponadto w tych latach nierzadko wypowiadano przedwczesnie umowy dzierżawne rolnikom. Sądzi się, że rolnicy ci będą ubiegać się o ziemię w najbliższych latach. Realizacja „popytu odłożonego” z ubiegłych 3 lat zwiększy zarówno odsetek gospodarstw zwiększających obszar, jak i rozmiar

ziemi na ten cel potrzebnej o 20—25 proc.

Po drugie, jak wskazują doświadczenia z badań ankietowych, zamierzenia na przyszłość, jakie rejestruje ankietka, są z reguły skromniejsze niż późniejsza ich realizacja. Na przykład odsetek gospodarstw zamierzających powiększyć gospodarstwo w latach 1975—1978 według oświadczeń gospodarzy z 1975 r. wynosił 6,2 proc., natomiast faktycznie było takich gospodarstw, jak okazało się, 15,4 proc.

Z taką tendencją należy się liczyć również obecnie. Znacznie lepsza jest obecnie atmosfera wokół chłopskich zamierzeń agrarnych niż przed 3 laty, większe zrozumienie konieczności poprawy struktury, silniejsze wsparcie finansowe państwa i procedura z tym związana przebiega szybciej i sprawniej. Od 1980 r. można się spodziewać silnego nacisku na kupno ziemi ze strony tych, którzy przejmą gospodarstwa od rodziców odchodzących na emeryturę. Wyniki ankiet IER wskazują, że w latach 1981—1985 w czwartym gospodarstwie zmieni się główny użytkownik. Zamierzenia obszarowe rolników młodych, obejmujących gospodarstwa, są znacznie ambitniejsze

niż pokolenia starszego. Sondaż opinii w 1977 r. wykazał, że co drugi z nich pragnie po przejęciu gospodarstwa zwiększyć obszar średnio o 5 ha. Wiąże się to także z zamiarami dotyczącymi specjalizacji, która, jak wiadomo, wymaga określonego minimum obszarowego.

W obliczu tych przewidywań zwiększenie sprzedaży ziemi dla indywidualnych rolników wydaje się nieodzowne, a planowane na 3-lecie 150 tys. ha rocznie — wydaje się raczej dołą granicą zapotrzebowania. Decydującą sprawą jest rosnący popyt, ale przemawiają za tym i inne względy.

Rola PFZ

W ubiegłym 3-leciu udział gruntów PFZ w całości nabywanej przez rolników ziemi wyniósł 37 proc. Udział ten w poszczególnych regionach jest bardzo zróżnicowany. Na zachodzie, północy i północnym wschodzie kraju grunty PFZ decydują o zaspokajaniu popytu (60 do 90 proc. nabytych gruntów). Zmniejszenie możliwości korzystania przez chłopów z tego źródła ziemi może tam w ogóle zahamować poprawę struktury agrarnej.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

Tabela 1 ZMIANY STRUKTURY OBSZAROWEJ (w proc.)		
	1971 r.	1977 r.
0,5—2	27,6	30,0
2—5	31,4	30,5
5—7	14,2	13,1
7—10	14,0	12,8
10 i więcej	12,8	13,6

Tabela 2 GOSPODARSTWA ZWIĘKSZAJĄCE OBSZAR (w proc.)					
Struktura gospodarstw wg grup obszarowych w ha (przed zwiększeniem)					
Lata	0,5—2	2—5	5—7	7—10	10 i więcej
1972—1975	15	31	14	17	23
1975—1978	16	30	16	19	19
1978—1981 (zamiary)	11	25	17	21	27

Tabela 3 Grupy obszarowe gospodarstw w ha (w odsetkach)*					
	0,5—2	2—5	5—7	7—10	10 i więcej
Przed zwiększeniem	16	30	16	19	19
Po zwiększeniu	7	25	17	19	31

* Zbadano 2283 gospodarstwa

ABY RZEPAK BYŁ SMACZNIEJSZY

Rozmowa z dr WALERIĄ MŁYNIEM

adiunktem Zakładu Genetyki Roślin PAN w Poznaniu

BOGDAN DANOWICZ: Pomówmy o rzepaku — roślinie, która choć dostarcza cennego oleju jadalnego oraz białka dla zwierząt, budzi wiele kontrowersji.

WALERIA MŁYNIEM: Istotnie, olej rzepakowy zawiera wartościowe kwasy tłuszczowe, ale nie wszystkie z nich są korzystne dla zdrowia, jak choćby kwas erukowy.

— Jak wiem, w wielu krajach nie używa się już do celów konsumpcyj-

nych oleju rzepakowego odmian erukowych. Czy u nas pracuje się nad usunięciem kwasu erukowego z nasion rzepaku lub wydatnym zmniejszeniem jego zawartości?

— Naturalnie, dysponujemy już takimi odmianami rzepaku, np. „Janpolem” wyhodowanym przez profesora Jana Krzyżanowskiego z Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. Zawiera on minimalną ilość tego kwasu. Nadal trwają badania nad ulepszeniem odmian rzepaku.

— A jaka jest wartość białka, które zawiera śruta otrzymywana po ekstrakcji oleju?

— W śrucie rzepakowej występuje związek chemiczny — tioglikozydy, które w postaci związków siarkowych hamują wzrost i reprodukcję zwierząt, upośledzając czynności tarczycy wskutek zaburzeń w gospodarce jodem. W dodatku wartość paszowa śruty, jej strawność, obniża jeszcze duża zawartość w okrywie nasiennej związków celulozowych.

Także liście rzepaku można stosować wyłącznie jako dodatek do mieszanek z innymi zielonkami, bowiem zielonka rzepakowa nie jest pozbawiona związków szkodliwych dla ustroju zwierzęcego.

— Jak można wyeliminować niekorzystne cechy przetworów rzepaku?

— Jest to trudne. W przeciwnieństwie do wielu innych roślin uprawnych, które mają swoje odpowiedniki w przyrodzie w postaci dzikich gatunków, rzepak nie ma właściwie gatunku przodka. Sądzi się, że powstał spontanicznie niedawno, w wyniku spontanicznych mutacji lub spontanicznego krzyżowania między gatunkami. Podjęto bowiem próby krzyżowania eksperymentalnych, które dowiodły, że znany nam dziś rzepak uformował się z połączenia pewnego gatunku — kapusty i rzepiku. Próby powtórzenia tej syntezy podejmowane są nadal na najbardziej zróżnicowanych podgatunkach i gatunkach elementarnych i ciągle oczekuje się uzyskania nowego, większego zakresu zmienności nowych form rzepaku. My właśnie te próby podejmujemy.

— A co z soją, rośliną, która podobnie jak słonecznik i rzepak, magazynuje w sobie największą ilość tak bardzo pożądaną dla ludzkiego ustroju tłuszczów nienasyconych?

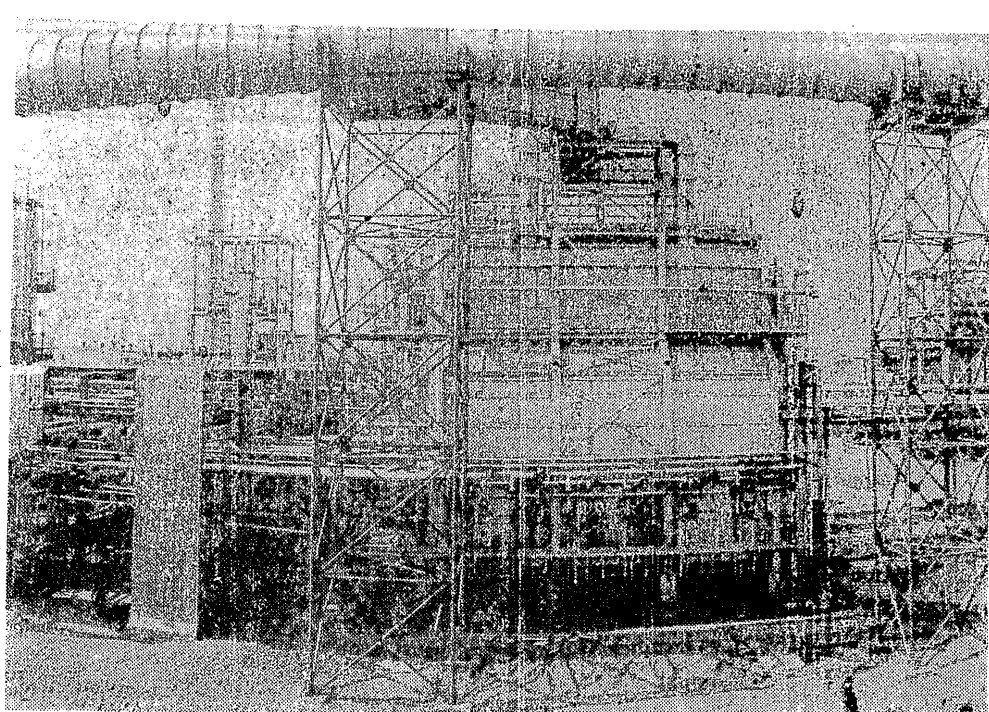
— Soja jest tzw. rośliną dnia krótkiego, czyli krajów północnych, zmrok bowiem wydłuża jej cykl owocowania. Jest rośliną dostarczającą niezwykle wartościowego oleju oraz rośliną zapewniającą duże ilości białka. W Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin oraz w Akademii Rolniczej w Poznaniu prowadzone są intensywne badania nad jej wykorzystaniem w Polsce oraz hodowlą odmian przystosowanych do naszych warunków. W obu wymienionych ośrodkach naukowych prowadzone są również badania nad wykorzystaniem odmian słonecznika udających się w Polsce. Ale na wyniki tych prac musimy jeszcze cierpliwie poczekać.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
BOGDAN DANOWICZ

Fachowcy twierdzą: co roku można zaoszczędzić miliard złotych. Można i trzeba. Na miliardów, rozmazujący się gdzieś, przepadający, marnotrawiony bez sensu, składają się bowiem oleje i smary, produkty wytwarzane z ropy naftowej w całości prawie sprowadzanej z zagranicy.

O wielkość możliwej do zaoszczędzenia sumy można się zresztą spierać. Straty bezpośrednie, według dzisiejszych szacunków, wynoszą kilkaset milionów złotych rocznie, do pełnego miliarda urosną za parę lat. Nie ma jednak dobrego powodu, żeby tylko te brać pod uwagę.



Blok olejowy Gdańskich Zakładów Rafineryjnych.

Fot. J. JABŁOŃSKI

ZA DUŻO SMARUJEMY

ALEKSANDER JĘDRZEJCZAK

PANSTWOWY Inspektorat Gospodarki Paliwowo-Energetycznej ustalił, że przy prawidłowej obsłudze i takim samym zużyciu maszyn roczny pobór energii elektrycznej mógłby być o 5 miliardów kWh mniejszy. Dociekania na ten temat przeprowadzono przed paroma laty. Od tego czasu zużycie energii w przemyśle, budownictwie i transporcie znacznie się zwiększyło, natomiast trudno było wykazać jakiś znaczący postęp w technice i gospodarce smarowniczej. Po uwzględnieniu strat energii elektrycznej tytułowy miliard można przyjąć za sumę dość skromną. Jeśli jednak zwiększymy ją np. trzykrotnie, nadal zostanie wcale pokazywać margines. Rok rocznie na remonty kapitalne maszyn i urządzeń wydajemy około stu miliardów złotych. Bez najmniejszego ryzyka można przyjąć, że 3-4 proc. tej kwoty przypada na pokrycie strat powodowanych nienależnym smarowaniem — suma znów nam się podwoi.

I wreszcie inwestycje. W ostatnich latach wydaliśmy ciężkie miliardy na budowę bloku olejowego w rafinerii „Gdańsk”, fabryki smarów plastycznych w Jędrzejcach i dozbieranie techniczne starszych wytwórni. Jeśli nie zdołamy zahamować, złać, a może się uporczywie ku górze krzywej wzrostu zużycia materiałów smarowych, niebawem wyłoni się konieczność budowania nowych instalacji. A są to urządzenia bardzo kosztowne.

Miliard jest więc tu wielkością umowną, raczej jednak zbyt skromną, niż przesadzoną.

Liczy, fakty, prognozy

W latach 1970-75 zużycie olejów smarowych w Polsce zwiększyło się o 23 procent. W tym samym czasie we Francji wzrosło tylko o 5 procent, w RFN zmalało o 3 proc., a w Wielkiej Brytanii nawet o 5 proc.

W ciągu następnych lat, do roku 1978, w Polsce zużycie znów wzrosło o 13 proc. w stosunku do roku 1975, a w krajach Europy zachodniej utrzymało się na niezmienionym poziomie, nawet trochę spadło.

Nie można tych różnic tłumaczyć wyłącznie większą dynamiką gospodarczego rozwoju Polski. Potencjał gospodarczy porównywalny krajów nie zmniejszał się przecież w tym okresie. Wymowny będzie tu przykład RFN. W latach 1970-75 zużycie paliw silnikowych zwiększyło się tam z dwudziestu pięciu do trzydziestu milionów ton rocznie, a zużycie olejów smarowych mimo to się zmniejszyło.

Do sporządzania bardziej wnikliwych porównań i analiz fachowcy używają wskaźników pozwalających określić gospodarność środków smarów w całej gospodarce (IDNB), w transporcie (IZSP) i osobno w przemyśle (IZEE) — darujemy sobie kolumny liczb, które by należało wpisać pod każdym z tych symboli. Ważne, że wszystkie porównania wypadają na naszą niekorzyść, różnice są duże, a oficjalne prognozy polepszenia tych wskaźników po prostu mizerne. Przewiduje się na przykład, że w roku 1985 wskaźnik gospodarności olejami smarowymi w transporcie wciąż jeszcze będzie dużo gorszy, niż był w RFN w roku 1975.

Autorom minorowych przewidywań prawdopodobnie chodziło o sporządzenie prognozy silnie i bezpośrednio powiązanej z występującymi dziś zjawiskami, wyprowadzającej wnioski z dziś występujących trendów. Te zaś, owszem, mogą składać się z niewesołych przewidywań. Samochody marki Fiat 125P, wytwarzane w latach 1970-75 spalały 0,2-0,4 l oleju na tysiąc kilometrów; te same samochody z produkcie roku 1976 spalały 0,6-1,0 litra. Z takich faktów trudno wyciągać optymistyczne wnioski. Na dodatek fuszerki konstruktorów i producentów pojazdów mechanicznych stanowią tylko część czynników odgrywających tu rolę.

Wyciągnięcie gospodarki smarowniczej na jako tako przyzwoity poziom wymaga zgodnego współdziałania ośrodków badawczych i producentów środków smarowych, central handlowych i aparatu sprzedaży detalicznej, zakładów przemysłowych i gospodarstw rolnych, transportu, gospodarki, urzędów i organizacji naukowo-technicznych... Konieczne działania obejmują zagadnienia badawcze, technologiczne, produkcyjne, handlowe i prawne, raz po raz sięgają w takie dziedziny jak zaufanie użytkowników do jakości krajowych wyrobów. Wynika, że i próba przedstawienia w jednym artykule wszystkich ważących tu zagadnień skończyłaby się musiała kłóską. Ograniczę się więc do paru wybranych, jak się wydaje, ważących na marnotrawstwie najwięcej.

Normy, jakość, zaufanie

Dużą część bezsensownie marnowanych olejów smarowych można zaoszczędzić przez ustalenie racjonalnych okresów ich wymiany. Olej, pracując w urządzeniach i maszynach, stopniowo zmienia swój skład chemiczny, zanieczyszcza się, traci swoje właściwości użytkowe — trzeba go zastąpić świeżym.

W tej chwili podstawą wymiany oleju są administracyjne ustalone normy czasów pracy, nie mające technicznego uzasadnienia. Zgodnie z obowiązującymi normami wymienia się oleje tylko nieznacznie zmienione pod względem chemicznym, tak, które jeszcze długo mogłyby pracować. Niekorzystne zmiany występują tylko w niektórych składnikach olejów, można je więc regenerować.

Trudno się tu wdawać w szczegółowe opisy badań przeprowadzonych w Wojskowej Akademii Technicznej, Instytucji Technologii Nafty i ośrodkach badawczo-rozwojowych związanych z przemysłem motoryzacyjnym. Wszystkie zgodnie potwierdzają, że jakość powszechnie dostępnych olejów silnikowych umożliwia wydłużenie czasu ich pracy z dziesięciu do dwudziestu tysięcy kilometrów w samochodach osobowych i z sześciu do dwudziestu tysięcy kilometrów w samochodach ciężarowych star 200. Olej powinien być wymieniany tylko wtedy, gdy osiągnięto określony stopień zanieczyszczenia — opracowano kilka metod diagnostycznych pozwalających określić stopień zanieczyszczenia, wolno przypuszczać, że szerzej ich stosowanie w bazach i przedsiębiorstwach transportowych, kierowanie się wskazaniami diagnostyki olejowej, nie zaś przestarzałymi normami, pozwoliło-

by zmniejszyć zużycie olejów silnikowych przynajmniej o połowę.

Możliwość wydłużenia czasu pracy olejów smarowych zależy przede wszystkim od ich jakości. Radykalny przełom w tej dziedzinie nastąpił pod koniec drugiej wojny światowej, kiedy zaczęto wytwarzać środki smarowe z tak zwanymi dodatkami uszlachetniającymi. Nasz przemysł rafinacyjny podjął tę produkcję z kilkunastoletnim opóźnieniem, potem jednak, zwłaszcza z „ciągi” ostatnich dziesięciu lat, osiągnął, w tej dziedzinie duże postępy. Ocenia się, że w wielu asortymentach jakości wytwarzanych w kraju środków smarowych odpowiada jakości wytwarzanych w krajach najbardziej rozwiniętych. Opinię tę potwierdza fakt, że oleje wytwarzane według przepisów Instytutu Technologii Nafty zyskiwały pozytywne oceny firm zagranicznych będących dostawcami lub licencjodawcami pojazdów, maszyn i urządzeń, między innymi takich jak: Fiat, Berliet, Ferguson, Sulzer, Mercedes, Ford, Volvo, Harvester, Caterpillar.

Produkowany w Polsce asortyment olejów silnikowych, zaspokaja potrzeby prawie wszystkich eksploatowanych w kraju pojazdów. Drobne luki klas lepkościowych w poszczególnych kategoriach dotyczą głównie olejów, na które zapotrzebowanie jest bardzo małe. Nie znaczy to, że ITN i rafinerie nafty osiągnęły już wszystkie szczyty i jedynym ich zadaniem jest już tylko sprawdzanie jakości olejów kierowanych do sprzedaży. Postęp w dziedzinie konstrukcji samochodów, maszyn, narzędzi i statków wymaga ciągłego podnoszenia jakości wytwarzanych już gatunków oraz opracowywania nowych, między innymi: olejów uniwersalnych (silnikowo-hydrauliczno-przekładniowych) do maszyn rolniczych, olejów silnikowych typu Marinol CD, olejów silnikowych kategorii SE klasy 15W/40.

W grupie olejów przemysłowych luki asortymentowe są większe, niedostatkami materiałowe i technologiczne zdarzają się częściej. Mimo to możliwe do osiągnięcia oszczędności szacuje się na 20 tys. ton w roku 1980 i dwukrotnie większe w roku 1985, w miarę realizacji takich postulatów jak: zwiększenia parku zbiorników w rafineriach i bazach CPN, szersze stosowanie drobnych opakowań, opracowanie i konsekwentna realizacja programu produkcji dodatków uszlachetniających wysokiej jakości.

Ceny

Drugim z najważniejszych czynników mających wpływ na nieracjonalne gospodarowanie olejami i smarami są ceny tych produktów. Wśród fachowców często się słyszy opinię, że nie tu po prostu kupy się nie trzyma. Ceny środków smarowych są zbyt niskie w stosunku do cen paliw silnikowych, relacje między cenami poszczególnych olejów i smarów są nieprawidłowe, zwłaszcza w przypadku specyfików importowanych.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że produkcja olejów smarowych jest bardzo energochłonna i skomplikowana. Przeglądając cenniki światowych firm naftowych, łatwo stwierdzić, że ceny tych produktów są kil-

kakroć wyższe od cen benzyny, nie mówiąc już o olejach napędowych. U nas przeciwnie. Niezależnie od trudności technologicznych i kosztów energii zużywanej przy produkcji, ceny wielu olejów smarowych są znacznie niższe niż ceny benzyny, często nie pokrywają kosztów produkcji.

Cała ta sytuacja pociąga za sobą dwa skutki, oba niedobre. Użytkownikowi skłania do zastanawiania się nad kosztami smarowania, producentowi zniechęca do uruchamiania nowoczesnych technologii, polepszania jakości, zwiększania ilości asortymentów. Nawet zwiększanie produkcji najczęściej się im nie opłaca. Przeprowadzona w latach 1974-75 intensyfikacja bloku olejowego w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych pozwoliła znacznie zwiększyć produkcję olejów smarowych, ale zakładom przyniosła straty; połowę dodatkowej produkcji stanowiły oleje sprzedawane po 4500 złotych, co przesądziło wyniki rachunkowe, chyba niesłusznie zwanych ekonomicznymi.

Dziwotłagi tego rodzaju hamują też działalność badawczo-rozwojową. Nawet wyroby, których produkcję uruchamia się w ramach racjonalizacji importu, prawie zawsze potykają się o przedziwne kalkulacje, z których, wbrew rozsądkowi, wynika, że wytwarzać ich się nie opłaca.

Serwis i przestarzałe przepisy

Normy i ceny odgrywają w tej chwili rolę najgorszą, ale na rozmazywanie łustego miliarda wpływ ma jeszcze sporo innych czynników.

Próby zorganizowania racjonalnej gospodarki smarowniczej w przedsiębiorstwach sięgają roku 1932. Wydano kilka całkiem sensownych rozządzeń, niestety do tej pory tylko nieliczne branże poważnie potraktowały realizację zawartych w nich poleceń. Należą do nich: żegluga, energetyka zawodowa, hutnictwo, przemysł chemiczny, motoryzacyjny i maszynowy, z przedsiębiorstw transportowych właściwie tylko PKS. Bardzo zaniehbana jest sprawa gospodarki i techniki smarowniczej w budownictwie i przemysle materiałowym budowlanych, a także w rolnictwie. W zakładach tych rezerwów wydaje się olbrzymie sumy na remonty i wymianę zużytych części maszyn i urządzeń, niewiele się jednak robi, by usunąć istotną przyczynę przedwczesnego ich zużycia — poprawić warunki konserwacji i eksploatacji.

Bardzo zaniehbana jest sprawa serwisu w zakresie usług smarowniczych. Duże zakłady przemysłowe najczęściej posiadają własne, wyspecjalizowane służby w tym zakresie, natomiast w zakładach mniejszych obsługa smarownicza maszyn i urządzeń zajmują się ludzie nie przygotowani zawodowo do tych czynności. Istnieje wprawdzie inspekcja techniczna CPN, interesująca i owocna działalność rozwoju Przedsiębiorstwa Doświadczalno-Produkcyjnego „Naftochem” — obie te placówki dysponują jednak bardzo szczupłą kadrą fachowców mogących sprawować nadzór nad gospodarką smarowniczą, prowadzić badania aplikacyjne i szkolenie.

Wspomniane już akty normatywne przyczyniły się bezspornie do pewnej racjonalizacji gospodarki produktami naftowymi i polepszenia efektywności eksploatacji maszyn. Podstawowy dokument, Uchwała Nr 378 Rady Ministrów, pochodzi jednak z roku 1966. Ani słowem nie trzeba więc dowodzić, że wymaga pilnie nowelizacji. Przemawia za tym burzliwy wzrost i zmiany organizacyjne przemysłu, zmiana podziału administracyjnego państwa, ogromny postęp w dziedzinie konstrukcji i eksploatacji maszyn, a także — wcale nie w ostatniej kolejności — trudna sytuacja na rynku surowcowym; kilkakrotny wzrost cen surowców wydobywanych, ropy naftowej, nakazuje wprowadzenie dalszych usprawnień organizacyjnych jak i najdalej idących, technicznie uzasadnionych, oszczędności w gospodarce i technice smarowniczej.

Prace badawcze zakończone, wyniki zostały przyjęte, najprawdopodobniej w przyszłej pięcioletce zostanie zbudowany zakład wykorzystujący opracowane technologie.

Gdyby się stało inaczej — a zanosilo się na to jeszcze przed rokiem — temat też miałby zapewnione miejsce w kronikach rodzimej techniki; nigdy przedtem tak wielki zespół badaczy i projektantów nie pracował wspólnie nad rozwiązaniem jednego zagadnienia.

Chodzi o przetwarzanie benzolu.

KLUCZ DO BENZOŁOWYCH BOGACTW

ROZWÓJ hutnictwa żelaza i stali — jedna z cech charakterystycznych naszej industrializacji — pociąga za sobą wzrost produkcji koków węglowych. Huty nie mogą się bez nich obejść, surowców wyjściowych, tj. węgla koksującego, mamy dość dużo — równolegle z budową nowych pieców hutniczych powstawały nowe baterie koksownicze, w ostatnich latach wytworzyliśmy około dwudziestu milionów ton koksu rocznie. Produktem ubocznym wytwarzania koków węglowych jest smoła i benzol.

Ta bezbarwna, trująca, przykro cuchnąca ciecz jest bardzo cennym surowcem chemicznym. Zawiera między innymi: benzen, toluen, ksyleny, inden, kumaron — aromaty niezbędne do wytwarzania włókien syntetycznych, sztucznych tworzyw i kaucuków, farb, środków farmaceutycznych i mnóstwa innych artykułów. Benzen stosowany jest też jako komponent benzyn silnikowych, ale to już coraz częściej uważa się za marnotrawstwo; można przecież przetwarzać go na nieporównanie cenniejsze produkty, do wymienionych już koniecznych dodać należy benzol pozwalający nadawać tkaninom apreturę przeciwskurczliwą, niemnąc, impregnującą itp. Warunkiem wstępnym, czy jak kto woli — kluczem do wszystkich tych bogactw chemicznych jest otrzymanie z benzolu aromatów czystych.

Przy produkcji benzenu z ropy naftowej nie nastręcza to specjalnych trudności. Benzen — powiedzmy tak — petrochemiczny otrzymuje się przy pirolizie benzenu, to wcześniej już muszą być oczyszczone z siarki, z czystego wsadu praktycznie już bez kłopotów otrzymuje się czysty produkt. Rafinowanie benzenu pocho- dzącego z węgla jest procesem nieporównanie trudniejszym. Parają się tym dotychczas: Zakłady Chemiczne „Blachownia”, zakłady koksownicze Huty im. Lenina, „Hajduki” i „Radlin” — wszystkie razem nie nadążają z przetwarzaniem, część benzolu się więc eksportuje, po cenach dość mizernych, za to sprowadza się czysty benzen po cenach wielokrotnie wyższych — robi się to prosto kłopotliwe interesy, a złotówkowe i dewizowe rachunki stanowią tu tylko część problemu.

Wszystkie wymienione zakłady posiadają się podobnymi, mocno już przestarzałymi technologiami. Do rozdzielania benzolu na poszczególne składniki używają stężonego kwasu siarkowego, który, rafinując benzol, tworzy tzw. smółki, odpady szkodliwe dla środowiska, a bardzo odporne, trudno poddające się próbom zniszczenia. Również sam kwas siarkowy, po rafinacji jest już tylko produktem odpadowym, z którym też nie wiadomo co począć. W Europie i w ogóle na świecie mało kto już używa tej technologii. Zastąpiono ją rafinacją wodorowo-katalityczną, eliminującą powstawanie uciążliwych odpadów, pozwalającą natomiast uzyskiwać większe ilości półproduktów cenniejszych we współczesnym przemyśle chemicznym.

Przed paroma laty, w ramach rządowego programu rozwoju chemicznej przeróbki węgla, postanowiono podjąć prace badawcze i projektowe, które umożliwiłyby zlikwidowanie czterech przestarzałych przetwórci i zastąpienie ich jedną, wielką, postępującą się nowoczesną technologią.

Do rozwiązywania problemu wzięto się w sposób nie mający precedensu w dziejach polskiej techniki. Do prac badawczych i projektowych zaangażowano z górą tysiąc dwustu pracowników w pięciu różnych ośrodkach: Instytucji Chemii Przemysłowej w Warszawie, Instytucji Ciężkiej Syntezy Organicznej w Kędzierzynie-Koźlu, Politechnice Wrocławskiej, Biurze Projektów i Realizacji Inwestycji Przemysłu Chemicznego „Prosynchem” w Gliwicach i Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych w Plocku. Placówką wiodącą był Instytut Chemii Przemysłowej.

Efektem kilkuletniego współdziałania tych placówek jest oryginalna technologia hydro-katalizacyjnej rafinacji benzolu, w większości ogniw sprawdzona w skali półtechnicznej

na urządzeniach mających swe odpowiedniki w bardzo nowoczesnych układach aparaturowych w Plocku i Blachowni Śląskiej.

Jako odrębne osiągnięcie traktować należy opanowanie współpracy wielkiej ilości pracowników badawczych i projektantów, zatrudnionych w pięciu znacznie od siebie oddalonych placówkach. Trudny, ale coraz częściej konieczny podział prac badawczych dyktowały potrzeby gospodarcze. Rozbudowa koksowni pociągała za sobą zwiększoną produkcję surowego benzolu, wartość zawartych w nim składników potęgowała wyższą cen ropy naftowej. Podział zadań umożliwił pełne wykorzystanie specjalizacji poszczególnych ośrodków badawczych: ICSSO — o-czyszczanie wodoru, odsiarczanie, produkcja żywic indenowo-kumaronowych, ICHP — destylacja, Politechnika Wrocławska — katalizatory... Każdą wątpliwość należało sprawdzić w urządzeniach półtechnicznych w Plocku, bo tam właśnie są odpowiednie aparaty i kadra doświadczona przy rozwiązywaniu podobnych zagadnień. W żaden inny sposób tak wielkiego problemu nie dałoby się rozwiązać w tak krótkim czasie i w rozsądnych granicach kosztów.

Meldunek o przebiegu i wynikach prac nad nowoczesną technologią rafinowania benzolu przedstawiono na VII Kongresie Techników Polskich. Brzmiał już wtedy dość kategorycznie, ale bliżej interesujący się tą sprawą łatwo mógł dojść do wniosku, że sformułowanie go trochę na wyrost. Inaczej ówczesne wyniki oceniali przedstawiciele placówek badawczych, inaczej przyszli użytkownicy.

Związani z ośrodkami badawczymi twierdzili:

Nasz proces jest konkurencyjny w stosunku do ofert zagranicznych, inwestor nie jest zupełnie obiektywny przy wszystkich koniecznych tu porównaniach. Przede wszystkim jednak podstawą naszej oferty jest licencja krajowa, pozwalająca zaoszczędzić wydatków dewizowych. Narzuty licencjodawcy i zyski zagranicznych pośredników, przy tego rodzaju inwestycjach, sięgają nieraz dwudziestu procent kosztów, o tyle więc nasza oferta wypadnie taniej. A nawet więcej. Nasza oferta obejmuje bowiem gotowość wykonania pełnej dokumentacji techniczno-robotowej uwzględniającej w najszerszym stopniu aparaty i urządzenia wytwarzane w kraju...

Związani z inwestorem twierdzili: Przeprowadziliśmy pełne rozpoznanie ofertowe; porównania wskaźników techniczno-ekonomicznych ofert zagranicznych z stosunkiem do krajowej nie wypadają korzystnie dla tej ostatniej. Rachunki przedstawiane przez autorów krajowej technologii są zbyt uproszczone, liczyć trzeba nie tylko nakłady inwestycyjne, ale i koszty eksploatacji, a przede wszystkim możliwe do osiągnięcia efekty produkcyjne. Same koszty inwestycji nie mogą być przeszkodą i przesądzać nie mogą. Chodzi o setki tysięcy ton cennego surowca, każdy procent gotowych wyrobów przelicza się na wielkie sumy... Pisząc wtedy o tej sprawie, przychyliłem się do opinii zasłyszanej jeszcze gdzie indziej, w jednostce w stosunku do inwestora nadzórnej. Brzmiała ona mniej więcej tak:

Rzeczywiście, porównania nie wypadają zbyt korzystnie dla oferty krajowej. Nie twierdzimy, że rozwiązania proponowane przez naszych badaczy i projektantów są złe. W stosunku do rzeczywistych, zagranicznych po prostu są opóźnione. Przez te cztery lata za granicą też nie spał. Wygląda jednak na to, że — z opóźnieniami przyczyn — wielka przetwórcza benzolu nie znajduje miejsca w planie tak szybko, jak zamierzano. Nasi badacze zyskają trochę czasu, jeśli wezmą się do roboty — jeszcze mogą zdążyć.

Więc, w tej samej placówce, ci sami ludzie stwierdzają:

Zdążyli. Prace badawcze zakończone, wyniki zostały przyjęte, najprawdopodobniej w następnej pięcioletce zbudujemy zakład wykorzystujący opracowane technologie.

(ajk)

TRZEBA SZANOWAĆ MILIONY

Rozmowa

z MARIANEM GRADUSZYŃSKIM i HENRYKIEM SZCZYGIELSKIM

kierownikami działów gospodarki materiałowej oraz zaopatrzenia

Kombinatu Dźwigów Osobowych w Warszawie

KRZYSZTOF KRAUSS: W naszym redakcyjnym sondażu, dotyczącym roli i miejsca, jakie przypadać powinny drobnej wytwórczości, wielokrotnie już padały stwierdzenia — nie tylko rynek, ale i kooperacja, może nawet przede wszystkim kooperacja... Bo w zaopatrzeniu rynku — tak twierdzili przynajmniej niektórzy nasi rozmówcy — choć dominuje zawsze produkcja wielkoseryjna, drobni wytwórcy mają do spełnienia ważną, lecz uzupełniającą funkcję. Natomiast w sferze zaopatrzenia materiałowo-technicznego, zwłaszcza kooperacyjnego, mali wytwórcy są często nie do zastąpienia. Poza tym duże, nowoczesnie wyposażone fabryki wyrobów finalnych dysponują znacznymi rezerwami zdolności produkcyjnych, trzymane zaś są „za gardło” przez niedorozwój kooperacyjnego zaplecza.

MARIAN GRADUSZYŃSKI: Nie wiem, czy ma sens rozważanie, gdzie przede wszystkim koncentrować się powinna drobna wytwórczość — w sferze produkcji na rynek czy w sferach pozostałych. Myślę — po prostu jako klient, odpowiadający od czasu do czasu sklepy — że bardzo przydałoby się tacy producenci, którym opłacałoby się wytwarzanie różnych drobniaków ułatwiających codzienne życie i przypuszczam, że łatwiej byłoby znaleźć tych „producentów” poza wielkim przemysłem, w zakładach drobnych, niekiedy wręcz rzemieślniczych.

HENRYK SZCZYGIELSKI: Wielki przemysł drogo kosztuje. W złotych, a na ogół także w dewizach. Majątek trzeba wyłożyć, by zapewnić wyposażenie w nowoczesne, wysokowydajne maszyny, postawić potężne, dostosowane do dużej produkcji hale. Kosztuje wyposażenie i utrzymanie ośrodków badawczo-rozwojowych, rozbudowanych biur konstrukcyjnych i technologicznych, bez których żaden większy zakład nie jest w stanie się obyć. W naszym np. kombinacie narzuty na robociznę bezpośrednią sięgają 700–800 proc., to daje chyba wyobrażenie o kosztach jakie wiąże się z działalnością „wielkiego przemysłu”. Może ktoś powiedzieć: za drogo... Nie chcę twierdzić — bo minąłbym się z prawdą — że rezerwy obniżenia kosztów wytwarzania zostały w naszym kombinacie wyczerpane do końca. Ale prawdą jest, że na całym świecie „duży” przemysł dużo kosztuje i prawdą jest również, że w sumie są to nakłady opłacalne. Wielkiego, nowoczesnego przemysłu nie zastąpią mali producenci, tu bierze początek rewolucja naukowo-techniczna, tu kształtuje się kultura techniczna kraju, tu rozstrzyga się jego potencjał ekonomiczny i miejsce w międzynarodowym podziale pracy. Tendencja na całym świecie jest taka sama: koncentracja, specjalizacja, mechanizacja i automatyzacja.

M. GRADUSZYŃSKI: Ale sprawa polega na tym, do czego używa się potencjału nowoczesnych, potężnych wytwórców, jakie przypadają im zadania. Jeżeli — a to często, zwłaszcza ostatnio, ma miejsce u nas — każe im się, że względu na braki na rynku, angażować się w produkcję, której śmiało i nie gorzej są w stanie podołać mali wytwórcy, bez tak kapitałochłonnego wyposażenia, bez tych wszystkich obciążeń, z jakimi „wielcy” wytwórcy mają do czynienia, rachunek opłacalności istnienia „wielkiego” przemysłu musi brać w łeb. Koszty przerastają efekty. „Wielki” przemysł staje się gadżetem zaspokajającym być może potrzeby prestiżowe, lecz skłóconym z rozsądkiem ekonomicznym.

Sens „zielonego światła”, jakie zapala się ostatnio przed rozwojem drobnej wytwórczości, wszystkich tych postulatów i nawoływań do zwiększania udziału drobnej wytwórczości w zaspokajaniu potrzeb rynku upatruję m. in. w tym, że tworzy to warunki do uwolnienia wielkich specjalistycznych zakładów przemysłowych od zajmowania się produkcją, do której nie są powołane. Naturalnie mam na myśli nie zwalnianie „wielkich wytwórców” od produkcji rynkowej, która mieści się w ich profilu specjalizacyjnym, a od

takiej, która trafia tam z przypadku. Bo to oczywiście, że fabryka telewizorów robiła i będzie robić odbiorniki „na rynek”, po to jest. Ale za panowała ostatnio moda na tzw. „produkcję uboczną”. Nie wiem, czy ktokolwiek policzył, jaką za nią płacimy cenę: nie tylko w postaci bezpośrednich kosztów produkcji, ale przede wszystkim w postaci utraconych zdolności wytwórczych (maszyny, surowce, ludzie), które — wykorzystane zgodnie ze specjalizacją zakładu — mogłyby przynieść korzyści wielokrotnie większe.

— Po części zapewne ma Pan rację... Np. Polskie Zakłady Optyczne — pisaliśmy o tym z okazji tegorocznej debaty nad planem w tym zakładzie — wytwarzają tzw. maskownicze: kawałek deski i kilka metalowych ramek. Taką „deskę” do odbitek fotograficznych jest w stanie zrobić praktykant w warsztacie stolarskim przy użyciu najprostszego narzędzi, byle miał do niej metalowe ramki. W PZO, zatrudniających najwyższej klasy fachowców, borykających się z niedoborem ludzi i powierzchni produkcyjnych, maskownicze pochłaniają ok. 100 tys. roboczogodzin na produkcję powłok szklanych pozwalających zwiększyć ich dostawy do sklepów o połowę lub na eksport o kilkadziesiąt procent. Ale gdy w sklepach brakuje właśnie owych prostych „drobiazgów”...

H. SZCZYGIELSKI: Można próbować pogrzebacze ze stali nierdzewnej i na urządzeniach, przystosowanych do gęstej precyzyjnych profili, ale po co? Ja rozumiem — rynek domaga się, by były pogrzebacze, szczególnie na wsi jest to wciąż jeszcze artykuł pierwszej potrzeby, a zwłaszcza techniki produkcji do zadań, jakie ma

Niech pogrzebacze robią ci, co je robić powinni.

M. GRADUSZYŃSKI: Powiadamy — efektywność gospodarowania to sprawa, która staje się naczelnym nakazem. Szybkie wypełnienie luk, jakie pojawiły się na przemysłowej mapie kraju, a więc stworzenie odpowiednio rozwiniętej sieci małych wytwórców, którzy mogliby — taniej i sprawniej niż „wielcy potentaci” — przejąć część obowiązków w zaopatrzeniu rynku, jest działaniem mieszczącym się w pojęciu racjonalnej ekonomiki. Rozbudowa tego typu „małego przemysłu” lub wręcz rzemieślniczych, jak sądzę, przedpoie do zaprowadzenia porządku tam, gdzie poszły miliardowe nakłady na stworzenie nowych, wysokowydajnych zdolności wytwórczych, dziś często rozmiętanymi na drobne.

— Panowie stawiają sprawę tak, jakby produkcja rynkowych „drobiazgów” miała być czymś „gorszym”, poniżej godności wielkiego przemysłu. A poza tym można by odnieść wrażenie, że klucz, według którego chcieli Panowie dzielić przemysł na „wielki” i „mały” wprowadza się do kryterium — „drobny” przemysł jest od „drobnych” rynkowych wyrobów, „wielki” przemysł albo od skomplikowanych, złożonych produktów takich jak samochody, telewizory itp. albo — co jest uważane za swego rodzaju szlachectwo — od wytwarzania środków produkcji, maszyn, urządzeń itp.

M. GRADUSZYŃSKI: To chyba nieporozumienia. Kto z nas tak twierdzi? Ja? Kolega? Wolne żarty... Chodzi o sprawę zupełnie inną: „przystawalność” form organizacyjnych produkcji, a zwłaszcza techniki produkcji do zadań, jakie ma

się do spełnienia. Powoływaliśmy się na przykłady angażowania zdolności produkcyjnych wielkoprzemysłowych fabryk do wytwarzania wyrobów rynkowych, które do fabryk tych nie pasują, nie ta skala produkcji jest potrzebna, nie ta technika, nie te kwalifikacje... Powoływaliśmy się na nie po prostu dlatego, że hasło „rynek”, „eksport” stało się niemal ideologicznym zawołaniem i nalepienie etykiety z napisem „rynek” lub „eksport” niektórym kierownikom przemysłu daje jakby odpust zupełny: od liczenia, od myślenia kategoriemi ekonomicznymi. Równie łatwo — a z racji zajęć służbowych, jakie nam przypadają, nawet łatwiej — byłoby nam przytoczyć przykłady nieprzystosowności form organizacyjnych i techniki produkcji w sferze zaopatrzenia materiałowo-technicznego. Tu co prawda brak „ideologicznego” alibi, rozbrat z rozsądkiem dokonuje się bez wtóru wenbli, lecz skutki są podobne.

H. SZCZYGIELSKI: W najbliższym czasie być może zmuszeni będziemy sami zająć się produkcją podkładek klinowych dla własnych potrzeb: takich kawałków metalu o przekroju trójkąta, wstawianych pod pewne rodzaje śrub, stosowanych w dźwigach osobowych. Do jednego dźwigu potrzeba 24 takich podkładek, ok. 5 ton na kwartał. Robota dla ucznia szkoły zawodowej na najprostszych w świecie urządzeniach.

M. GRADUSZYŃSKI: Warsztatki rzemieślniczy w szopie za miastem całą tę „produkcję” mógłby załatwić w tydzień — dwa. Na odpowiednich urządzeniach produkcja niemal bezodpadowa, z tony metalu prawie tylko na podkładki. U nas podkładki toczył będziemy na obrabiarkach, połowa wadu surowcowego pójdzie na wióry, obsługiwac obrabiarki będą fachowcy z wysoką grupą osobistego zaszerzowania, bo tacy u nas pracują. Nie warto — dla tej ilości produkcji — angażować niskokwalifikowanych robotników. Instalować specjalnych, pracujących bezodpadowo maszyn. Wióry, których można by uniknąć, nie „zarobiliby” — przy naszej skali zapotrzebowania na podkładki — na specjalistycznych oprzyrządowanie i dodatkowych pracowników. „Zarobiliby” dopiero wtedy, gdyby była to produkcja masowa, obliczona na szeroki zbyt, nie tej jednej tylko podkładki, a całej „rodziny” podkładek i innych podobnych normaliów.

— Co stoi na przeszkodzie — skoro już kombinat podejmuje produkcję podkładek — by zorganizować ją na zasadach zgodnych z rachunkiem ekonomicznym? A to oznacza, że nie w krótkich, a w wielkich seriach, nie tylko dla siebie, a dla innych odbiorców — na tzw. normalia zbyt jest prawie nieograniczony, nie na obrabiarkach, a na prasach lub innych automatach... Wtedy można będzie produkować tanio, oszczędnie.

M. GRADUSZYŃSKI: A kto wtedy będzie produkować dźwigi osobowe? Fabryki śrub? Nie przesadzajmy.

H. SZCZYGIELSKI: Rachunek ekonomiczny jest pojęciem bardzo względnym. Oczywiście rzemieślnik, spółdzielnia, zakład dawnego przemysłu terenowego poszedłby po krótkim czasie z torbami, gdyby chciał robić podkładki klinowe tak, jak my je będziemy robili. Nas to będzie kosztować, może nawet dość sporo, ale nie tyle, by kombinat miał z tego powodu zbankrutować. Nawet, gdyby wykonane we własnym zakresie podkładki miały być dziesięciokrotnie droższe od podkładek kupowanych w hurtowni „Metalzbytu”, jak to będzie ułamek kosztów wyprodukowania całego dźwigu? Chyba nawet nie tysiącna część, a cyferka na tak dalekim miejscu po przecinku, że nie zmieści się w lufce „kręciółka”.

— Ludzie, biegli w handlowym fachu twierdzą, że nie dojdzie do majątku ten, komu nie chce się schylić po leżący na ziemi grosz...

H. SZCZYGIELSKI: Teoria, teoria... Potrzebujemy, jak już wspominałem, 5 ton podkładek na kwartał. „Metalzbyt” potwierdził nam w I kwartale dostawę 450 kg. Miałby kombinat z tego powodu zrobić tylko 10 proc. zaplanowanej i zamówionej przez odbiorców — krajowych i zagranicznych — ilości dźwigów osobowych? Być może rację mają ci, co twierdzą, że trzeba szanować każdy grosz, ale ja myślę, że przede wszystkim trzeba szanować miliony złotych, a nie tysiące: jeżeli zarobienie milionów zależy od wyłożenia paru czy nawet parudziesięciu tysięcy złotych dodatkowo, to chyba nie ma nad czym się zastanawiać i o czym dyskusować.

M. GRADUSZYŃSKI: Operujemy tu porównaniem — cena, jaką liczy za swoją dostawę „Metalzbyt” i ewentualny koszt wyprodukowania podkładek we własnym zakresie. Można stąd wyprowadzać — szczegółnie, jeśli pomnoży się to przez ilość zakładów w Polsce, wytwarzających „domowym sposobem” różnego rodzaju śruby, nakrętki, podkładki itp. — bardzo efektywne wnioski, ale co one będą miały wspólnego z życiem, z rzeczywistością? Tyle, co cena płacona „Metalzbytowi” z faktycznymi kosztami, poniesionymi przez kombinat w związku z dostawami podkładek za pośrednictwem „Metalzbytu”.

H. SZCZYGIELSKI: Faktura to jedno, a koszt rzeczywisty — to niekiedy zupełnie co innego. Podkładki, dostarczane nam za pośrednictwem „Metalzbytu”, produkują zakład w Siemianowicach. Liczy za podkładki naturalnie według cennika, urzędowo, ani grosza więcej. Ale przed kilku miesiącami zakłady w Siemianowicach powiadomiły nas, że jeżeli nie oddelegujemy własnego pracownika, który na ich maszynach i z ich surowców zrobi potrzebne nam podkładki, to ich po prostu nie dostaniemy. Bo maszyny mają, surowce w zasadzie też, nie mają natomiast „limitu zatrudnienia” i ludzi do roboty. Więc delegowaliśmy pracownika, bo co? Po arbitrażach się

procesować i wstrzymać montaż dźwigów? Delegowany pracownik musiał oczywiście otrzymać swój średni zarobek, wynikający z „wyrobienia” w poprzednich miesiącach, bo robota, do której został oddelegowany, nie pozostawała w żadnej proporcji do jego kwalifikacji i stawki zaszerzowania. Trzeba było zwrócić mu koszty podróży, na to jest paragraf i to mu się należy, za kwatery też nie płać z własnej kieszeni, delegowanemu pracownikowi przysługuje dieta na wyrównanie wyższych kosztów utrzymania poza domem, nieduża, lecz także kosztująca parę złotych. Jeśli to wszystko razem zliczyć, to chyba bardzo opłaca się — będzie to dla kombinatu mniejszy wydatek — jeśli ten fachowiec wykona podkładki u nas na miejscu, bez całych tych korowodów, delegacji, wędrowek podkładek przez magazyn hurtowni do nas, na montaż... A co najmniej zaoszczędzimy na fakturze, która w takim przypadku doprawdy nie wiadomo już, za co jest: za znak fabryczny Siemianowic na wyrobie wykonanym przez naszego pracownika?

— General Motors — liczy 16 przytaczaliśmy niedawno w „Z.G.” — współpracuje z 33 000 poddostawców, z których 3/4 zatrudnia poniżej 100 osób. Gdyby Kombinatu Dźwigów Osobowych dysponował podobnym zapleczem kooperantów, z reguły małych, ale sprawnie działających firm, żyjących z tego, że potrafią tanio, dobrze i dużo produkować różne niezbędne zakłady montażowe — detale, podzespoły itp., prawdopodobnie nasza dzisiejsza rozmowa miałaby przebieg zupełnie inny.

H. SZCZYGIELSKI: Kombinatu Dźwigów Osobowych to jak na nasze polskie stosunki zakład duży, ale bez przesady — General Motors nie jesteśmy. 33 000 poddostawców na pewno nie jest nam potrzebne. Wystarczyłoby nam ich kilkadziesiąt razy mniej, ale poddostawców z prawdziwego zdarzenia. Znających się na robocie, której się podejmują, dostrzegających terminów, wymagających jakościowych. Przykład Siemianowic, na który się powoływałem, dowodzi, że takie potencjalne zaplecze przynajmniej częściowo istnieje. Tyle że funkcjonalność tego zaplecza, reguły gry w nim stosowane stawiają pod znakiem zapytania jego użyteczność. Myślę, że jeżeliby usunąć bariery, które dziś przemieniają niekiedy w karykaturę funkcję, jakie temu zapleczu przypadają, okazałoby się, że wcale nie jest ono takie szczątkowe, jak się często sądzi. Średnich i małych firm, statutowo przypisanych do tego, co określa się mianem zaplecza kooperacyjnego i materiałowo-technicznego lub które tym zapleczem mogłyby się stać, jest dość sporo. Jeżeli my, zaopatrzeniowcy, nie dostrzegamy tego w codziennej praktyce, jeżeli zaopatrzenie się zdobywa a nie zamawia, jeśli „uruchomienie” tego zaplecza zależy nie czasami od najbardziej fantastycznych i nieprawdopodobnych warunków, jakie spełnić powinien odbiorca, ma to w wielu przypadkach przyczynę inne niż „fizyczny” brak zdolności produkcyjnych tego zaplecza.

M. GRADUSZYŃSKI: Na pewno jednak — i z tą opinią trzeba się zgodzić — zaplecze jest zbyt skromne w stosunku do potrzeb. Co zaś najważniejsze: stopniowo wykrusza się... Wiele rodzajów produkcji kooperacyjnej i zaopatrzeniowej najlepiej sprawdza się wtedy, gdy zajmują się nią jednostki małe, elastyczne, których ekonomiczny byt zależy jest od rzetelnego realizowania podjętych wobec odbiorców produkcji kooperacyjnej zobowiązań. Tymczasem nasi „mali wytwórcy” dążą do jak najwyższego wyrwania się z tego rodzaju zależności. Łączą się w różne zrzeszenia, korporacje, „dopisują się” do różnych kombinatów, rezygnują z samodzielności na rzecz wielozakładowych przedsiębiorstw. Ja ich rozumiem. „Wielkim” łatwiej o zaopatrzenie surowcowe, bo sami mogą się za sobą ująć, łatwiej o rozwiązanie różnych problemów socjalnych, inwestycyjnych itp. Kto więc chciałby być „małym”? Ale wraz z tym, jak małe, uprzednio zaliczane do kooperacyjnego zaplecza firmy rozrastają się, zamieniają się w przedsiębiorstwa lub zjednoczenia o wielokierunkowym „profilu produkcyjnym”...

— „przestają się zajmować produkcją kooperacyjną lub zaopatrzeniową dla innych, sami chcą stać się wytwórcami „finalnymi”, zbierać pochwały za „rynek”, „eksport”.

M. GRADUSZYŃSKI: Nie zawsze. Część z nich pozostaje przy swych dawnych specjalnościach. Ostatnie miesiące były nietypowe, wiadomo — mrozy, śnieżyce. Wyłączenia energetyczne, w znacznym stopniu sparaliżowały transport, brak dostaw z zewnątrz i kłopoty z wyeksportowaniem własnej produkcji. W roku ubiegłym, gdy tych zakłóceń nie było, „krzywa” produkcji kooperacyjnej i zaopatrzeniowej rosła jednak w wielu branżach i resortach całkiem przyzwoicie. Wartościowe plany wykonywane były nawet niekiedy z nadwyżką. Tylko nie było właśnie owych śrubek, nakrętek itp. Duża organizacja ma bowiem możliwości manipulowania asortymentami. Dobierania tak asortymentów, by wartościowo produkcja z planem się zgadzała, nawet czasami, by zgadzała się w „grupach asortymentowych”. Ale zarazem — eliminuje się wyroby bardziej pracochłonne na rzecz mniej pracochłonne, bo wtedy te same



Marian Graduszyński



Henryk SzczygIELski

Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

nakłady pracy dają odpowiednio większe przyrosty „produkcji”, „wydajności”. A trzeba być naprawdę idealistą, by obierać trudniejszą drogę dochodzenia do efektywnych wyników gospodarczych, jeżeli można do tych samych wyników dojść „na skróty”.

H. SZCZYGIELSKI: Powiem coś, czego być może mówić „nie przystoi”. Zgadza się z tym, że trzeba przyspieszyć rozwój niewielkich zakładów spółdzielczych lub przemysłowych, dawniej zwanego terenowym, tworzyć materiałne warunki i zachęty do tego, by się tego rodzaju zakładów stawała się gęstsza i pełniejsza niż obecnie. Nie wierzę jednak — chociaż chciałbym się mylić — że z tego powodu ubędzie mi kłopotów, związanych z zapewnieniem bieżącego zaopatrzenia kombinatu w tysiące na co dzień potrzebnych detali, normalnych itp. Raczej — jeśli już — wiążąc tym rodzaju nadzieję z aktywizacją rzemiosła, jeśli by dopuścić szersze niż obecnie możliwości „stylu” z nim przemysłu uspołecznionego, a nie tylko pole działalności rzemiosła ograniczać do rynku i usług bytowych.

— Ale przecież rzemiosło ze swojej „natury” nastawione jest bardziej na produkcję jednostkową niż powielaną!

H. SZCZYGIELSKI: Otrzymałbym kiedyś zamówienie na dostawę w bardzo krótkim czasie 300 dźwignów osobowych do Czechosłowacji. Trzeba było zastosować w tych dźwignach kilka elementów nietypowych, odpowiadających normom obowiązującym u naszych sąsiadów z południa, a różniących się od norm naszych. Jedyni rzemieślnicy byli w stanie — i opłacało im się to — dostarczyć w tak krótkim terminie partie potrzebnych elementów, niedużo przecież, a decydujących o tym, czy wywiążemy się z zaciągniętych zobowiązań eksportowych.

M. GRADUSZYŃSKI: Rzemiosło reprezentuje sobą — oczywiście nie całe, bo nie brak tu ludzi goniących wyłącznie za łatwym zarobkiem — ogromny potencjał unikalnych niekiedy kwalifikacji. Rzemieślnik potrafi zrobić „coś” z „niczego”.

— Ten sam rzemieślnik, zatrudniony w jednostce gospodarki uspołecznionej, powiedzmy — w spółdzielni pracy, nie traci przez to swoich kwalifikacji. Co potrafi zrobić w warsztacie prywatnym, będzie umiał też zrobić w warsztacie uspołecznionym.

H. SZCZYGIELSKI: Zmienia się jednak jego sposób myślenia i widzenia różnych spraw. Ma pensję, nie boi się, że pozostanie bez zarobku na pierwsze tygodnie. Spółdzielnie — o czym już wspominaliśmy — interesują nie tylko to, by produkcja przyniosła określony dochód, ale także to, by mieściła się w różnych „wskaźnikach” i „relacjach”, którymi indywidualny rzemieślnik nie zarządza sobie głowy. Co indywidualnego rzemieślnika obchodzi, jaki będzie współczynnik opłacenia wzrostu wydajności pracy, jaki przyrost wartości sprzedanych do wartości zaistniałych środków trwałych, jaki udział produkcji „na rynek”, a jaki pozostałość? On po prostu liczy: włożę pracy tyle i tyle, dostanę za nią tyle i tyle złotych. Opłaci mi się to? Jeżeli dojdzie do wniosku, że mu się opłaca, na tym jego kalkulacja się kończy i zaczyna robota. Spółdzielnia — nie: ona naturalnie musi — a w każdym razie powinna — dać dochód, ale musi też wylegitymować się „wydajnością”, „produktywnością” i co też jeszcze jej zwierzchnia władza nie wymyśli, a wymyśla dużo.

M. GRADUSZYŃSKI: Mogłoby powstać wrażenie, że nie doceniamy możliwości, jakie dla rozwiązania naszych problemów zaopatrzeniowych czy kooperacyjnych zawiera w sobie potencjał produkcyjny „drobnych wytwórców” z sektora uspołecznionego. Tak nie jest. Współpracujemy — i chcemy współpracować — z zakładami i warsztatami uspołecznionymi. Dysponują one na ogół lepszym wyposażeniem. Uczniowie — chociaż nie, zawsze — kalkulują ceny swoich wyrobów czy usług. Przemawiają do nich argumenty nie tylko finansowe. Bardzo chwalimy sobie np. współpracę z zakładami doskonalenia zawodowego i warsztatami szkolnymi. Mają te warsztaty sporo przyzwyczajonych maszyn, nie mają zazwyczaj kłopotów z zatrudnieniem, bo chodzi przecież o uczniów, których nabór odbywa się poza systemem obowiązujących przemysłowych limitów, brakujące często surowców — lecz surowcami my możemy z kolei wspomóc.

H. SZCZYGIELSKI: Nie dlatego, że mamy surowców w nadmiarze, a dlatego, że warsztaty szkolne i zakłady doskonalenia zawodowego doskonale nadają się do przekazania im wielu operacji z zakresu np. obróbki mechanicznej. Te obróbki trzeba wykonać, jeśli nie współpracowalibyśmy z warsztatami szkolnymi, musieliśmybyśmy zajmować się nią sami. O surowce i tak musieliśmybyśmy się zatroszczyć — dla siebie. Kooperacja, polegająca w tym przypadku na zleceniu określonych operacji technologicznych według naszej dokumentacji i na naszym materiale, jest z dwóch powodów bardzo wygodna. Po pierwsze: pozwala obejść bariery zatrudnienia, po drugie — pozwala uniknąć obciążania robociz-

ny narzutami, jakie — gdyby operacje te wykonywali nasi pracownicy, u nas w zakładzie — należałoby do kosztów robocizny doliczyć.

M. GRADUSZYŃSKI: Jest to ważny, ale specyficzny fragment naszych potrzeb kooperacyjnych. Dotyczy usług stosunkowo prostych i robót powtarzalnych, stanowi jakby przedłużenie normalnej, seryjnej produkcji odbywającej się w zakładach kombinatu. Ale ci nasi partnerzy nie są w stanie podjąć się usług, których odczuwamy szczególnie deficyt. Myślę o współpracy z naszą prototypownią, biurem konstrukcyjnym i technologicznym. Produkcja wymaga stałego doskonalenia. Na deskach projektantów powstają pomysły zastąpienia jednych elementów innymi, należałoby te pomysły sprawdzić. Zadane systemy symulacji nie zastąpią prób z gotowym wyrobem. Kto ma wykonywać prototypy takich nowych elementów? To są zazwyczaj roboty jednostkowe i bardzo pracochłonne. Ludzi zawsze nam brakuje, zawsze też są kłopoty z limitami zatrudnienia i funduszu płac. Oczywiście trzeba umieć coś więcej, niż umie praktykant z warsztatu szkolnego, by podjąć się zlecenia z naszej prototypowni lub biura konstrukcyjnego. Wprost idealnym partnerem byłby więc doświadczony rzemieślnik.

— I korzystacie Panowie w tych przypadkach z usług rzemieślników?

M. GRADUSZYŃSKI: Nie korzystamy.

H. SZCZYGIELSKI: Nawet nie z powodu limitów, którymi „obłożone” są zlecenia, kierowane poza sektor gospodarki uspołecznionej. Limity najłatwiej zmienić. Przede wszystkim — działa „bariera psychologiczna”. Każdy „styl” z sektorem nieuspołecznionym budzi podejrzenie, że może tu dojść do dwuznacznych interesów. A poza tym — działa „bariera surowcowa”. Rzemiosło ciągle jeszcze znajduje się na dalekim miejscu, gdy chodzi o przydziały surowców, półfabrykatów itp., a już produkcja rzemieślnicza, która nie jest bezpośrednio przeznaczona na rynek lub eksport, stanowi najmniej skuteczną legitymację do otrzymania takiego przydziału. Surowce z naszych przydziałów? Nie jesteśmy centralną materiałową, nie staramy nam surowców, by zaopatrzyć wszystkich: kooperantów z warsztatów szkolnych, ze spółdzielczych, z rzemiosła... Jak zresztą spótygowaliby się „bariera psychologiczna”, gdyby do faktu, że ktoś podpisuje zlecenie na wykonanie pewnych prac przez rzemiosło; dokonuje odbioru, podpisuje fakturę „doszedł” by jeszcze fakt, że „daje” rzemieślnikowi surowce...

— Nie zawsze muszą to być surowce pełnowartościowe, czasem wystarczy odpadowe lub wtórne.

M. GRADUSZYŃSKI: Jeżeli rzemieślnicy mieliby uczestniczyć w wykonywaniu prototypów nowych urządzeń lub ich elementów, użyte do produkcji surowce i materiały nie mogły być przypadkowe, muszą spełniać określone wymagania jakościowe. Ale zgadzam się, że część tych surowców mogłaby pochodzić z odpadów, z zapasów zbędnych, ponadnormatywnych...

H. SZCZYGIELSKI: Lecz trzeba do tych odpadów, resztek itp. dobrać. Zakłady mają obowiązek zagospodarowywania odpadów, ale jest to jeden z wielu tysięcy obowiązków, jakie spadają na pracowników działów zaopatrzenia, gospodarki materiałowej czy magazynowej. Efekt: ogromne ilości odpadów marzną się. Gdyby — nieraz zastanawiałem się nad tym — stworzył system agencyjnego handlu surowcami odpadowymi i wtórnymi, tak jak tworzy się system agencyjny w wielu dziedzinach „handlu rynkowego”, może wtedy bodźce do zagospodarowania zalegających w zakładach zapasów „nieprzydatnych surowców” okazałyby się skuteczniejsze?

M. GRADUSZYŃSKI: Lepsze wykorzystanie tego źródła zaopatrzenia w surowce mogłoby uruchomić dodatkowe rezerwy aktywizacji „drobnej wytwórczości” — uspołecznionej i nieuspołecznionej — zarówno w sferze produkcji rynkowej, jak kooperacyjnej.

H. SZCZYGIELSKI: Afenc, zajmujący się pośrednictwem w handlu surowcami odpadowymi i wtórnymi, mogłoby pełnić funkcję podwójną. Dostawców zaopatrzenia dla rzemiosła i małych zakładów uspołecznionych, zarazem zaś — z racji kontaktów, jakie przy tej okazji nawiązywałaby z rzemiosłem i innymi jednostkami drobnej wytwórczości — swego rodzaju „komwojażerów” usług, jakie drobna wytwórczość jest w stanie świadczyć wielkim zakładom. Bo, powiedzmy sobie szczerze, w tej chwili nasze, to znaczy pracowników zaopatrzenia wielkich zakładów przemysłowych rozpoznawanie możliwości produkcyjnych i usługowych drobnej wytwórczości, a zwłaszcza rzemiosła, jest dość skromne. Może wtedy, mając za pośrednictwem „agentów” odpowiedni pakiet ofert usługowych, nie musieliśmybyśmy np. we własnym zakresie uruchamiać produkcji podkładów klinowych?

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF KRAUSS

MASZyny W CIENIU CHEMII

DOKONCZENIE ZE STR. 1

wyżywienia. Natomiast inne programy były słabiej eksponowane.

— Jak szeroki asortyment wyrobów chemicznych jest niezbędny dla zaspokojenia bieżących potrzeb produkcyjnych przemysłu maszynowego?

— Ze względu na niezwykle szeroki profil produkcyjny resortu przemysłu maszynowego, również potrzeby zaopatrzeniowe całej naszej branży są bardzo rozbudowane. Śmiem twierdzić, że MPM — jako resort gospodarczy — jest najbardziej „trudnym” i wymagającym partnerem i pełna lista dostaw materiałowych dla naszych zakładów na pewno przekracza kilkanaście tysięcy.

Ale nas tu szczególnie interesują dostawy materiałów chemicznych. Otóż na 198 produktów typu zaopatrzeniowego bilansowanych centralnie w skali kraju przemysł maszynowy interesuje się 94 pozycjami, a spośród nich około 40 stanowią wyroby chemiczne. I myślę, że byłoby już wielkim krokiem naprzód, gdyby w zakresie tych 40 produktów producenci spod znaku chemii wywiązywali się ze swych zobowiązań, żeby respektowali terminy i ilości wynikające z bilansów, bowiem w zakresie produktów bilansowanych zakłady chemiczne występują wobec swoich odbiorców najczęściej jako monopolisci. „Strategicznymi” dla gospodarki materiałowej można by więc mówić o koordynacji pionowej, dyspozycje o rozdziale i przydziale wewnątrz od góry do dołu.

Jednak nie wyczerpuje to zagadnienia. Pozostają tysiące pozycji wyrobów „pozabilansowych”, bez których jednak produkcja wyrobów finalnych resortu maszynowego byłaby niemożliwa. I tu jesteśmy rzecznicami koordynacji typu poziomego, na niższych szczeblach gospodarczego mechanizmu — między zjednoczeniem (maszynowym) a zjednoczeniem (chemicznym), między zakładem a zakładem, między dostawcą a odbiorcą. Jesteśmy zdania, że im bardziej bezpośrednie są te związki kooperacyjne, im mniej angażujące administrację wyższych szczebli — tym są pewniejsze.

— Jakże branża w resorcie przemysłu maszynowego są najbardziej od chemii uzależnione?

— Największym odbiorcą materiałów chemicznych w MPM jest motoryzacja (około 50 proc. ogólnych dostaw), następnie przemysł elektrotechniczny i elektroniczny oraz przemysł zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego.

— Czy w samej taktyce rozwiązywania problemów kooperacyjnych dostrzega Pan jakiś postęp?

— W naszej praktyce gospodarczej mieliśmy stosunkowo niewiele przykładów pełnego i kompleksowego rozwiązania spraw zaopatrzenia materiałowego — można by tu wymienić takie wielkie przedsięwzięcia jak uruchomienie produkcji licencyjnego Fiata 125p, kiedy w ślad, a właściwie równocześnie z podjęciem produkcji przez FSO na Żeraniu również około 400 innych producentów innych branż — chemicznej także — zaangażowało się w produkcję podzespołów, części i półproduktów dla tego samochodu. Podobnie, ale już na mniejszą skalę, miało miejsce z Fiatem 126p, podobnie będzie z ciągnikiem Massey-Fergusson, z Ursusa, podobnie z odbiornikiem telewizji kolorowej. Chciałbym podkreślić zauważalną, moim zdaniem, zmianę w podejściu do spraw zaopatrzenia materiałowego — dawniej na pierwszy plan „hasłowo” wysuwało się cel produkcyjny, pożądaną efektem gospodarczym, pożądanym efektem gospodarczym, a sprawy zaopatrzenia pozostawały w cieniu, nie zawsze w pełni domówione, co w konsekwencji zmuszało niekiedy do znacznego importu kooperacyjnego. Obecnie równocześnie z decyzją „co” ma być produkowane i w jakich rozmiarach, rozważa się „z czego” i odpowiedź na to drugie pytanie często definiuje w ogóle całość przedsięwzięcia.

Skoro padło słowo „równocześnie”, chciałbym tu także podkreślić pilną potrzebę szybkiego inwestowania i szybkiego osiągnięcia zdolności produkcyjnej. Z naszego „maszynowego” punktu widzenia, ostatnio w chemii obserwuje się niepokojące



Fot. S. ZUBCZEWSKI

wydłużenie cyklu inwestycyjnych. Jeśli decyzję o budowie wytwórni bieli tytanowej w Policach podjęto pod koniec lat sześćdziesiątych, a otrzymano pierwszą produkcję pod koniec lat siedemdziesiątych, to oznacza to, że faktycznie cykl inwestycyjny trwał aż 10 lat. Jeśli teraz my, przemysł maszynowy, potrzebujemy jako tworzywa konstrukcyjnego 10 tys. ton kopolimerów... styrenowych, to przyjęcie podobnego tempa „w” wywiązywaniu naszych potrzeb przez chemię jest nie do przyjęcia, gdyż oznaczałoby to, że otrzymamy te kopolimery pod koniec lat osiemdziesiątych. A jeśli nie otrzymamy — będziemy importować, a jeśli nie będziemy importować, to w jakiejś mierze będziemy musieli zubożyć własny program produkcyjny MPM.

DLA ukazania przyczyn „niemądania chemii”, zwłaszcza na polu zaopatrzenia w wyroby chemiczne przemysłu maszynowego, warto sięgnąć do prognoz zawartych w Programie Chemicznej Gospodarki Narodowej (r. 1972) i prześledzić odchylenia od tego programu. Prognozując rozwój przemysłu chemicznego do roku 1985, autorzy programu rozważali zmiany w strukturze spożycia. Nie można ich było oszacować na zasadzie prostej ekstrapolacji, gdyż należało zakładać zmiany w tej strukturze. Aby tym zmianom towarzyszyły przeobrażenia w zakresie produkcji dóbr materialnych — chemia — jak to wykazują analizy krajowe i międzynarodowe — powinna legitymować się szybszym tempem wzrostu od innych dziedzin przemysłu.

Przy zakładanym przez autorów Programu Chemicznej wzroście produktu globalnego o 7 proc. średnio rocznie powinien on osiągnąć w 1980 r. poziom 3950 mld zł, tymczasem jak wiemy rzeczywiste tempo wzrostu produktu globalnego było znacznie szybsze; już w roku 1977 osiągnął on pułap 4772 mld zł, w roku 1978 zbliżył się do 5000 mld. mld. więc dziwnego, że te dziedziny gospodarki, te przemysły, które miały wyższą od założonej przez programistów „od chemii” akcelerację, te przemysły, których wkład w tworzenie produktu globalnego był szczególnie ważki, musiały w konsekwencji spotkać się z zaopatrzeniowymi kłopotami, m. innymi, a może przede wszystkim w zakresie produktów chemicznych.

Jednym z przemysłów, który w ostatnich 7 latach wykazywał szczególną aktywność produkcyjną, był przemysł maszynowy. Jego potrzeby uwzględnione zostały w modelu „motoryzacji” — zawierał on zespół zadań dla chemii, w związku z rozwojem motoryzacji indywidualnej, komunikacji publicznej, motoryzacji rolnictwa, a także dodatkowo szereg zadań produkcyjnych, kooperacyjnych związanych z rozwojem przemysłu elektrotechnicznego, elektrochemicznego, a także telekomunikacji.

ryzy sztucznych, wyrobów z tworzyw i wyrobów z gumy stanowią aż 80 proc. całości dostaw chemicznych. Wydaje się, że intensyfikacja produkcji chemicznej powinna dotyczyć przede wszystkim asortymentu wyrobów należących do tych właśnie trzech grup.

Czy można się godzić z tym, by np. stale importować dętki do kół „malucha”; samochodów tych produkujemy już 200 tys. sztuk rocznie. Każdy potrzebuje 5 dętek, a każda z nich kosztuje w imporcie 7 zł dew. Albo, czy powinniśmy importować opony typu „Gigant” do ciężkich ładowarek i górniczego sprzętu podziemnego, będącego np. naszą specjalnością w krajach RWPG, skoro za jedną sztukę płacimy około 2500 zł dew. Ogólnie ocenia się, że roczne potrzeby na ogumienie, opony, zgłaszane przez „Polmozybi” sięgają 1 mln sztuk.

Nie byłoby chyba celowe przytaczanie tu obszernej listy wyrobów chemicznych, których chemia nie dostarcza lub dostarcza w ilościach niedostatecznych — są wśród nich kopolimery styrenu, polistireny, poliuretany — niezwykle wartościowy materiał izolacyjny, poliwęglany, poliformaldehydy — do celów konstrukcyjnych w motoryzacji, w elektrotechnice, w zmechanizowanych sprzętach gospodarstwa domowego. W ubiegłym roku, jak wiadomo, wobec trudności importowych, wystąpiły i w przemyśle maszynowym i na rynku znaczne niedobory farb i lakierów. A przecież produkt finalny, czy to będzie samochód czy radioodbiornik, pompa czy silnik, bez ostatniego dotknięcia symbolicznego pędza nie może być sprzedany.

Problemu wielkich tonażowo i wartościowo dostaw produktów chemicznych nie da się, moim zdaniem, rozwiązać „metodami chałupniczymi”; pełne zaspokojenie potrzeb przemysłu maszynowego — warunk harmonijnego rozwoju — wiąże się przeto zarówno z możliwościami dostaw surowców — możliwości importowanych — do przerobu, głównie ropy naftowej, jak i z działalnością inwestycyjną, z budową nowych wytwórni i instalacji lub z modernizacją wytwórni starych — co oczywiście angażuje środki techniczne, finansowe, zdolności produkcyjne przedsiębiorstw budowlano-montażowych, angażuje także w chemii potencjał naukowo-badawczy. Są to wszystkie sprawy niezwykle trudne do rozwiązania.

Ale skoro te, należące do trzech grup towarowych produkty o dużym ciężarze gatunkowym stanowią 80 proc. dostaw chemicznych dla „resortu maszynowego” — to pozostaje jeszcze znaczny, 20 proc. margines, na który się składa przebogata maza „galanterii” chemicznej. Wielcy producenci od niej często uciekają — a mali? Gdzie jest przemysł chemiczny „małego kalibru” (przemysł terenowy, spółdzielczy, a nawet rzemieślnicze warsztaty trwałe skoooperowane z przemysłem „wielkim”), który dostarczałby „tysiąc i jeden drobniaczek” pochodzenia chemicznego, wytwarzanych w niewielkich seriach, o zróżnicowanych kształtach, o rozmaitych typorozmiarach, bez których przemysł maszynowy nie jest w stanie rytmicznie pracować, nadając za postępowaniem, reagować elastycznie za zmieniającymi się potrzebami odbiorców i eksportu. Wiadomo na przykład, że te drobniaki, te akcesoria z gumy, z tworzyw, różne uszczelki stanowią w bilansie zaopatrzenia przemysłu maszynowego łącznie poważną kwotę 900 mln zł obiegowych i około 20 proc. tych „drobiazgów” importuje się.

Wydaje się, że przemysł chemiczny — nie tylko kluczowy — powinien w najbliższych latach zwrócić baczniejszą uwagę na wielkie możliwości tkwiące w aktywizacji chemii małotonażowej, na małotonażowe przetwórstwo produktów chemicznych. Często dysponując uniwersalną aparaturą, wykorzystującą będącą w dyspozycji surowce, wykorzystując znane na świecie technologie, lub operując na oryginalnych polskich technologiach można by potrzeby producentów maszyn i urządzeń technicznych zaspokoić przy względnie niskich kosztach, czyli w sposób wysoce efektywny.

LECH FROELICH

FIZYCZY DO WZIĘCIA

JÓZEFINA HRYNKIEWICZ

Sytuacja absolwentów wielu kierunków studiów w ostatnich latach jest dość trudna. Komplikacje na rynku pracy wywołały dyskusje na temat rozmiarów kształcenia w szkolnictwie wyższym. Najczęściej proponowanym sposobem uniknięcia trudności jest zmniejszenie rozmiarów kształcenia. Nie ma natomiast propozycji poszukiwania nowych obszarów działalności społecznej, przyrodniczej, technicznej, które mogłyby z pożytkiem dla nas wszystkich opanować chłonny wyobraźni młodych. Dyskusja nie dotyczy tego, co mogą robić absolwenci szkół wyższych, lecz ilu ich potrzeba.

WIELKOŚĆ kształcenia na poszczególnych kierunkach studiów dostosowana jest do wielkości zapotrzebowania na specjalistów określonych dziedzin zgłaszanych przez pracodawców (tj. przedsiębiorstwa, resorty, działy gospodarki). Zasada ta obowiązująca w praktyce planistycznej ma daleko idące konsekwencje dla systemu kształcenia. Wielkość zgłoszonego zapotrzebowania decyduje bowiem o liczbie miejsc, wielkości zatrudnienia kadry naukowej, przynajmniej funduszy na prace badawcze itd.

W ostatnich latach nasiliła się krytyka tej zasady zarówno ze strony szkolnictwa wyższego, jak i pracodawców. Przyczyną tej krytyki jest osiągnięcie przez naszą gospodarkę stanu względnie wysokiego nasycenia pracownikami z wykształceniem wyższym. W ubiegłych latach, kiedy podaż absolwentów była znacznie niższa od zgłaszanego popytu, stosowane metody planowania potrzeb na określonych specjalizacjach nie wywierały większego wpływu na praktykę kształcenia i zatrudnienia.

Od 1975 roku przystąpienie do pracy absolwentów szkolnictwa wyższego jest wolniejsza niż przystąpienie do pracy absolwentów wyższego. Wybieganie napędza budzą niepokój społeczny związany ze statusem, jakim tradycyjnie „przystępuje” absolwent studiów wyższych bez względu na ich faktyczny poziom przygotowania do pełnienia roli zawodowych.

Solidne wykształcenie i co dalej?

Szczególny niepokój występuje jednak wówczas, kiedy mamy do czynienia z „nadmiarem” specjalistów tych kierunków, na których kształcenie wymaga znacznych nakładów finansowych, związanych z koniecznością zapewnienia odpowiednich laboratoriów, aparatury, materiałów itp. Jednocześnie są to kierunki zaliczane do tzw. trudnych, grupujące młodzież szczególnie uzdolnioną. Przy bardzo ostrej selekcji kandydatów, odsiew jest tam zwykle wysoki, a ukończenie takich studiów wymaga od studenta ogromnego nakładu pracy. Absolwenci tych kierunków prezentują na ogół wysoki poziom intelektualnego rozwoju, gwarantujący umiejętność przystosowania się do pracy w różnych dziedzinach.

Do kierunków, których absolwenci mają wysoki poziom uzdolnień i solidne wykształcenie, należy w uniwersytecie fizyka. Dlatego szczególnie niepokoją trudności, jakie wystąpiły w ostatnich latach z ich zatrudnieniem.

Mamy tu do czynienia z dwoma

równoległe występującymi niekorzystnymi zjawiskami. Pierwsze dotyczy zatrudnienia fizyków do prac pomocniczych, administracyjnych itp. Zjawisko drugie to całkowity brak miejsc pracy (rozumiany jako brak ofert zgłaszanych przez pracodawców).

Prof. Grzegorz Białkowski z Wydziału Fizyki UW obecny stan w zakresie zapotrzebowania na fizyków tłumaczy następująco: — Zanim rola nauk podstawowych w kształceniu inżynierów, zmniejsza się w programie nauczania liczb godzin fizyki i matematyki. Obniża się poziom ogólnego wykształcenia inżyniera. Dyrektor inżyniera (a większość dyrektorów to inżynierowie — przyp. J. H.) nie widzi potrzeby i naprawę nie wie, po co ma fizyka zatrudniać. Kształcenie w zakresie nauk podstawowych jest bardzo niedobrym odcieniem w edukacji inżynierów.

Czy tłumaczy to jednak wszystkie trudności z tworzeniem miejsc pracy dla fizyków poza instytucjami tradycyjnie ich zatrudniającymi (szkolnictwo i PAN)? Dlaczego nie ma zainteresowania ze strony przemysłu, który szczególnie w ostatnich latach unowocześniając bazę wytwórczą, rozbudował i wyposażał w nowoczesną aparaturę zaplecza badawczego i rozwojowego?

— Trudności z zatrudnieniem fizyków w przemysłowym zapleczu naukowo-technicznym — twierdzi prof. G. Białkowski — są wynikiem stosunku przemysłu do wynalazczości, zmian w technikach i metodach wytwarzania. Kierownicy przemysłu uważają na ogół, że wystarczy kupić licencję, nie zastanawiając się, co można w zamian, lub co należy w następnym etapie. Lepszy klimat dla wynalazczości w przemyśle radykalnie poprawi sytuację fizyków.

Co może fizyk zrobić w przemyśle?

— Może prowadzić — kontynuuje prof. Białkowski — prace koncepcyjne, zaprogramować metody na etapie wynalazczości, wskazać proces, podpowiedzieć rozwiązania, które doprowadzą do ciekawych wyników. Może wskazać te procesy, które są najbardziej efektywne. Trzeba jednak mieć pełną świadomość, że dopóki nie powstaną sprzyjające warunki, mechanizmy w przemyśle, dotąd nie poprawi się sytuacja fizyków na rynku pracy, a także fizyki jako dyscypliny naukowej.

Tymczasem na rynku pracy jest coraz więcej fizyków poszukujących zatrudnienia. Można więc oczekiwać obniżenia limitów przyjęć na fizykę, następnie zmniejszenia zatrudnienia fizyków w uczelniach (dostosowanie liczby pracowników do tzw. pensum dydaktycznego). A to już budzi niepokojące refleksje.

Zaskoczeni nadmiarem

Tym bardziej że obecnie występują trudności z właściwym zatrudnieniem fizyków są — moim zdaniem — wyrazem niesprawnej i nieskutecznej polityki zatrudnienia. Mimo licznych aktów prawnych dobra gospodarka i polityka kadrowa jest wciąż jeszcze raczej życzeniem niż rzeczywistością. Problemy takie, jak dobór pracowników, świadomy i celowy rozwój ich kariery zawodowej, dobór składu zawodowego zespołów z punktu widzenia potrzeb dyktowanych zadaniami — to problemy dobrze rozpoznane przez teorię (i zagraniaczną praktykę), ale nie stosowane na ogół u nas. Poziom przygotowania pracowników służb pracowniczych pozosta-

wa jeszcze bardzo wiele do życzenia. Zakres pracy tych służb odpowiada natomiast ich kwalifikacjom i przygotowaniu. To znaczy, ogranicza się w zasadzie do bieżących działań administracyjnych.

Dlatego uważam, że napięcia, jakie pojawiły się w ostatnim okresie z zatrudnieniem absolwentów, mają swoje źródło w dużej mierze w niesprawności polityki kadrowo-zatrudnieniowej. Wynikają z „zaskoczenia” służb zatrudnienia nową sytuacją na rynku pracy.

Kłopoty z pracą dla fizyków również nie wynikają z rzeczywistej nadprodukcji, lecz z niedostatecznej wiedzy pracodawców o tym, co fizyk określonej specjalności może robić, w jakich pracach jest specjalistą przez nikogo niezastępowalnym (dotyczy to również absolwentów pozostałych kierunków matematyczno-przyrodniczych).

Według informacji opracowanej przez Wydział Fizyki UW, absolwenci mogą pracować — poza PAN i szkolnictwem — w instytucjach naukowo-badawczych, OBR, zakładach doświadczalnych, centralnych laboratoriach, centrach naukowo-produkcyjnych. Główne potencjalnie zainteresowane zatrudnieniem fizyków branże przemysłowe, to elektronika, automatyka, przemysł precyzyjny, optyczny, elektrotechnika, przemysł węglowy, hutnictwo, telekomunikacja, energetyka, przemysł maszynowy, niektóre działy przemysłu

chemicznego. Są to branże potencjalnie zainteresowane, bowiem faktycznie fizyków dotychczas tam prawie wcale się nie zatrudnia.

Nieprzydatni?

Na pytanie: „Czy zatrudni pan fizyka?” — dyrektorzy wielu placówek badawczych i rozwojowych stanowili zaplecze nowoczesnych branż, zgodnie odpowiadali, że nie zatrudnia. Brak zainteresowania dla fizyków wyjaśniali całkowitą nieprzydatnością tych specjalistów do prowadzonych w tych placówkach prac. Niektórzy dodawali, że laborantów mogą mieć po maturze a niekoniecznie po uniwersytecie. (Nie wymieniam tu nazwisk i instytucji mającej nadzieję, że absolwenci fizyki znajdą tam zatrudnienie).

Wartość w biurze pełnomocnika nadesłane oferty:

— informacja o rodzaju pracy — najczęściej wpisane „wstępny staż”; — stanowisko po stażu — „referent”; — „do uzgodnienia”; — „fizyk”; — „Właściwie pełną informację otrzymują absolwenci tylko o działalności socjalnej zakładu. Lekcja nadesłanych przez działy zatrudnienia i kadry ofert wskazuje wyraźnie, że pracodawcom w gruncie rzeczy wszystko jedno, kogo zatrudniają. Jest to też dowód poziomu pracy służb pracowniczych w wielu zakładach.



W przemyśle trudno udowodnić swoją przydatność do pracy Mgr inż. Maciej Janke wybrał zawód nauczyciela fizyki. Pracuje w XVIII Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Zamojskiego w Warszawie.

Fot. S. ZUBCZEWSKI

Z doświadczeń absolwentów Wydziału Fizyki UW, którzy zdecydowali się na podjęcie pracy w przemyśle wynika, że nie dzieje się tam najlepiej. Zarobki wprawdzie wyższe, ale charakter pracy skutecznie zniechęca przed dalszym tam pobytem. Zmiana miejsca pracy prowadzi fizyków zawsze tylko w jednym kierunku — do działalności naukowej.

Podstawowa część absolwentów podejmuje pracę w uczelniach i instytucjach naukowych (głównie PAN). Z 66 absolwentów (bez biofizyków) UW, których pełnomocnik skierował w 1977 roku do pracy; 4 osoby pracują w działach doświadczalnych przemysłu, 5 osób w instytucjach resortowych, pozostali w uczelniach i PAN. Stan w poprzednich latach i w 1978 r. był podobny. Fizyków zatrudniają wciąż te same instytucje i... możliwości dalszego zatrudnienia właściwie już się wyczerpały.

Prof. Jerzy Pniewski — dziekan Wydziału Fizyki UW twierdzi, że Instytut PAN, IJB i inne tradycyjnie przyjmujące fizyków są już nasycone i nie występuje tam rotacja. A przecież nie zawsze trafiali tam najlepiej. Rotacja występuje w zasadzie tylko w Uniwersytecie: np. w ostatnich 5 latach z Instytutu Fizyki Doświadczalnej UW odeszło w wyniku rotacji 40 spośród 130 fizyków.

Istnieją możliwości zatrudnienia fizyków w uczelniach młodych. Są też miejsca wolne w szkołach podstawowych. W 1978 roku Biuro Pełnomocnika d.s. Zatrudnienia Absolwentów w UW odebrało oferty kandydatów w Ostrołęce, Łomży, Olsztynie, Radomiu. To prawda, że większość z tych ofert, mimo trudności z zatrudnieniem, nie znalazła chętnych absolwentów. Sądzę należy, że i w następnych latach też pozostaną aktualne. Wiekowa aktualność tych ofert ma swoje uzasadnienie w proponowanych warunkach pracy: jest to więc „praca na wsi, mieszkanie u rolnika”. Jest to więc oddzielny i szerszy problem, nie dotyczący wyłącznie fizyków.

A wracając do zasadniczego — moim zdaniem — w tej kwestii problemu: czy w przemyśle, a głównie w przemysłowym zapleczu badawczo-rozwojowym nie ma możliwości zatrudnienia fizyków (oraz pozostałych specjalistów nauk matematyczno-przyrodniczych)? Zdania są tu podzielone. Kierownicy tych placówek, sądząc z przesłanych do uczelni zgłoszeń i struktury zatrudnionych pracowników, nie widzą takiej potrzeby.

Z przeprowadzonych przez prof. Janusza Tymowskiego badań nad strukturą zawodową zatrudnionych w przemyśle przetwórczym USA i Wielkiej Brytanii wynika, że specjaliści nauk ścisłych i przyrodniczych stanowią poważny odsetek zatrudnionych z wyższym wykształceniem. W hutnictwie co trzeci pracownik z wyższym wykształceniem w pracach technicznych był po studiach uniwersyteckich. W przemyśle precyzyjnym, elektrotechnicznym i elektronicznym średnio co szósty. Natomiast w przemyśle chemicznym na 100 inżynierów zatrudniano 120 specjalistów po studiach uniwersyteckich. W przemyśle spożywczym na 100 inżynierów zatrudnia się 100 absolwentów studiów uniwersyteckich.

Zdaniem prof. J. Tymowskiego: — Utrzymanie się w światowej czołówce postępu technicznego wymaga od zaplecza naukowego i badawczo-rozwojowego przemysłu znacznego nasycenia, zwłaszcza nowoczesnych

branż, fizykami, chemikami i matematykami (...). Zawody te są decydujące dla wprowadzania radykalnie nowych rozwiązań w procesach wytwarzania w przemyśle.

Ze świecą szukać

W Polsce specjalistów nauk ścisłych w przemysłowym zapleczu naukowo-technicznym (poza niewielką zresztą grupą w przemyśle chemicznym i spożywczym), niemal w ogóle nie występuje.

Z badań nad kwalifikacyjną strukturą zatrudnienia w przemysłowym zapleczu naukowym i badawczo-rozwojowym resortu przemysłu maszynowego wynika, że pracowników o wyższym wykształceniu nie technicznym w pracach tego rodzaju prawie nie ma. Nie można tu nawet podawać przykładów, świadczących o wadliwej strukturze zawodowej zatrudnionych (będących między innymi wynikiem nieskuteczności lub wręcz braku świadomej polityki kadrowej), ponieważ trzeba byłoby przepisać cały wykaz jednostek naukowo-badawczych. Podobna sytuacja występuje także w placówkach badawczych pozostałych resortów.

Podczas sondażu nad wykorzystaniem inżynierów w jednym z ośrodków badawczo-rozwojowych przemysłu precyzyjnego rozmawiałam z absolwentką fizyki. Osoba ta legitymująca się znacznymi osiągnięciami (posiadająca między innymi kilka patentów) długo wyjaśniała, że jej wieloletnia praca w przemyśle uczyniła z niej inżyniera i jest tu naprawdę pożyteczna. Fakt ten świadczy o trudnościach, jakie napotyka absolwenci tych dyscyplin zanim udowodnią swoją przydatność do pracy.

Na nowe obszary

Sytuacji obecnej nie rozwiąże się metodą administracyjnego nakazu zatrudniania absolwentów fizyki w wyznaczonych jednostkach naukowych, rozwojowych czy w zapleczu technicznym przedsiębiorstw. Nakaz administracyjny zniechęci obydwie strony, zarówno pracowników, jak i pracodawców. Aby uzyskać trwałe pożytki muszą być spełnione pewne warunki. Zdaniem prof. Tymowskiego, w wybranych jednostkach badawczo-rozwojowych lub zapleczu technicznym w przemyśle elektronicznym i precyzyjnym należałoby zatrudnić 3- lub 4-osobowe grupy fizyków i zostawić im na jeden rok swobodę działania. Powinni oni obejrzyć produkowane wyroby, zapoznać się ze stanem podobnych wyrobów w innych krajach i przedstawić prozycie nowych rozwiązań, głównie w konstrukcji. Jeżeli potrafili pokazać nowe interesujące rozwiązania, stworzą miejsca dla swoich kolegów. Musi być spełniony jeszcze jeden warunek — przychylnie nastawiony do tej sprawy dyrektor jednostki.

Przedstawiona przez prof. J. Tymowskiego propozycja spotkała się z dużym i przychylnym zainteresowaniem kierownictwa resortu przemysłu maszynowego i ośrodków naukowych. Komisja kierowana przez doc. Jacka Baranowskiego — prodziekana Wydziału Fizyki — wybiera grupę absolwentów, którzy podejmą pracę w jednostkach badawczo-rozwojowych resortu przemysłu maszynowego.

Zespoły kompletuje się z nadzwyczajną starannością, bowiem od efektów ich pracy zależy przecież, czy możliwości działalności zawodowej fizyków rozszerzą się na nowe obszary.

MIESZKANIA 1981 - 85

JAKIE są uwarunkowania realizacji programu budownictwa mieszkaniowego w następnym pięcioletniu? Gdzie kwitują jeszcze „waskie gardła” i jakimi sposobami można je usunąć? To były główne problemy konferencji naukowo-technicznej zorganizowanej przez Komitet Naukowo-Techniczny NOT ds. Mieszkalnictwa oraz Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa.

Program budownictwa składa się z: budownictwa wielorodzinnego, jednorodzinne, towarzyszącego oraz modernizacji istniejących zasobów. Jest to więc cały kompleks zagadnień, z wieloma specyficznymi cechami. Aktualny stan w budownictwie mieszkaniowym charakteryzuje się następującymi uwarunkowaniami.

● Duże potrzeby mieszkaniowe wynikające z rozwoju demograficznego i społecznego. W latach 1981-85 zakłada się wybudowanie około 2 mln mieszkań (co oznacza osiągnięcie w 1985 roku 460 tysięcy). Plan na rok bieżący przewiduje oddanie do użytku 337 tys. lokali, a natomiast pomyślnie wykonanie bieżącej pięcioletniej wymaga osiągnięcia poziomu 360 tys. mieszkań w roku przyszłym. Nie są jednak wykonywane roczne plany. Dotyczy to zwłaszcza dużych

aglomeracji miejskich. W stolicy np. w roku ubiegłym wykonano zaledwie 79,3 proc. zadań planowych, w Poznaniu — 88,4 proc., w Katowicach — 94,1 proc. Znaczenie lepiej wygląda sytuacja w miejscowościach średniej wielkości i małych miastach, w których roczne plany przekracza się nawet o kilkanaście procent. I dlatego — jak podkreślono w dyskusji — nie może zadowalać wykonanie programu budownictwa w skali całego kraju, bowiem opóźnienia występują zwłaszcza w regionach o największych potrzebach mieszkaniowych.

● Znaczne ubytki istniejących zasobów mieszkaniowych i potrzeby modernizacji istniejącej zabudowy miast i osiedli. W latach 1976-80 określono potrzeby modernizacyjne istniejących zasobów na 250 tys. lokali. Do roku ubiegłego zmierzni zwanym zaledwie 40 tys. mieszkań. Jeszcze większe potrzeby w tym zakresie — wynikające ze względów społecznych, kulturalnych i gospodarczych — wystąpią w przyszłej pięcioletce. Określa się je na około 600 tys. mieszkań. W wielu przypadkach jest to restauracja i uchronienie przed całkowitą zdemolowaniem historycznej zabudowy i zabytków. Są to wszystkie jednak ro-

boty bardzo pracochłonne, od których uciekają przedsiębiorstwa budowlane. Występuje również brak materiałów wykończeniowych.

● Niewystarczający potencjał głównych uczestników i kooperantów w procesie budownictwa. Dotyczy to zwłaszcza pełnego wykorzystania potencjału wytwórczego fabryk domów. Średnio w roku ubiegłym był on wykorzystany w 90 proc. Statystycznie oznacza to, że z działających w roku ubiegłym 144 fabryk około 15 nie pracowało w ogóle.

● Nierównomierne i nieproporcjonalne rozłożenie środków na produkcję, co powoduje duże napięcia w realizacji zadań. Z tego między innymi powodu notuje się dość znaczne opóźnienia w uzbrojeniu terenu. Zamiast koniecznego, jest dwuletnie wyprzedzenie w realizacji infrastruktury nowych osiedli, obserwuje się niepokojące zjawisko równoległego uzbrojenia terenu — wraz z budownictwem. W roku ubiegłym tym sposobem wykonano 40 proc. uzbrojenia terenu, a w tym roku już 50 proc.

● Niedostateczne uwzględnienie w planach innych resortów produkcji dla potrzeb budownictwa. Ocena się, że około 60 proc. materiałów

i wyrobów pochodzi spoza resortu budownictwa. Koncentracja potrzeb materiałowych budownictwa mieszkaniowego wielo- i jednorodzinne łącznie z budownictwem towarzyszącym, remontami i modernizacją zasobów mieszkaniowych z możliwościami producentów wykazuje, że nadal będą występować napięcia w zaopatrzeniu. W roku bieżącym brak może m. in. około 10 mln m kw. materiałów podłogowych, około 70 tys. ton farb i lakierów, około 300 tys. m sześć. płyt styropianowych, 200 tys. ton węgla mineralnego, około 15 mln m kw. szkła okiennego. Również nie będą pokryte potrzeby na wyroby instalacji sanitarnych: grzejniki c.o. w około 70 proc., armatura — 90 proc. pokrycia potrzeb, kształtki żeliwne wodno-kanalizacyjne — 69 proc., kształtki z tworzyw sztucznych — 38 proc.

Podjęte przez Prezydium RP decyzje inwestycyjne wpłyną na złagodzenie trudności materiałowych dopiero po 1980 roku. Dotyczy to też ważnych materiałów, jak: uszlachetnione kruszywa budowlane, węgla mineralna, urządzenia sanitarne, grzejniki, złewomywaki, sprzęt instalacyjny.

Przed konferencją organizatorzy rozesłali wśród działaczy gospodarczych i wykonawców ankietę — „Jak pokażą istniejące trudności i ograniczenia w budownictwie, aby wybudować w przyszłym pięcioletcu co najmniej 2,1 mln dobrych jakościowo mieszkań”. Wśród odpowiedzi

najwięcej zainteresowania wzbudziły sprawy jakości i mające z nią ścisły związek: nieregularność pracy oraz lekceważenie obowiązujących zasad technologicznych i organizacyjnych. Natomiast stosunkowo słabiej zostało potraktowane budownictwo jednorodzinne. Odnosi się wrażenie, że znajduje się ono jeszcze ciągle na marginesie zainteresowań organizacji budowlanych. Nie ma jeszcze organizacji inwestorskich z prawdziwego zdarzenia, przedsiębiorstw specjalistycznych, central zaopatrzenia, pracujących na potrzeby budownictwa jednorodzinne. Na konferencji podkreślono, że aby budownictwo odegrało właściwą rolę w programie mieszkaniowym należy między innymi:

— system kredytowania budownictwa jednorodzinne traktować jako instrument polityki społecznej i techniczno-realizacyjnej; — wcześniej przygotowywać terytoryczną i sformalizowaną politykę prawo-administracyjną; — preferować zwarte i intensywne formy zabudowy, które pozwalają na oszczędzanie gospodarkę terenami i materiałami; — dia potrzeb wykonawstwa rozwijać drobne przedsiębiorstwa spółdzielcze i zrzeszenia rzemieślnicze; — popierać tworzenie się grup samopomocy budowlanej; — ujawnić i ustabilizować zasady polityki podatkowej producentów materiałów budowlanych, wykonawców i indywidualnych inwestorów.

Wszystkie należy już rozwiązywać w gminach, bo tam powstają najczęściej przeszkoły administracyjne sprawniej realizacji budownictwa indywidualnego.

Zwracano również uwagę na budownictwo towarzyszące, które jest częścią składową zespołów mieszkaniowych. A najczęściej właśnie te obiekty są narażone na opóźnienia. Powoduje to, że w wielu przypadkach podejmuje się decyzje budowy prowizorycznych i nie odpowiadających ustaleniom projektów obiektów. Wyjściem z sytuacji byłoby rozliczenie zarówno inwestorów, jak i wykonawców z realizacji tych obiektów na równi z programem mieszkaniowym.

Osobny nurt dyskusji stanowiła problematyka cen w budownictwie. Stwierdzono, że aktualne ceny straciły charakter prawidłowego miernika wartości. Dlatego między innymi rozbieżności między kosztami właściwymi, a nie powiązanymi z rzeczywistymi nakładami cenami uniemożliwiają funkcjonowanie nowego systemu ekonomiczno-finansowego w tym dziale gospodarki. Podkreślono, że należy opracować normatywy kosztorysowe dostosowane do obecnych technik budownictwa, urealnić ceny kosztorysowe oraz opracować metody ich korygowania. Nie mniej ważne jest również opracowanie katalogów cen elementów budowlanych i gotowych obiektów.

(ACH)

Refleksje nad ogólną sylwetką ekonomisty, jakiego warto by kształcić dla przyszłości, wypada poprzedzić krótką chociażby charakterystyką obecnej struktury zatrudnienia ekonomistów z wyższym wykształceniem w naszej gospodarce uspołecznionej w świetle niektórych danych spisu kadrowego z 1973 i 1977 r.

EKONOMIŚCI PRZYSZŁOŚCI

MICHAŁ OŁĘDKI

(artykuł dyskusyjny)

W ŚROD ogółu pracowników z wyższym wykształceniem najwięcej ekonomistów występuje w dziale finansów i ubezpieczeń (34,8 proc. według stanu z 1973 r.). W handlu — 33,3 proc., w transporcie i łączności — 25,7 proc., w gospodarce mieszkaniowej i komunalnej 19,1 proc. W przemysle udział ich wynosił wówczas 17,2 proc., w administracji i wymiarze sprawiedliwości 15,5 proc. przy ogólnym wskaźniku dla gospodarki uspołecznionej — 11,4 proc. Warto przypomnieć, że w 1958 roku analogiczny wskaźnik udziału ekonomistów w grupie pracowników z wyższym wykształceniem wynosił 12,7 proc., a w 1964 r. — 11,6 proc. Najbardziej zbliżone do tego ogólnego wskaźnika w 1973 r. było budownictwo (10,9); wszystkie inne działy miały wskaźnik poniżej 5 proc., a w ochronie zdrowia, opiece społecznej i kulturze fizycznej wskaźnik osiągnął minimum, tj. ok. 1 proc. Udział ekonomistów w dziale zbiorczym „pozostałe” wynosił natomiast 25,3 proc.

Przytoczone dane mówią jedynie o stopniu koncentracji ekonomistów w poszczególnych działach gospodarki uspołecznionej. Trudno jednak na ich podstawie wnioskować o stopniu racjonalności rozmieszczenia i wykorzystania kwalifikacji właściwych dla tego zawodu, zarówno w działach o wysokiej koncentracji ekonomistów wśród grupy kadr z wyższym wykształceniem, jak i w działach zbliżonych do minimum. Można jedynie wysunąć hipotezę, że we wszystkich działach gospodarki sfery produkcji materialnej i w usługach niebawem różnicowanie stopnia koncentracji ekonomistów wśród ogółu kadr z wyższym wykształceniem prawdopodobnie wynika z różnego stopnia substytucji profilu kwalifikacji specjalistycznych kadr z wyższym wykształceniem lub niższym aż do podstawowego, spełniających go rolę lub lepiej funkcje teoretycznie przypisane zawodowi ekonomisty. W 1977 w każdym razie znacząco wzrosła liczba stanowisk szczebla wyższego obsadzonych przez ludzi bez wyższego wykształcenia. Poza tym nadal nie rozstrzygnięta kwestia stopnia substytucji kadr technicznych czy medycznych przez wyspecjalizowanych ekonomistów na wielu stanowiskach organizacji i zarządzania w placówkach kierujących różnymi działami gospodarki narodowej, itp.

Specjalności wyuczone i feminizacja

Istotny dla gospodarstwa społecznego stopień racjonalności struktury zatrudnienia ekonomistów, tj. efektywność wykorzystania potencjału ich kwalifikacji zawodowych, może być obecnie oceniony w zasadzie tylko intuicyjnie, na podstawie sporadycznych, wycinkowych obserwacji lub specjalnych badań opinii publicznej. Nie zastosowano bowiem, jak dotąd, bardziej złożonych technik pomiaru zgodności zawodu wyuczonego i wykonywanego przez wszystkich „nazwanych ekonomistami”, uznając widocznie, że jest to problem mniej ważny wobec innych wiodących czy społecznie cenionych zawodów. Takie badania prowadzone są wśród kadr inżynierów-techników i robotników wykwalifikowanych.

W obecnej sytuacji nawet niezbyt skomplikowane tablice krzyżujące specjalności wyuczone ze stanowiskami pracy zajmowanymi przez ekonomistów w konkretnych jednostkach organizacyjnych gospodarki narodowej pozwoliłyby orientacyjnie ocenić racjonalność proporcji kształcenia w zakresie występujących specjalności ekonomicznych, a także rozmieszczenia wyspecjalizowanych specjalistów w strukturach działowo-gałęziowej i przestrzennej naszej gospodarki.

Przyjrzyjmy się więc z kolei dostepnemu obrazowi struktury zatrudnienia ekonomistów z wyższym wykształceniem według wyuczonych specjalności. Spis kadrowy z 1973 r. wyodrębnił 13 specjalności wyuczonych w zawodzie ekonomisty, natomiast w 1977 było ich 19. Średni stopień feminizacji ekonomistów (udział kobiet w zawodzie ekonomisty zatrudnionych) w 1973 r. wynosił 44,9 proc. (od ogólnej liczby 69 450). W 1977 r. — udział kobiet w ogólnej liczbie 83 101 ekonomistów z wyższym wykształceniem zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej wynosił już niemal 51 proc. Analogiczny wskaźnik feminizacji zawodu ekonomisty w 1958 r. wynosił 29,2 proc. (od 30 387), a w 1964 r. — 33,5 proc. (od 35 789). W 1973 r. wśród 13 specjalności najliczniej były reprezentowane następujące: ekonomika i organizacja przemysłu, ekonomia ogólna i teoria ekonomii, finanse i rachunkowość, ekonomika i organizacja handlu wewnętrznego oraz „pozostałe”.

Takie specjalności, jak ekonomika i organizacja handlu zagranicznego, ekonomika i organizacja transportu, ekonomika i organizacja budownictwa oraz rolnictwa dotyczyły od 7 do 20 razy mniej ekonomistów niż ekonomika i organizacja przemysłu. Mieli też niższy od przeciętnego wskaźnik feminizacji. Ekonomistów o specjalności organizacja pracy i polityka społeczna oraz gospodarka



Fot. S. ZUBCZEWSKI

miejska było 15–55 razy mniej niż specjalistów ekonomiki i organizacji przemysłu.

W 1977 r. zawód ekonomisty obejmował, jak stwierdzono w spisie kadrowym, 19 następujących specjalności: 1) ekonometria i statystyka (bez demografii), 2) teoria ekonomii, 3) finanse, 4) organizacja przetwarzania danych, 5) organizacja i zarządzanie, 6) planowanie gospodarki narodowej, 7) ekonomika pracy i polityka społeczna, 8) ekonomika i organizacja turystyki, 9) ekonomika i organizacja gospodarki miejskiej, 10) ekonomika i organizacja przemysłu, 11) ekonomika i organizacja budownictwa i inwestycji, 12) ekonomika i organizacja rolnictwa, 13) ekonomika obrotu, 14) ekonomika i organizacja transportu, 15) ek. i org. transportu morskiego, 16) obrót środkami produkcji, 17) ek. i org. handlu wewnętrznego, 18) ek. i org. handlu zagranicznego, 19) międzynarodowe stosunki gospodarcze.

Lista specjalności zawodu ekonomisty przytoczona wyżej jest świadectwem dokonanych w latach 1973–1977 przemian w strukturze kształcenia ekonomistów w różnych formach studiów wyższych dynamicznie się rozwijających, niestety, często kosztem jakości. Specjalności wyuczone o skomplikowanej nomenklaturze, często nie rejestrowane w dyplomach ukończenia studiów, nie dawały najczęstszym uprawnień do najlepszej lokaty w środowisku pracy. Ogólny stereotyp ekonomisty wystarczał do oferowania określonych warunków zatrudnienia na lokalnym i ponadlokalnym rynku pracy ekonomistów. Zresztą ten rynek jak każdy jest tu tylko metaforą, nie podlega on bowiem bieżącej statystycznej obserwacji i ekonomicznej analizie.

Stwierdzone dysproporcje strukturalne zatrudnienia ekonomistów, a zwłaszcza badania tzw. zgodności zawodu wyuczonego i wykonywanego składają do sformułowania tezy, że bez kompleksowego rozwiązania jakości kształcenia zawodowego ekonomistów w powiązaniu z uruchomieniem systemu racjonalnego zatrudnienia i rywalizacji kadr wykwalifikowanych nie uda się osiągnąć koniecznej, zasadniczej poprawy efektywności gospodarowania.

Wydać się więc, że przede wszystkim należy spróbować choćby częściowo uwolnić się od uproszczonego, pozornie ścisłego, statystycznego obrazu sytuacji. Wyściowej kształcenia i zatrudnienia ekonomistów różnych specjalności, a cały wysiłek skoncentrować na opracowaniu w drodze autentycznej dyskusji koncepcji kształcenia i zatrudnienia ekonomistów wybiegającej w przyszłość.

Ogólna charakterystyka zawodu ekonomisty zaprezentowana w monografii Jana Kluczyńskiego pochodzi z pierwszych połowy lat sześćdziesiątych. Od tego czasu wiele się zmieniło w ogólnej sytuacji społeczno-gospodarczej i praktyce zawodowej polskich ekonomistów. Od służby ekonomicznych z tych lat głośniejsze stały się w obecnym dziesięcioleciu służby pracownicze. Inne kategorie społeczno-zawodowe wymagają więc podjęcia dyskusji o roli i odpowiedzialności społeczno-moralnej ekonomisty. Ekonomista musi i powinien ją zapoczątkować.

Humanistyczny profil zawodu

Wizja gospodarki socjalistycznej kreślona przy udziale ekonomistów implikuje nową, ogólną charakterystykę zawodu ekonomisty z wyższym wykształceniem. Uspołecznione i racjonalne gospodarowanie, jak można

zakładać, wymagać będzie coraz bardziej nowoczesnych sposobów łączenia przedmiotów i środków pracy, sił wytwórczych i stosunków społecznych, form organizacyjnych podziału pracy i kooperacji zawodowej. Postęp techniczny, organizacyjny i społeczny w warunkach malejących zasobów naturalnych oraz rosnących kwalifikacji i aspiracji życiowych ludzi wyznaczy nową treść jakościową roli zawodowej ekonomistów.

Definicja ekonomisty sformułowana w cytowanej już książce J. Kluczyńskiego — jako osoby mającej kwalifikacje do analizowania procesów i zjawisk gospodarczych oraz przygotowywania przesłanek do podejmowania decyzji gospodarczych, z wyjaśnieniem, że kwalifikacje te uzyskuje się poprzez odpowiednie studia wyższe — jest nadal bardzo lapidarna, ale co innego już dzisiaj znaczy w polskiej sytuacji społeczno-gospodarczej.

Wszystko to, co zaszło w latach siedemdziesiątych i to, co można przewidywać, wskazuje na konieczność kształcenia ekonomistów o szerokim, społecznym, psychologiczno-socjologicznym czy też jeszcze szerszym — humanistycznym profilu.

Można oczekiwać, że zwiększy się wśród ekonomistów udział socjologów i polityków gospodarczych, których interesuje nie tyle wzrost bogactwa narodowego, ile położenie społeczno-ekonomiczne (stopień zaspokojenia potrzeb materialnych i niematerialnych) różnych warstw i kategorii społeczno-zawodowych ludności, prawidłowości rozwoju społeczno-gospodarczego, zasady społecznego podziału pracy i dochodu, stosunki bazy i nadbudowy, rola ideologii i ruchów społecznych, rozwój gospodarstwa społecznego itp.

Socjologiczno-polityczny profil zawodu ekonomisty wyrasta już obecnie pod naciskiem potrzeb praktyki oraz na gruncie upowszechniania wśród ekonomistów nauk społecznych, zwłaszcza socjologii, psychologii i polityki społecznej oraz nauk o pracy. Prekursorami takiego typu ekonomistów byli Ludwik Krzywicki i jeden z najbardziej wszechstronnych i uzdolnionych jego uczniów i współpracowników w środowisku SGH — IGS okresu międzywojennego — Stanisław Karol Rychliński. Do ich bogatego dorobku kierunek ten powinien nawiązać.

Drugą rosnącą grupą będzie prawdopodobnie kategoria „inżynierów gospodarczych”, zorientowanych na technikę sprawnego, czy ekonomicznie efektywnego organizowania działalności na wyodrębnionych polach gospodarstwa społecznego.

Wydać się, że zespołowy wysiłek właśnie tych dwóch grup specjalistycznych ekonomistów-socjologów-polityków gospodarczych oraz inżynierów gospodarczych może zapewnić sprawne sterowanie rozwojem kraju.

Utrzymać się też zapewne kategoria ekonomistów-socjotechnicznych, mających ogólną orientację społeczno-ekonomiczną, ale preferujących technikę sprawnego działania w mikro-środowisku i maksymalizację korzyści w krótkich okresach. Może to wynikać z narzuconego systemu wartości w środowisku społecznym, zwłaszcza w środowisku pracy, koordynowanym przez kadry inżynierów-techniczne. Dominacja orientacji właściwej dla inteligencji technicznej w obecnym okresie kultu udogodnień cywilizacyjnych jest faktem dokonanym, a ekonomista najczęściej, jak dotychczas, wzory zachowań przejmując od tej właśnie kategorii społeczno-zawodowej, uznawanej za nośnik nie tylko technicznego, ale ogólnego postępu.

Nie jest również wykluczone funkcjonowanie grupy ekonomistów-specjalistów od obliczeń, którzy muszą sami wszystko obliczyć, żeby zrozumieć interesujący ich problem, mimo że ich praca w warunkach racjonalnej komputeryzacji gospodarowania traci swoje uzasadnienie. Kwantyfikacja na podreżonych kalkulatorach już obecnie ogromnie usprawnia prace planistyczno-sprawozdawcze, ale nawet ośrodki elektronicznej techniki obliczeniowej nie eliminują błędnych czy upraszczających, dowolnych założeń oraz wejściowych informacji o rozwiązywanych problemach społecznego gospodarowania. Liczyć znacznie szybciej i dokładniej to duże udogodnienie cywilizacyjne, ale, niestety, jeszcze nie symptom postępu społeczno-gospodarczego. Postęp taki nie wynika z samej techniki obliczeniowej, lecz z sensownego wykorzystania jej do realizacji racjonalnych programów działania społeczeństwa gospodarującego.

Diagnoza i prognoz naukowych niezbędnych do każdego programu racjonalnego, planowego działania każdej wspólnoty gospodarczej oczekiwania należy nadal od wykwalifikowanych kadr ekonomicznych. Ogólny profil kwalifikacji ekonomisty przyszłości, niezależnie od specjalizacji występujących obecnie i przewidywanych w ramach modernizacji szkolnictwa wyższego, obejmie prawdopodobnie następujące umiejętności:

- samodzielne ocenianie zjawisk i procesów społeczno-gospodarczych;
- przewidywanie charakteru i kierunku rozwoju w skali mikro-środowiska pracy, regionów, gospodarki narodowej i międzynarodowej, co umożliwiłoby planowanie integracji planowania przestrzennie-społeczno-gospodarczego;
- poprawne metodologiczne obliczanie kosztów społecznych wszelkich decyzji gospodarczych, ustalanie stopnia efektywności (opłacalności, racjonalności) społeczno-ekonomicznej działalności gospodarczej w sferze produkcji materialnej i w usługach niematerialnych;
- dokonywanie trafnego wyboru spośród wielu możliwych rozwiązań na zasadzie społeczno-ekonomicznych kryteriów racjonalności;
- opracowywanie realnych planów społeczno-gospodarczych o różnych zakresach problemowych i horyzontach czasu;
- współdziałanie z ludźmi, kierowanie zespołami pracowniczymi oraz organizacjami gospodarczymi lub pionami ekonomicznymi zagospodarowanych organizacji;
- dokonywanie wnikliwej kontroli realizacji zadań planowych, oceny wyników działalności społeczno-gospodarczej oraz wyciąganie wniosków na przyszłość;
- opanowanie należyte wszystkich wymienionych elementów kwalifikacji oznacza konieczność przyswojenia przez kandydata na ekonomistę odpowiednio dobrego zakresu wiedzy i kultury ogólnej. Najogólniej mówiąc, zakres ten obejmuje: ekonomię polityczną kapitalizmu i socjalizmu oraz historię myśli ekonomicznej, która odgrywać może funkcję integrującą myślenia o gospodarstwie społecznym współczesnym i przyszłym, filozofię społeczną i nauki polityczne, historię rozwoju społeczno-gospodarczego, geografie społeczno-ekonomiczną i planowanie przestrzenne, socjologię z jej ważnymi gałęziami dla planowania i polityki społecznej i ekonomicznej, prawo, pozwalające rozumieć rolę merytoryczną norm życia społeczno-gospodarczego, matematykę, statystykę, finanse, organizację przetwarzania danych, umożliwiającej rozumienie wagi nowoczesnej instrumentacji w rozwiązywaniu problemów społeczno-gospodarczych metodami ilościowymi, bez ich fetyszyzacji. Kulturę ogólną ekonomisty można i trzeba kształtować nauczając na wysokim poziomie języka ojczystego oraz języków światowych.

Na podbudowie nauk podstawowych (ogólnokształcących) ugruntowują się kwalifikacje specjalistyczne poprzez zdobywanie wiedzy o ekonomikach branżowych (ekonomika i organizacja przemysłu, rolnictwa, handlu i usług gospodarki miejskiej itp.) albo o dyscyplinach ogólnoeconomicznych i społecznych (finanse, statystyka, ekonometria, cybernetyka, organizacja i zarządzanie, demografia, ekonomika, socjologia i psychologia pracy, polityka społeczna, kształcenia i zatrudnienia, pedagogika gospodarcza).

Od ekonomisty we współczesnej gospodarce wymaga się i będzie się wymagać nie tylko określonej sumy wiedzy i umiejętności, ale i znajomości życiowych reguł gry w zmieniających się sytuacjach społeczno-gospodarczych. Wymagać się będzie coraz bardziej naukowych, nowoczesnych metod i technik badań społecznych, samodzielności myślenia i podejmowania decyzji, obiektywizmu i rzetelności zawodowej. Ekonomista będzie musiał również ukształtować w sobie trwałą skłonność do doskonałości zawodowej i umiejętności kwalifikacji, co warunkuje efektywne wykonywanie zawodu w zmieniających się ustawicznie sytuacjach, a także umożliwiła pożądaną ruchliwość pracowniczą.

Co można już robić? Orientację humanistyczną w edukacji ekonomistów można rozpocząć nie od zasadniczej reorganizacji formalno-prawnych struktur środowiska akademickiego, czy też od inwestycji modernizacyjnych, lub restrykcji etatów i funduszy, ale po prostu od rekonstrukcji programów nauczania, od integracji tradycji i nowoczesności teoretyczno-metodologicznych podstaw nauki o gospodarstwie społecznym, obecnie przekazywanych w okrutnych w ramach różnych specjalności, różnych dyscyplin o niejednokrotnie stopniu spójności i wartości poznawczej.

Należy chyba poddać konstruktywnemu ocenie istniejące na zasadzie inercji podziały rzeczywistości społeczno-gospodarczej, „zawieszona rozmaite „pola i poletka” zastrzeżone dla określonych dyscyplin specjalistycznych uświęconych tradycją, a nie obecnym zakresem problemowym. Należy rozważyć proporcje godzin i formy zajęć monologicznych i autentycznie aktywnych dla grup przedmiotów podstawowych i pomocniczych.

Przed wszystkim też trzeba by powołać zespoły interdyscyplinarne, które opracowałyby zintegrowane programy zajęć, operujące jednolitym, współzależnym słownictwem terminologicznym i metodologicznym.

Można więc zaproponować, żeby na pierwszym etapie realizacji jakości kształcenia zespoły nauk pokrewnych opracowały podręczne słowniki podstawowych pojęć i kategorii integrujących aspekty społeczne i ekonomiczne oraz wskazujących kierunki ich doskonalenia i zasadnego pomiaru. Należałoby chyba to zrobić przy udziale znawców metodologii ogólnej, filozofii, logiki i semantyki.

Na kolejnym etapie można by dokonać podziału istotnych problemów, wymagających rozwiązania lub oświetlenia z określonego, dominującego punktu widzenia konkretnej dyscypliny naukowej, przy użyciu jej swobodnej aparatury badawczej (pojęć, źródeł informacji, metod i technik). Dopiero po dokonaniu tych wstępnych kroków uda się sporządzić rejestr problemów wymagających interdyscyplinarnego podejścia i zespołowego rozwiązania.

Ogólne zestawienie grup problemów społeczno-ekonomicznych (monodyscyplinarnych) byłoby z kolei podstawą do opracowania kryteriów ocen, które konieczne są do realizacji zasady jednolitości poznania i wartościowania rzeczywistości, a tym samym do kształcenia badaczy — analityków bytu społecznego i działaczy zmieniających ten byt w kierunku modeli optymalnych.

Każdy problem rozpatrywany w jednoznacznie sformułowanych kategoriach na podstawie racjonalnie rozpoznanego systemu wartości musi prowadzić do samodzielnego doboru metod i środków, do analiz warunków zewnętrznych i wewnętrznych oraz skutków ubocznych rozwiązania danego problemu.

Ogólny zarys etapów budowy nowego programu kształcenia ekonomistów ma charakter wstępny i wymaga konkretyzacji. Najlepiej byłoby opracować ramowy program takiego kształcenia na przykładzie doświadczeń z lat czterdziestych w kierunkach ekonomiczno-społecznych w różnych ośrodkach akademickich, gdzie zgodnie z założeniami, miały się kształtować nowe elementy ogólnej sylwetki ekonomisty przyszłości.

Ramy ideowe programu kształtowania takiej sylwetki powinna wyznaczyć, moim zdaniem, humanistyczna orientacja i nowoczesna metodologia rozwiązywania problemów społeczno-ekonomicznych. Takie wyznaczniki programu edukacji ekonomistów pozwalają bowiem wykreślić w interesie pomyślnego rozwoju wspólnoty ludzkiej wszystkie wartości naukowego rozumienia i planowego przekształcania gospodarstwa społecznego.4)

4) J. Kluczyński: „Zawód ekonomisty w Polsce Ludowej” KIW, Warszawa 1966, s. 64 oraz Spis Kadrowy 1973, seria Statystyka Państwa, GUS 1974.

5) J. Kluczyński, op. cit. s. 63.

6) Szerzej pisałem o tym w artykule pt. „O potrzebie modernizacji edukacji ekonomicznej” w: „Nauczyciel i Wychowanie” nr 6/1978.

orzecznictwo

REKÓJMIA ZA SAMOCHÓD SPRZEDANY PRZECZ „POLMOZBYT” Z LICYTACJI

Przedsiębiorstwo Państwowe „POLMOZBYT” w G. dokonało sprzedaży licytacyjnej używanych samochodów. Sprzedaż ta została przeprowadzona na podstawie zarządzenia Ministra Handlu Wewnętrznego z dnia 14 stycznia 1987 r. w sprawie sprzedaży indywidualnym nabywcą używanych pojazdów samochodowych przez przedsiębiorstwa zgrupowane w CTH „Motozbyt” (M.P. Nr 8, poz. 53).

Do sprzedaży przeznaczony był m. in. samochód osobowy FIAT-125p, którego licznik wskazywał przebieg 22 744 km.

Według opinii rzeczoznawców „PZMot”, pojazd zużyty był w 28,9 proc., wobec czego cena wywoławcza samochodu ustalona została na 129 900 zł.

W toku licytacji samochód ten nabył Czesław L. za cenę 160 000 zł.

Gdy po zabraniu pojazdu i podaniu go — na żądanie nabywcy — ponownym oględzinom przez rzeczoznawców „PZMot” okazało się, że rzeczywisty przebieg samochodu jest znacznie większy i wynosi ok. 60–70 tys. km. Czesław L. postawił nabyty samochód do dyspozycji „Polmozbyt” i zażądał zwrotu uiszczonych ceny oraz wydatków związanych z naprawą samochodu i wydaniem opinii.

Wobec odmowy „Polmozbyt”, Czesław L. wystąpił z roszczeniem na drogę sądową.

Sąd Wojewódzki w Gdańsku powołał oddalając wyroczną z założenia, że różnica w przebiegu samochodu nie jest wadą zmniejszającą jego wartość lub użyteczność, co zgodnie z kodeksem cywilnym dawałoby Czesławowi L. prawo odstąpienia od umowy.

Od wyroku Sądu Wojewódzkiego Czesław L. wniosł rewizję.

Sąd Najwyższy rozpoznawszy sprawę w dniu 10 marca 1978 r. (nr II CR 47/78), wyrok Sądu Wojewódzkiego uchylił, wypowiadając m.in. następujący pogląd prawny:

1. Instytucja rękoi mia na celu ochronę zaufania kupującego, który ma prawo mniemać, że rzecz kupiona stanowi odpowiednik jego świadczenia w postaci ceny kupna. Przy tym obowiązują przepisy nie nakładają na kupującego obowiązku dołożenia staranności w celu zbadania rzeczy i wykrycia wad.

2. Zużycie samochodu wynikające z przebiegu przebiegu kilometrów, niż to wynika z drogomierza” oraz z opinii rzeczoznawcy, jest wadą fizyczną rzeczy, uzasadniającą odpowiedzialność sprzedawcy, przewidzianą w art. 556 § 1 kodeksu cywilnego.)

3. Wyłączenie uprawnień wynikających z rękoi w odniesieniu do rzeczy nabytej na licytacji (art. 379 k.p.c.) nie odnosi się do samochodu kupionego na licytacji zorganizowanej w trybie zarządzenia Ministra Handlu Wewnętrznego z dnia 14 stycznia 1987 r. w sprawie sprzedaży indywidualnym nabywcą używanych pojazdów samochodowych przez przedsiębiorstwa zgrupowane w Centrali Techniczno-Handlowej „Motozbyt” (M.P. Nr 8, poz. 53).

W uzasadnieniu wyroku Sąd Najwyższy zaznaczył m.in.: „(...) Sprzedaż dokonana w trybie powołanego zarządzenia Ministra Handlu Wewnętrznego nie jest sprzedażą w rozumieniu przepisów postępowania egzekucyjnego. Występuje tu jedynie zbieżność terminologiczna. (...)

Prowadzi to do wniosku, że wyłączenie uprawnień wynikających z rękoi w odniesieniu do rzeczy nabytej na licytacji (art. 379 k.p.c.) nie odnosi się do samochodu kupionego na licytacji zorganizowanej w trybie zarządzenia Ministra Handlu Wewnętrznego z dnia 14 stycznia 1987 r. (...).

Instytucja rękoi mia na celu ochronę zaufania kupującego, który ma prawo mniemać, że rzecz kupiona stanowi odpowiednik jego świadczenia w postaci ceny kupna. Odpowiedzialność sprzedawcy powstaje z samego prawa i nie jest zależna od jego winy. Odpowiedzialność ta dotyczy jednakowoż tylko sytuacji, w których rzecz sprzedana ma wady i jest wyłączała wówczas, gdy kupujący przy sprzedaży rzeczy oznaczającej co do tożsamości — a taką właśnie rzecz jest samochód, o którym mowa w sprawie — wiedział o wadzie w chwili zawarcia umowy (art. 537 k.c.). Musi to być świadomością pozytywną i faktu tego nie domniemywać się. Ustawodawca nie nałożył też na kupującego obowiązku dołożenia staranności w celu zbadania rzeczy i wykrycia wad.

W świetle tych uwag nie można podzielić stanowiska Sądu Wojewódzkiego, że powód powinien być liczyć się z tym, iż licznik kilometrów może być cofnięty, jak i z tym, że zużycie wynikające z większego o około 100 proc. przebiegu samochodu, niż to wynika ze wskazań licznika drogowego, nie jest wadą zmniejszającą wartość pojazdu lub jego użyteczność, a tym samym, iż powodowi nie przysługuje ochrona wynikająca z rękoi.

Poglądu takiego nie da się wyprowadzić zarówno z przepisów prawa, jak i z okoliczności towarzyszących sprzedaży samochodu. Samochód należy do tego rodzaju rzeczy.

DOKOŃCZENIE NA STR. 12

Wielu badaczy. zajmuje się głębokimi przemianami, jakie dokonały się w Mongolii po rewolucji. Przyszłością zajmuje się chyba kilka osób. Wśród nich jest profesor szkoły partyjnej, U. Kambabar. Jego książka napisana wspólnie z P. Nergujem stała się w Mongolii bestsellerem*). Z profesorem Kambarem spotkaliśmy się w katedrze ekonomii politycznej. Wszystkie ściany gabinetu zawieszono są wykresami i schematami. Większość z nich dotyczy tematyki związanej z periodyzacją i perspektywą społeczno-gospodarczego rozwoju Mongolii. To konik profesora, tym się pasjonuje.



Zakład cegły silikatowej i wapna w Darchanie.

Fot. AUTOR

CEL BLIŻSZY I DALESZY

STEFAN KOJŁO

Po rewolucji Mongolia wkroczyła na drogę niekapitałistycznego rozwoju, którego celem był socjalizm. Jednak droga ta była trudna, a zadań dużo, dlatego też okres przejściowy trwał dłużej niż w europejskich krajach demokracji ludowej. Był to przecież okres przejściowy od feudalizmu do socjalizmu. Zgodnie z charakterem realizowanych wówczas zadań dzieli się na dwa etapy: etap przemian ogólnodemokratycznych w latach 1921–1940 i etap przemian typu socjalistycznego w latach 1941–1960, który zakończył się stworzeniem podstaw socjalizmu, ale nie bazy materialno-technicznej socjalizmu w pełni.

Mongolia końca lat pięćdziesiątych legitymowała się wprowadzaniem pełnym zwycięstwem socjalistycznej formy własności w gospodarce narodowej, ale socjalistyczne stosunki produkcji dopiero się kształtowały. To samo dotyczy poziomu sił wytwórczych. Wprawdzie istniał już przemysł i inne działy pozarolnicze, ale pod względem poziomu ekonomicznego osiągnięta ona zaledwie struktura właściwa krajowi rolniczo-przemysłowemu. Przemysł tworzył zaledwie 14 proc. dochodu narodowego (1960 r.). Tak więc trzeba było zbudować wystarczającą materialno-techniczną bazę socjalizmu, której zalety zaledwie powstały. Z początkiem lat sześćdziesiątych podjęcie takiego zadania stało się możliwe i realne. Od 1961 r. Mongolia wkroczyła więc na drogę intensywnego budownictwa socjalistycznego. Głównym zadaniem tego etapu jest zakończenie budowy materialno-technicznej bazy socjalizmu i przekształcenie w najbliższej przyszłości kraju z rolniczo-przemysłowego w przemysłowo-rolniczy.

Kiedy to nastąpi? Profesor Kambabar sądzi, powołując się na uchwały partii, że proces ten będzie trwał do 1990 r., czyli 30 lat. U. Kambabar i P. Nerguj dzielą go na dwa podetapy: miniony 1960–1975 r. i obecny, dopiero co rozpoczęty — 1975–1980. Dla pomyślnego wykonania programu partii szczególnie ważny jest bieżący podetap.

Charakteryzuje go intensywna industrializacja kraju. Jeśli w minionym 15-leciu powstał jeden nowy ośrodek przemysłowy — Darchan, to w 1978 r. ruszyła produkcja we wciąż jeszcze budowanym kombinacie miedziowo-molibdenowym „Erdenet”. W roku rocznie będzie wydobywał i wzbogacał 16–20 mln t rudy, rozpoczęto budowę nowego ośrodka paliwowo-energetycznego Baga-nur o projektowanej mocy 6 mln t węgla i 1000 MW energii elektrycznej, rozpoczęły się przygotowania do zagospodarowania złóż węgla koksującego w Tawan-Toigolju, gdzie będzie się wydobywać 10 mln t węgla koksującego i 7 mln t energetycznego rocznie, łącznie 17 mln t. Rozmach imponujący.

W pobliżu Tawan-Toigolja znajdują się bogate złoża polimetaliczne,

szczególnie złoża rud miedzi i molibdenu w Cagaan-Suwarze, rokujące duże nadzieje. W niedalekiej przyszłości powstanie tam duży ośrodek przemysłowy, który zaktywizuje cały region południowogobijski. To rokuje nadzieje, że w najbliższej przyszłości, tj. do 1990 r. Mongolia rzeczywiście stanie się krajem przemysłowo-rolniczym o optymalnej strukturze gospodarczej.

Co znaczy pojęcie „optymalna struktura kompleksu gospodarczego”, którym posługuje się m.in. prof. Kambabar? Na razie dokładnie nie wiadomo, pokaże to praktyka. Jej zarysy opracowuje się w Komisji Planowania Gospodarczego. Tam właśnie pracuje współautor wspomnianej książki, P. Nerguj. Jest dyrektorem departamentu zbiorczego, tj. tego, w którym wszystkie częściowe opracowania zestawia się w spójną całość. Ten czterdziestolatek był najpierw wykładowcą w Uniwersytecie Ulanbatorskim, teraz opracowuje prognozy gospodarcze. Pracuje właśnie nad kompleksowym rozwiązaniem podstawowych problemów gospodarczych i społecznych na podstawie prognoz kierunkowego rozwoju oraz generalnych planów rozwoju i rozmieszczenia sił wytwórczych na okresy 10–15 lat.

Docent Nerguj wyjaśnia mi, że podstawą optymalnego kompleksu ma być intensywna industrializacja kraju i intensyfikacja gospodarki rolnej, a także innych działów gospodarki narodowej. Zakłada się przede wszystkim dalszy rozwój bazy paliwowo-energetycznej i budowlanej oraz transportu, a więc niezbędnej infrastruktury produkcyjnej w bardzo szerokim pojęciu. To umożliwi zagospodarowanie ogromnych bogactw naturalnych Mongolii, co w naszych czasach ma kolosalne znaczenie. Stworzenie szerokiej bazy produkcyjnej umożliwi tworzenie całych nowych ośrodków wydobycia i przetwórstwa bogactw kopalnych, przede wszystkim metali rzadkich i kolorowych, węgla koksującego, fosforu. Oczywiście, przewiduje się również rozwój przemysłu produkcyjnego podstawowe środki produkcji i innych. Taki rozwój powinien zapewnić zbilansowanie całej gospodarki narodowej, a nawet uzyskanie salda dodatniego własnych środków, zwiększenie eksportu, który pomoże pokryć deficyt surowcowy innych krajów RWPG.

Tworzenie optymalnego kompleksu gospodarczego zakłada też intensyfikację gospodarki rolnej. Mongolia ma 133 mln ha pastwisk. Gdyby o projektowanej mocy 6 mln t węgla i 1000 MW energii elektrycznej, rozpoczęły się przygotowania do zagospodarowania złóż węgla koksującego w Tawan-Toigolju, gdzie będzie się wydobywać 10 mln t węgla koksującego i 7 mln t energetycznego rocznie, łącznie 17 mln t. Rozmach imponujący.

większoną do 1 mln ha. Drugie tyle gruntów nadających się do uprawy czeka na zagospodarowanie. To jednak przekracza siły samej Mongolii. Temat został włączony do długookresowego kierunkowego programu współpracy krajów RWPG. Państwa członkowskie pomogą Mongolii zagospodarować nowe ziemie w rejonie Chalchyn-gołu i północnej Gobi, Mongolia zaś zwiększy swój eksport mięsa, wełny i innych produktów pochodzenia hodowlanego.

Stworzenie optymalnego kompleksu gospodarczego MRL wymaga dużych nakładów inwestycyjnych. Może to być realizowane tylko przy znacznej pomocy zewnętrznej. Takiej pomocy udziela kraj RWPG, a przede wszystkim Związek Radziecki. Jego pomoc w bieżącej 5-letniej przekracza ponad 2-krotnie rozmiary pomocy udzielonej w ubiegłym pięcioleciu, której rozmiary wynosiły około 1 mld rubli. 70 proc. nakładów inwestycyjnych Mongolii realizuje się przy pomocy ZSRR. Wszelkierne zbliżenie ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi stało się wycieczną działalnością sformułowaną w uchwale ostatniego, XVII Zjazdu MPL-R.

Sprawa przyspieszenia procesu zbliżenia i wyrównywania poziomów rozwoju ekonomicznego znajduje pełne zrozumienie wszystkich krajów RWPG, dobrze służą temu celowi przyjęte na XXXII sesji RWPG długookresowe kierunkowe programy współpracy wielostronnej, w których Mongolii poświęcono dużo miejsca. Przewidziano stworzenie w tym kraju wielkich ośrodków przemysłu wydobywczego, aktywizację całych nowych regionów gospodarczych.

Stworzenie optymalnego kompleksu gospodarczego dotyczy również kształtowania struktury przestrzennej. Jaka ona jest i jaka będzie? Mówiąc o tym, Nerguj rozkłada na stole szereg map. Obecnie mapa gospodarcza Mongolii jest najbardziej zagęszczona w rejonie centralnym i północnym. Tu intensywnie rozwija się przemysł, uprawa roli i hodowla. Obok najstarszych ośrodków przemysłowych tych regionów — Ulan-Batoru i Suche-Batoru — pojawił się Darchan, ostatnio — Erdenet i Baga-nur. Intensywnie rozwija się region wschodni z ośrodkami w Czojbałsanie, będzie się rozwijał w przyszłości region zachodni — z ośrodkiem w Kobdo. Z tym wiąże się również przewidywana na przyszłość budowa linii kolejowej przecinającej Mongolię ze wschodu na zachód. W planie na lata 1980–1990 przewiduje się rozwój wspomnianego już regionu południowogobijskiego z kopalniami węgla oraz metali rzadkich i kolorowych, a także nowego ośrodka w rejonie jeziora Chubsugul.

Chubsuguskie zaglebie fosforytowe w najbliższej perspektywie stanie się jednym z największych przedsięwzięć integracyjnych w ramach

RWPG. Zasoby fosforytów są tam olbrzymie. Po ich przemysłowym zagospodarowaniu przewiduje się uruchomienie produkcji superfosfatu podwójnego, fosforu żółtego, fosforanów paszowych, nawozów fosforowych i innych produktów, na potrzeby nie tylko samej Mongolii, ale głównie innych krajów RWPG.

O tym, jakie jeszcze regiony przemysłowe powstaną, decydują w dużej mierze wyniki pracy Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej, działającej w Mongolii od 1976 r. Jej uczestnicy prowadzą prace zarówno poszukiwawcze, jak i badawcze już znanych złóż — a jest ich około 500 — pod kątem możliwości przemysłowego zagospodarowania. Do końca 1978 r. przebadano znaczne obszary wschodniej Mongolii, równie mniej więcej powierzchnię Belgii. Odkryto 16 złóż rud wolframu, molibdenu, cyny, ołowiu, grafitu, fluorytu, a także kamienia budowlanego i okładzinowego. Ekspedycja — w ramach której pracuje na terenie Mongolii również grupa polskich geologów — zbada najbardziej obiecujące złoża wolframu, molibdenu i fluorytu. Potem zostaną podjęte decyzje o lokalizacji nowych ośrodków i regionów przemysłowych.

Jakie miejsce zajmuje teraz Mongolia pod względem poziomu gospodarczego? Moi rozmówcy umieszczają ją, obok Kuby i Wietnamu, w grupie państw dążących do zbudowania materialnej bazy socjalizmu. Po zrealizowaniu tego zadania, Mongolia jako kraj przemysłowo-rolniczy przystąpi do budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Profesor Kambabar i doc. Nerguj przewidują, że to kolejne zadanie zostanie pomyślnie wykonane „do końca bieżącej epoki”. Dla Mongolii „bieżąca epoka” liczy się od 1921 r., a jej koniec przypadnie na rok 2021.

Czy warto tak daleko przewidywać? Na to pytanie prof. Kambabar odpowiada znanym Marksowskim stwierdzeniem, że jeśli postępową ideą stanie się własnością mas, to zamieni się ona w materialną siłę. Nie tylko warto, ale i trzeba społeczeństwu pokazywać bliższy i dalszy cel.

Pod względem absolutnych rozmiarów sił wytwórczych i potencjału gospodarczego Mongolia — licząc dziś 1,5 mln mieszkańców, a do 2000 r. mająca osiągnąć liczbę 3 mln mieszkańców — była, jest i pozostanie krajem niewielkim, ale ze swymi ogromnymi bogactwami naturalnymi ma realne możliwości stać się jednym z najbardziej rozwiniętych krajów kontynentu azjatyckiego — stwierdza na zakończenie prof. Kambabar. Nie można się z tym nie zgodzić.

M. Kambabar, P. Nerguj: „Niektóre problemy niekapitałistycznej drogi rozwoju i budownictwa socjalistycznego MRL” (w jęz. mongolskim); Ulan Bator, 1978 r.

z krajów socjalistycznych

Z ZSRR — DLA POLSKIEGO ROLNICTWA

W ostatnich kilku latach poważnie zwiększyły się polskie zakupy w ZSRR kompletnych obiektów dla rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Zawarte kontrakty przewidują m. in. dostawę do 1980 r. ogółem 15 szklarni ogrodniczych o łącznej powierzchni 180 hektarów. Produkcją będą one łącznie 70–80 tys. ton wczesnych warzyw, głównie ogórków i pomidorów na potrzeby dużych miast. Związek Radziecki dostarczy również do 1980 r. kompletne wyposażenie 10 zmechanizowanych ferm drobiarskich, z których każda produkować będzie do 100 mln sztuk jaj rocznie. Po roku 1980 przewiduje się dostawę dalszych 10 takich ferm dla naszego rolnictwa.

W wielu PGR pojawiły się od niedawna zautomatyzowane radzieckie agregaty do przygotowywania pasz, charakteryzujące się wysoką wydajnością i łatwą obsługą przy pomocy pulpitów sterowniczych. Zapowiadane są dalsze dostawy tych agregatów. Oprócz tego na mocy porozumienia, zawartego w lipcu ub. r. w Moskwie, ZSRR udzieli Polsce technicznej pomocy w zaprojektowaniu i wyposażeniu w kompleks maszyn i urządzeń dwu nowych państwowych gospodarstw rolnych (w województwach: suwalskim i przemyskim) o łącznej powierzchni 40 tys. ha użytków rolnych. Polska jest importerm radzieckich ciągników klasy K-700 i T-150-K. Ostatnio zawarto kontrakt na dostawę z ZSRR również kilku kompletnych stacji remontu tych maszyn. W następnej pięcioletce przewiduje się także wspólną polsko-radziecką produkcję traktorów o mocy 150 koni mechanicznych.

5 MLN TURYSTÓW

Rumunia gościła w ub.r. ponad 5 mln turystów zagranicznych, w tym ponad 800 tys. Polaków. W tej chwili ośrodki wypoczynkowe zajmują 70 km rumuńskiego wybrzeża, w przyszłości zaś całe wybrzeże (długości 245 km) będzie wykorzystane pod kątem turystyki.

WSPÓLNE PRZEDSIĘBIORSTWO ŻEGLUGOWE

W maju ub.r. Bulgaria, Czechosłowacja, Węgry i ZSRR powołały do życia międzynarodowe przedsiębiorstwo żeglugowe „Interlichter”. W jego skład weszły żeglugałki przedsiębiorstw członkowskich. Siedzibą przedsiębiorstwa jest Budapeszt. Zadaniem „Interlichtera” jest przewóz ładunków krajów członkowskich zarówno w ramach ich obrotu wewnętrznego, jak i w ramach ich handlu zagranicznego z krajami trzecimi. Przedsiębiorstwo może podejmować się również przewożenia ładunków krajów nie należących do tej organizacji. Z tego względu „Interlichter” korzysta z prawa prowadzenia samodzielnej działalności w handlu zagranicznym. Pracuje ono na zasadach rozrachunku gospodarczego; posiada status prawny, zgodny z ustawodawstwem kraju, w którym ma siedzibę, tzn. Węgry. Ponosi też odpowiedzialność za wykonanie swych zobowiązań w ramach posiadanego wyposażenia. Jego statutowy fundusz wynosi 65,5 mln rubli transferowych. To międzynarodowe przedsiębiorstwo jest pierwszą wspólną organizacją krajów socjalistycznych, związaną z transportem na Dunaju. Dzięki temu została uporządkowana sprawa bezpośredniego — tzn. bezprzeładunkowego — przewozu z nadunajskich krajów członkowskich „Interlichtera” do portów Morza Śródziemnego, Czarnego i Czerwonego, do Indii Wschodnich i Zachodnich oraz do Azji Południowo-Zachodniej. Korzystny jest przewóz ładunków do kajów nie posiadających dostępu do morza — Czechosłowacji i Węgry.

„POLYMER 50”

Radziecy i NRD-owscy naukowcy opracowali wspólnie technologię produkcji wysokociśnieniowego polietylenu, znaną pod nazwą „Polymir 50” i uchodzącą za unikalną w skali światowej. Pierwsze zakłady zbudowane na podstawie tej technologii uruchomiono w Nowopolocku (ZSRR). Obecnie buduje się w zakładach im. W. Ulbrichta w Leuna (NRD) kolejne, udoskonalone urządzenia do produkcji polietylenu wysokociśnieniowego „Polymir 60”, ich rozruch nastąpić ma jesienią br.

HUTA ZDAJE EGZAMIN

Wspólnym dziełem organizacji NRD i Związku Radzieckiego jest powstała przed dwoma laty huta we

Freitalu. Uruchomiony wówczas wielki piec do wtopu stali o wydajności 30 ton, największe urządzenie tego typu stosowane na świecie, pozytywnie zdał egzamin. Doskonała praca agregatu świadczy o wysokim poziomie projektu stanowiącego nowość w światowej metalurgii, jak i o doskonałej jakości urządzeń przygotowanych w NRD i ZSRR. Nowe urządzenia znacznie podniosły wydajność pracy i jakość produkowanej stali, pozwalają na oszczędność surowca i energii elektrycznej. Huta pracuje również nie powodując hałasu i nie zanieczyszcza środowiska. Metalurzy radziecy i z NRD kontynuują wspólne prace w centrum naukowo-badawczym kombinatu we Freitalu; przygotowywane są nowe urządzenia dla przemysłu metalurgicznego.

MILIARDY NA PRACE NAUKOWE

Ponad 92 mld koron przeznaczają na prace naukowo-badawcze i projektowo-konstrukcyjne. Zaangażowanych jest w nie ok. 170 tysięcy osób. CSRS utrzymuje ściśle kontakty w tej dziedzinie z partnerami z krajów socjalistycznych. Wspólnie opracowywanych jest około 3 tysięcy zadań z różnych specjalności. W latach siedemdziesiątych między CSRS a krajami RWPG wymieniono 100 tysięcy specjalistów zajmujących się nauką, techniką, planowaniem i zarządzaniem; wymieniono również 14 tysięcy kompletnych dokumentacji technicznej. Czechosłowackie przedsiębiorstwa korzystają także z zagranicznych licencji „know-how” i związanych z nimi urządzeń. W tym pięcioletcu wysygnuje się na te cele prawie 2 mld koron.

WĘGERSKIE LEKI

Prawie 70 proc. produkcji węgierskiego przemysłu farmaceutycznego trafia na rynki zagraniczne. Za pośrednictwem centrali handlu zagranicznego „Medimpex”, węgierskie leki sprzedaje się do 80 krajów świata. Węgry plasują się na 7 miejscu wśród światowych eksporterów leków oraz na drugim — po Szwajcarii — w zakresie tego eksportu w przeliczeniu na jednego mieszkańca. 60 proc. medykamentów eksportowanych przez Węgry przypada na kraje socjalistyczne. W br. wartość tych dostaw wyniosła 185 mln rubli. Największym odbiorcą jest Związek Radziecki (30 proc. dostaw); do klientów „Medimpexu” należą także Polska, Czechosłowacja, Wietnam. Firma zawarła umowy o specjalizacji produkcji z zakładami farmaceutycznymi w krajach RWPG. W ubiegłorocznich dostawach na te rynki 25 proc. stanowiły wyroby specjalistyczne, zaś w imporcie węgierskim — połowę zakupów.

NOWE ZŁOŻA GAZU

Jugosławia zaspokaja swoje potrzeby na płynne paliwo w 25 procentach. Wartość rocznego wydobycia ocenia się na co najmniej 400 milionów dolarów. W ubiegłym roku wszystkie rafinerie jugosłowiańskie przerobiły 14,5 miliona ton ropy. Z szacunku tęgocorocznych potrzeb kraju wynika, że muszą one przerobić około 20 milionów ton. Oznacza to konieczność importu aż 16 milionów ton tego coraz droższego surowca. Przepuszczają się tutaj, że rząd zezwoli na import tylko 12 milionów ton ropy, za co i tak Jugosławia będzie musiała zapłacić co najmniej 1,5 miliarda dolarów. Podczas wierceń podziemnych w pobliżu wyspy Brač odkryto nowe złoża gazu. Fachowcy uważają, że nowo odkryte złożo podziemne zasobnością swoją przewyższa wszystkie dotychczasowe, jakie na terenie Chorwacji udało się odkryć od 1948 roku. Na razie jest gaz, ale nie wykluczone, że także będzie tu ropa naftowa. W przypadku potwierdzenia się prognoz, oceniających miejscowe złoża jako wyjątkowo bogate, Jugosławia stałaby się — po Norwegii i Wielkiej Brytanii — trzecim krajem europejskim wydobywającym gaz i ropy spod dna morskiego na wielką skalę.

PRZEMYSŁ LEKKI MONGOLII

Przemysł lekki, to jedna z ważniejszych gałęzi gospodarki narodowej Mongolii. W tym pięcioleciu produkcja tej branży zwiększyła się o ok. 35 proc., przy czym zwraca się uwagę na rozszerzenie asortymentu wyrobów oraz podniesienie ich jakości. Do roku 1981 przybędzie Mongolii 8 wielkich przedsiębiorstw przemysłu lekkiego. Przędzalnia, fabryka trykotażu i dywanów, a także zakład pierwotnej obróbki wełny budowane są przy współpracy techniczno-ekonomicznej ZSRR, fabryka obuwia z pomocą Czechosłowacji. Niedawno oddano oddano do użytku jeden z ważniejszych obiektów — fabrykę obróbki wełny, przygotowaną do przerabiania 6 tys. ton surowca rocznie. Zakład, zlokalizowany w Ulan Bator, wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia, kredytowany jest przez Międzynarodowy Bank Inwestycyjny RWPG.

konjunktura na świecie

na rynkach pieniężnych

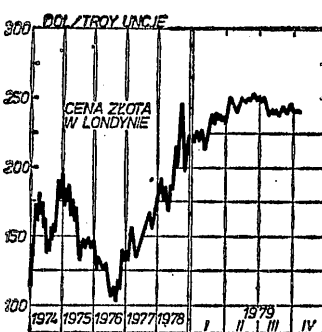
CENA ZŁOTA

(w dolarach za troy uncję *)

TABELA 1

	30.III.	3.IV.	4.IV.	6.IV.
Londyn	340,1	339,7	339,8	339,8
Paryż	340,9	339,6	339,9	339,4
Zurych	343,3	341,3	342,1	

*) 1 troy uncja = 31,1 grama.



W pierwszym tygodniu kwietnia cena złota w Londynie oscylowała wokół 240 dolarów za troy uncję, a więc wokół poziomu na jakim ukształtowała się w końcu poprzedniego tygodnia (por. tabela 1 i wykres). W dniu 4.IV. odbyła się kolej-

na aukcyjna sprzedaż złota znajdującego się w dyspozycji Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Na aukcji tej MFV sprzedał 470 tys. uncji złota, po średniej cenie 239,2 dolara za troy uncję.

Rzecz w tym, że w omawianym okresie kontynuacja tendencji, które zaznaczyły się już wcześniej. Główne z nich to wzmocnienie kursu funta szterlinga i dolara amerykańskiego oraz osłabienie kursu jena japońskiego.

W pierwszym tygodniu kwietnia kurs dolara zwykłował w stosunku do większości walut innych głównych krajów kapitalistycznych, z wyjątkiem funta szterlinga (w dniu 30.III. za funta płacono 2,066 dolara, w dniu 6.IV. odpowiednio 2,088) oraz pesety hiszpańskiej (w dniu 30.III. za dolara płacono 68,38 pesety, w dniu 6.IV. odpowiednio 68,32). Wzmocnienie kursu funta szterlinga i pesety hiszpańskiej obserwuje się również w przekroju całego pierwszego kwartału br. (w dniu 3.I. za funta szterlinga płacono bowiem 2,079 dolara wobec 2,088 w dniu 6.IV. i odpowiednio 70,14 i 68,32 pesety za dolara).

Za główną przyczynę wzmocnienia kursu funta szterlinga uważa się — o czym wspomnieliśmy już w poprzednich przeglądach — mniejsze zaangażowanie Wielkiej Brytanii od importu ropy naftowej w związku z eksploatacją złóż na Morzu Północnym. W celu przeciwdziałania nadmiernej zwężki kursu funta szterlinga (gdzie stanowiło to zagrożenie dla konkurencyjności eksportu brytyjskiego) Bank Anglii obniżył w dniu 5.IV. swą stopę pożyczkową z 13 na

12 proc. (zmniejsza to atrakcyjność lokat krótkoterminowych w bankach brytyjskich i związane z ich napływem presją na zwężkę kursu funta). Równocześnie z tym Bank Anglii wstrzymał jednak interwencyjny skup obcych dewiz w celu przeciwdziałania zwężce kursu funta, pozwalając kształtować mu się swobodnie, w zależności od popytu i podaży. Tę ostatnią decyzję uważa się za główną przyczynę wzmocnienia kursu waluty brytyjskiej w pierwszym tygodniu kwietnia.

Zniżka kursu jena japońskiego wiąże się również z sytuacją na rynku ropy naftowej. Japonia jest bowiem — jak wiadomo — silnie niż inne kraje uzależniona od jej importu. Zwężka cen ropy w br. wpłynęła więc na zwiększenie wydatków na jej import i, co się z tym wiąże, na saldo bilansu obrotów handlowych tego kraju z zagranicą. Wynikająca stąd zwężka kursu jena wpływa ze swej strony na zwężkę kosztów importu (towary sprowadzane z zagranicy stają się w jenie relatywnie droższe), co oddziałuje na wzrost cen wewnętrznych. W rezultacie przewiduje się, że w I kwartale br. bilans płatniczy tego kraju zamknie się deficytem w wysokości 2,2 mld dol., wobec nadwyżki 1,3 mld dol. w IV kwartale oraz 4,9 mld dol. w I kwartale ub. roku. W związku z tym Bank Japonii, który w roku 1978 prowadził na szeroką skalę interwencyjny skup obcych dewiz w celu przeciwdziałania nadmiernej zwężki kursu jena (w I kwartale ub. roku szacuje się go na 6,9 mld dol., a w IV kwartale na 2,7 mld), rozpoczął ich sprzedaż w celu przeciwdziałania zbytnej zwężce kursu waluty japońskiej (w I kwartale br. szacuje się ją

na 3,8 mld dol.). Interwencyjna sprzedaż obcych dewiz przez Bank Japonii nie zahamowała jednak zwężki kursu jena. W dniu 6.IV. za dolara płacono 215,2 jena wobec 209,4 w dniu 30.III. Dla uzmotywnienia sobie skali zwężki kursu jena w I kwartale br. warto podać, że w dniu 5.I. za dolara płacono tylko 196,6 jena.

O przyczynach wzmocnienia kursu dolara w stosunku do walut innych głównych krajów kapitalistycznych (por. tabela 2) wspomnieliśmy już także w poprzednich przeglądach. Nowym impulsem zwężki kursu dolara w pierwszym tygodniu kwietnia było ogłoszenie przez prezydenta J. Cartera programu dalszych posunięć zmierzających do obniżenia importu ropy naftowej.

Silny wpływ, jaki na zmiany kursów walut wywiera sytuacja na rynku ropy naftowej, skłania więc także do odnotowania, że mimo decyzji krajów OPEC o zwężce z dniem 1.IV. br. bazowej ceny ropy naftowej do 14,5 dolara za baryłkę (a więc o 0,9 proc. w stosunku do ceny jaka obowiązywała w końcu ub. roku i o 9 proc. w stosunku do ceny jaka obowiązywała w I kwartale br.) niektóre kraje dokonały większej podwyżki. Katar podwyższył cenę swej ropy do 17,04 dolara za baryłkę, a Nigeria nawet do 18,1 dolara. Również Meksyk, który nie jest członkiem OPEC sprzedaje swą ropy po cenie znacznie wyższej (17,1 dolara za baryłkę).

Z innych zmian na rynkach walutowych na odnotowanie zasługuje to, że zwężka kursu dolara USA nastąpiła również w stosunku do ecu, będącej wspólną jednostką walutową krajów zrzeszonych w Europejskim Systemie Walutowym (w dniu 6.IV.

KURSY WALUT

TABELA 2

	30.III.	2.IV.	4.IV.	6.IV.
Funt szterling (w dol. za funt)	2,066	2,068	2,067	2,068
Gulden holenderski (w gulda. za dol.)	2,014	2,027	2,026	2,038
Frank belgijski (we frank. za dol.)	29,54	29,78	29,78	29,85
Marka RFN (w mk za dol.)	1,869	1,883	1,883	1,884
Lira włoska (w lirach za dol.)	839,9	842,5	842,5	841,7
Frank francuski (w frank. za dol.)	4,297	4,321	4,323	4,337
Frank szwajcarski (we frank. za dol.)	1,632	1,704	1,705	1,714
Jen japoński (w jeniech za dol.)	209,4	211,6	214,5	215,2
Peseta hiszpańska (w pesetach za dol.)	68,38	68,13	68,24	68,32
Szyling austriacki (w szyl. za dol.)	13,70	13,82	13,81	13,86
Korona szwedzka (w kor. za dol.)	4,370	4,384	4,374	4,384
Korona norweska (w kor. za dol.)	5,107	5,121	5,116	5,127
Ecu (w dol. za ecu)	1,352	1,345	1,344	1,343

za ecu płacono 1,343 dolara, podczas gdy w dniu 30.III. odpowiednio 1,352). Najbardziej notowaną walutą w ramach ESW był w pierwszym tygodniu kwietnia nadal frank belgijski, podczas gdy nadal najsilniej notowanymi: korona duńska, funt irlandzki i lira włoska. Na uwagę zasługują zwłaszcza mocne notowania tych

dwa ostatnich walut. W trakcie dyskusji nad utworzeniem ESW uważano je bowiem za waluty słabe, co w przypadku lira włoskiego znalazło nawet wyraz w przyznaniu mu prawa do szerszego przedziału odchyleń (±6proc.) niż obowiązujący (±2,25) dla innych walut zrzeszonych w tym systemie.

na rynkach towarowych

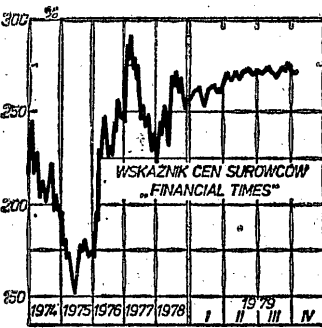
WSKAŹNIK CEN SUROWCÓW

„Financial Times”

(I.VI. 1952 = 100)

TABELA 3

Data	Wskaźnik
20.III.	274,7
2.IV.	270,8
5.IV.	271,5
Przed miesiącem	271,8
Przed rokiem	236,7



W pierwszym tygodniu kwietnia wskaźnik cen surowców „Financial Times” obniżył się o 3,2 punkta i ukształtował na poziomie niższym niż przed miesiącem o 0,3 punkta, wyższym jednak niż przed rokiem o

34,8 punkta (por. tabela 3 i wykres). Dla wyjaśnienia zmian ogólnego wskaźnika cen surowców sięgniemy — jak zwykle — do danych tabeli 4. Z tabeli tej wynika, że:

● Ceny szpiz i pasz wzrosły w stosunku do poprzedniego tygodnia (z wyjątkiem cen jęczmienia). Warto jednak zwrócić uwagę, że ceny pszenicy kształtowały się na poziomie znacznie niższym niż przed miesiącem, a ceny kukurydzy i jęczmienia na poziomie niższym niż w odpowiednim okresie ub. roku. Na odnotowanie zasługuje także zwężka cen soi, w związku z mniejszym niż poprzednio zapotrzebowaniem na jej import oraz podwyższeniem prognozy zbiorów w USA do rekordowo wysokiego poziomu 50,2 mln ton.

● Zmiany cen innych artykułów żywnościowych były — jak zazwyczaj — zróżnicowane.

Ceny kawy wzrosły w stosunku do poprzedniego tygodnia, kształtując się na poziomie wyższym niż przed miesiącem i przed rokiem. Wśród czynników działających na zwężkę cen kawy w pierwszym tygodniu kwietnia wymienia się nadal przede wszystkim walkę w Ugandzie. Pewien wpływ miały także informacje o suszy w krajach Ameryki Centralnej, która wpłynęła — może na zmniejszenie podaży kawy z tego obszaru. Na sesji Międzynarodowej Rady Kawowej, która obradowała w Londynie, nie osiągnięto porozumienia w sprawie wprowadzenia systemu kwot eksportowych. Dalsze rozmowy na ten temat mają być kontynuowane w maju.

Ceny ziarna obniżyły się wyraźnie w stosunku do poprzedniego tygodnia i ukształtowały na poziomie niższym niż przed miesiącem i przed rokiem. Głównym czynni-

TABELA 4

Jedn. pien.	3.IV.	Przed tygodniem	Przed miesiącem	Przed rokiem	W ciągu roku	W proc.
ZBOŻA I PASZE						
pszenica	centy/busz.	337,8	329,8	362,3	325,8	103,7
kukurydza	centy/busz.	247,8	244,3	232,5	351,3	98,6
jęczmień	dol./tona	82,2	83,3	81,7	82,8	99,3
ziarno soi	"	"	"	"	284,5	"
INNA ŻYWNOSĆ						
kawa	£ szt./tona	1492,0	1474,5	1462,0	1454,5	102,6
kakao	"	1657,0	1714,0	1768,5	2019,0	82,1
kukier	centy/lb	8,4	8,6	8,5	7,8	107,7
WŁÓKNA I SKÓRY						
bawełna	centy/lb	64,5	65,3	66,5	69,3	106,8
włna	penny/kg	284,0	286,0	282,0	268,0	105,9
skóry ciężkie (krowie)	centy/lb	96,0	96,0	88,0	41,5	231,3
METALE						
złom stali	dol./tona	105,8	112,5	114,8	76,5	138,3
miedź elektr.	£ szt./tona	1032,0	1041,5	990,0	706,5	146,1
(wire bars)	"	727,0	735,0	725,0	573,0	126,9
cynek	"	386,0	397,0	391,0	316,0	122,2
ołów	"	570,5	578,5	554,0	312,0	182,9
INNE						
kaučuk	penny/kg	61,3	64,0	60,8	47,5	129,1

Miejsce notowania: Chicago — pszenica, kukurydza, skóry ciężkie; Winnipeg — jęczmień, ołówek; Rotterdam — ziarno soi; Nowy Jork — kukier, złom stali; Bradford — wełna; Liverpool — bawełna; Londyn — kawa, kakao, miedź elektrolityczna (wire bars); cynek, ołówek, kaučuk, rzepka. Jednostki przeliczeniowe: 1 busz pszenicy = 27,3 kg, 1 busz kukurydzy = 25,4 kg, 1 lb (funt) = 0,454 kg.

kiem działającym na zwężkę cen ziarna kakao stała się informacja, że jego zużycie w USA wykazało w I kwartale spadek, podczas gdy przewidywano, że wzrośnie w granicach 5—15 proc. Informacja ta wzmocniła

wcześniej zarysowującą się zwężkę cen tej uprawy, wobec znaczącej podaży ze strony krajów eksportujących oraz dobrych perspektyw jej zbiorów w Brazylii. Ceny cukru, które od dłuższego

już czasu kształtują się na bardzo niskim poziomie, obniżyły się w stosunku do poprzedniego tygodnia. Główną przyczyną była znaczna jego podaż z Indii.

● Ceny surowców dla przemysłu lekkiego obniżyły się nieznacznie w stosunku do poprzedniego tygodnia (z wyjątkiem cen skór).

● Ceny metali nieżelaznych obni-

żyły się w stosunku do poprzedniego tygodnia. Wśród czynników działających na podwyższenie cen metali wymieniamy się nadal obawy, że jej dostawy z Zairu będą niższe niż wynika to z enuncjacji przedstawicieli tego kraju. W tym samym kierunku działała jej stosunkowo mała podaż na krótkie terminy. Ten ostatni czynnik działał również podtrzymując na ceny cyny.

wskaźniki

BEZROBOCIE

a) Liczba bezrobotnych w tys. b) stopa bezrobocia w proc.

TABELA 5

		Marzec 1979	Luty 1979	Styczeń 1979	Marzec 1978
W. Brytania	a	1350,4	1362,6	1339,2	1400,0
	b	5,7	5,7	5,6	5,9
USA	a	5881,0	5833,0	6012,0	6090,0
	b	5,7	5,8	5,9	6,1
RFN	a	1134,0	1171,4	1006,7	1234,3
	b	5,0	5,1	4,4	5,4
Holandia	a	211,1	211,5	210,5	202,7
	b	5,1	5,3	5,2	5,1
		Styczeń 1979	Grudzień 1978	Listopad 1978	Styczeń 1978
Japonia	a	1270,0	1160,0	1160,0	1260,0
	b	2,1	2,2	2,3	2,1
Francja	a	1356,0	1256,4	1215,3	1027,7
	b	5,9	5,5	5,3	4,7
Holandia	a	303,1	300,9	297,1	299,5
	b	7,6	7,5	7,5	7,5

ze świata nauki i techniki

SZTUCZNE SŁOŃCE

W pomieszczeniu o powierzchni 80 m kw. ściany zbudowano z luster, a sufit z materiału rozpraszającego światło. Nad sufitem znajdują się lampy fluorescencyjne o mocy 6 tys. W. Natężenie oświetlenia zmienia się od 1000 do 6000 luksów. Samo słońce imitowane jest przez lustro paraboliczne o średnicy 600 mm, w ognisku którego umieszczono halogenową żarówkę o mocy 100 W na napięcie 12 V. Ten model sklepienia niebieskiego skonstruowano w laboratorium techniki świetlnej szkoły architektonicznej w Kopenhadze. (WIT)

TYTONIOWA FOLIA

Z pyłu i drobniejszych odpadków tytoniu, po odpowiedniej obróbce najpierw na suchą, potem na mokro, sporządza się papkę z dodatkami środków chemicznych, a następnie otrzymuje swego rodzaju folię, która posztakowana jak naturalne liście tytoniowe stanowi dodatek do papierosów. Odmusza się on tym, że zmniejsza zawartość niektórych niepożądanych składników dymu. Automat do wytwarzania tytoniowej folii skonstruowano w Instytucie Badania Tytoniu i Wyrobów Tytoniowych w Pilewku. (PAI)

BIOCIBERNETYKA

Elektryczne systemy intensywnego nadzoru i reanimacji, krajowy system kontroli kardiostymulatorów, systemy stymulacji układu nerwowego, elektroniczna proteza krtań, urządzenia do automatycznej diagnostyki laboratoryjnej, okulistycznej czy mikrobiologicznej, to tylko niektóre efekty nowej medycyny (technicznej) galei wiedzy, jaką jest biocybernetyka i inżynieria biomedyczna. Wartość rocznej produkcji sprzętu elektronicznego w naszym kraju zbliża się do milarda złotych, zaś potrzeby w tej dziedzinie, a także możliwości eksportowe, są znacznie większe. (PAP)

KOMPUTER W SAMOCHODZIE

Wystarczy nacisnąć guzik, a na ekranie pojawiają się dane dotyczące prędkości, zużycia paliwa, prędkości obrotowej silnika itp. Tego rodzaju system komputerowy zastępuje dotychczasowe wskaźniki i służy do sterowania silnikiem. W modelu samochodu Chrysler w nowym modelu samochodu Cadillac Seville. (Interpress)

NAJWIĘKSZY MODEL

Japończyk Naboru Okada zbudował model bombowca strategicznego Boeing B-52. Powstał model samolotu o rozpiętości skrzydeł 5,1 m i długości kadłuba 3,5 m (prawdziwy samolot ma długość 45,3 m i rozpiętość — 55,42 m). Podczas pierwszego lotu samolot sterowany radiem samolot utrzymywał się w powietrzu przez 10 min. i zakończył krąg na wysokości 180 m. Jak dotychczas, jest to największy model samolotu wykonany na świecie. (WIT)

DLA ELEKTROWNI ATOMOWYCH

W Zakładach im. Kłowa w Charkowie opracowano projekt turbiny o mocy 3 mln kilowatów przeznaczoną dla elektrowni atomowych. Takie potężne agregaty znajdują coraz większe zastosowanie w radzieckiej energetyce atomowej. (PAP)

WAGON Z ALUMINIUM

Fundacja tego wagonu spawane automatycznie z profilowanych płyt aluminiowych ma długość 23 m. Po wykonaniu 100 takich wagonów skonstruowanych przez szwajcarską firmę Alusuisse dla metra w Atlancie (stan Georgia) okazało się, że są one także do budowania z blach stalowych. Konstrukcja ta uzyskała doroczną nagrodę American Aluminum Association w roku ubiegłym. (WIT)

„ZENIT 19”

Wkrótce pojawi się w sprzedaży rozwinięta wersja radzieckiego aparatu fotograficznego „Zenit” popularnego także w Polsce. Nowy model „Zenit 19” stanowi nową, ulepszoną konstrukcję. Aparat jest wyposażony w elektroniczny światłomierz oraz pionową migawkę zbudowaną z metalowych pasów, która zapewnia równomierne naświetlenie całej klafki filmu. (Interpress)

W WALCE Z WILGOCIĄ

Nową metodę izolowania murów przeciwno wilgoci opracowano w angielskiej firmie Peter Cox International Ltd. W fundamentach na poziomie 15 cm od podłogi i co 15 cm wierci się otwory i wprowadza do nich płyn sprowadzony na bazie polimerów, który nasycza porę muru i wchodzi w reakcję z zawartym w powietrzu dwutlenkiem węgla, tworząc żywicę epoksydową nieprzepuszczalną dla wilgoci. (PAI)

GÓRSKI KOMBAJN

W RFN rozpoczęto produkcję kombajnu, który może kosić zboża na stokach; porusza się on szarowno w poprzek, jak i w górę oraz w dół. Specjalne hydrauliczne urządzenia umożliwiają utrzymywanie równowagi. Kabina kombajnisty jest jak skonstruowana, że stale zachowuje poziome położenie. (NIT)

SKARBY W ŚMIECIACH

U nas śmieci traktuje się pogardliwie. Szwedzka firma „Svenske Tjekfabriken” produkuje urządzenie do ich sortowania, które pozwala odzyskać 90-95 proc. składników metalowych, 80-85 proc. papieru oraz około 65 proc. szkła i tworzyw sztucznych. Sortowanie odbywa się pneumatycznie, następnie elektromagnety wyciągają odpady szklane. (WIT)

LWP-63

W Fabryce Obrabiarek Specjalnych „Ponar” z Poznania zbudowano pierwszy prototyp dokumentacji opracowanej przez Zakład Projektowy Obrabiarek Specjalnych, wykonano obrabiarkę zespołową wzdłużną LWP-63. Obrabiarka przeznaczona jest do obróbki kolektorów szacowanego dnia. Zakładów Mechanicznych „Ursus” w Warszawie wykonującej operacje: wiercenia, rozwiercania i planowania. Zastosowane zespoły produkcyjne (krajowe) i Kierownictwa firmy La. Salla. Wydajność obrabiarki 17,7 szt./h przy sprawności ciągłości pracy 0,65. Przewidywane efekty ekonomiczne: oszczędność 7128 norm/godzin rocznie. (MFM)

HYDROTRANSPORT

W „Transprogressie” — Wszzechwłaskowym Instytucie Naukowo-Badawczym Systemów Hydrogospodarczych — opracowano ostatnio techniczno-ekonomiczne założenia budowy „węglociągu” biegnącego z Kumińskiego Zagłębia Węglowego do Nowosibirska. Ta 250-kilometrowa magistrala, która popłynie do elektrowni i walczy z węglowodami, dostarczać będzie ponad 4 mln ton paliwa rocznie. (Interpress)

SAMOCHOD ZE SKRZYDŁEM

Podczas jazdy samochodem, który ciągnie przyczepę, występuje zawirowanie powietrza tworzone przez podjazd. Uderzają one w przednią część przyczepy, zwiększając opór powietrza. W Wielkiej Brytanii rozpoczęto produkcję wymienianych skrzydeł dla samochodów, które ciągną bagażowe i turystyczne przyczepy. Skrzydło takie ustawia się pod określonym kątem na dachu. Powoduje ono odwrócenie w górę potoku powietrza od przyczepy, co zmniejsza opór powietrza. W rezultacie zmniejsza się zużycie paliwa, hałas, spada obciążenie silnika, a samochód lepiej trzyma się drogi. (PAP)

wiadomości gospodarcze

PO AWARII ELEKTROWNI ATOMOWEJ W HARRISBURGU

Nuclear Regulatory Commission (NRC) opublikowała 4 bm. pierwsze sprawozdanie dotyczące przyczyn awarii reaktora atomowego w Harrisburgu. Sprawozdanie stwierdza, że popełnione zostały co najmniej trzy różne błędy personelu obsługującego reaktor, które doprowadziły do awarii:

— zawory awaryjnego systemu pomp były zamknięte w czasie, kiedy powinny być otwarte;

— osoba obsługująca awaryjny system chłodzenia włączyła ten system w niewłaściwym czasie;

— pomocniczy system pomp wodnych był zdemontowany w sytuacji, która nie pozwalała na jego zdemontowanie.

Przedstawiciel NRC, Darrel Eisenhut stwierdził, że zawory awaryjnego systemu pomp zostały zamknięte w czasie normalnych prac konserwacyjnych dwa tygodnie temu i nie jest pewne, czy były one otwarte w czasie incydentu. Stwierdził on dalej, że błąd operatora obsługującego awaryjny system chłodzenia mógł wynikać z błędnych wskazań instrumentów. Wszystkie trzy błędy obsługi nastąpiły w ciągu jednej godziny, i to właśnie spowodowało awarię. Niemniej oświadczył on również, że pewne problemy mechaniczne i błędy konstrukcyjne mogły również przyczynić się do awarii. Senator Edward Kennedy, jako przewodniczący senackiej podkomis-

sji ds. zdrowia, zainaugurował 4 bm. przesłuchania w sprawie awarii w Harrisburgu. Wezwał on do utworzenia niezależnej agencji dla badania przyczyn awarii oraz oceny stanu bezpieczeństwa w innych elektrowniach atomowych. (em)

PODWYZKA TARYF PRZEWODZOWYCH IATA

Począwszy od 1 maja br.

Publiczne przedstawienie tezy, że eksport sprzętu sportowego, w tym także nart, jest działalnością konieczną i ze wszech miar godną pochwały, podczas tegorocznej zimy może łatwo zostać poczytane za prowokację pod adresem tych wszystkich, którzy poszukiwanego sprzętu nie znaleźli w sklepach. Należy również do tej grupy — mam jednak nadzieję, że przedstawione poniżej argumenty pozwolą Czytelnikom na spokojne podejście do sprawy — tym bardziej, że śniegi już spłynęły.

SPRZETEM sportowym i zaopatrzeniem rynku krajowego w artykuły z tej branży zajmujemy się na łamach „Z.G.” regularnie co pół roku i to zarówno pod kątem zimowego, jak i letniego ekwipunku. Trzeba jednak samokrytycznie powiedzieć, że w publikacjach z ostatnich lat nie zwracaliśmy specjalnie uwagi na eksport. Ostatnią publikacją obejmującą całościowo rynek, produkcję i eksport był artykuł „Przemysł wolnego czasu „Z. G.” z roku 1976. Przedstawiono w nim pogląd, że jesteśmy w stanie stać się liczącym się w świecie eksporterem sprzętu sportowego i rekreacyjnego, pod warunkiem doinwestowania przemysłu i skupienia się na najbardziej obiecujących rynkach i asortymentach. Warto może wrócić do poglądów opublikowanych przed kilku laty, gdyż wydaje się, że nie straciły one na aktualności, a w kilku dziedzinach nasze szanse i możliwości nawet wyraźnie wzrosły. Głosząc przed kilku laty tezę, że przemysł produkcyjny dla wolnego czasu ma przed sobą duże możliwości, autor J. Dąbrowski patrzył dość optymistycznie na perspektywę rozwoju światowego rynku i sądził, że popyt na artykuły sportowo-rekreacyjne będzie rósł w dotychczasowym tempie. Wprawdzie długotrwała recesja przyhamowała to tempo dość wyraźnie, jednakże w dalszym ciągu, mimo gorszej koniunktury i bezrobocia, konsumenci w tzw. drugiego obszaru płatniczego nie chcą przestać grać w piłkę, jeździć na nartach i żeglować po morzach i jeziorach, a jeżeli chodzi o inne kierunki eksportowe, to popyt rośnie tam znacznie silniej. Produkcją sprzętu sportowego i rekreacyjnego zajmuje się u nas kilka zjednoczeń, z których specjalizacje w tej dziedzinie uzyskało, jak wiadomo, zjednoczenie „Polsport”. Oprócz niego atrakcyjne, nadające się na eksport wyroby typu sportowego produkują także zakłady przemysłu odzieżowego, jak np. znakomite zimowe kombinizony narciarskie firmy „i Maja — Otis” we Wrocławiu, a podobne — choć nieco gorsze — produkuje „Warmia” Kętrzyn. W branży namiotowej mamy dwóch największych producentów Legionowo i Częstochowę i kilka drobnych firm, zaś w pozostałych asortymentach na czoło wysuwa się „Stomil” — produkujący obuwie, sprzęt, tenisówki, materace gumowe, łodzie pontonowe i od niedawna znakomitą odzież narciarską. Nie sposób też pominąć „Predomu”, który zapewnia nam turystyczną ciepłą strawę, światło i ogrzewanie w systemie „Predom Gaz”, a także wytwarza przyczepy kempingowe i bagażowe, nie mówiąc o innych drobnych artykułach. Wszystkie z wymienionych asortymentów i produktów są przedmiotem eksportu i to zarówno oficjalnego, jak i prywatnego — często bardzo korzystnego. Omawianie tej problematyki zaczęliśmy jednak od „Polsportu”, któremu „z wieku i urzędu” należy się pierwszeństwo.

Oferujemy sprzęt na zimę...

Zdaniem dyrektora zjednoczenia do spraw handlowych Z. Pawłowskiego, pięć głównych branż eksportowych zjednoczenia, to: piłki skórzane do różnych gier, narty, łodzie, buty i odzież. Szczególnie piłki można określić jako eksportowe złote jabłko, zarówno pod względem rozmiarów — 500 tys. rocznie, z czego 300 tys. przypada na drugi obszar płatniczy, jak i opłacalności. Gdy padło jednak pytanie o perspektywy tej branży, optymizm nieco zmalał. Trudności dotyczą zarówno siły roboczej — brakuje chętnych do ręcznego szycia piłek — co jest sprawą istotną dla nabywcy, który lubi „Hand made” — jak i nie najlepszej sytuacji surowcowej. Kolportowane przez firmę Adidas poematy na temat wymagań surowcowych, jakie postawiono przed skórą na piłki do Mundialu-78, nie są specjalnie przesadzone — o dobrą skórę na piłki niełatwo, a niewykluczone, że będzie jeszcze trudniej. Nie można jednak zapominać, że w tej dziedzinie udało się nam zdobyć na wymagających światowych rynkach silną pozycję i trzeba chyba pilnować takiego miejsca jak oka w głowie.

Na drugim miejscu eksportowej listy „Polsportu” znajduje się towar kontrowersyjny — narty. Kontrolerskość ta (polegająca na tym, że się eksportuje przy brakach w zaopatrzeniu rynku krajowego) jest, jak się wydaje, pochodną całej atmosfery wokół narciarstwa w Polsce, którą trudno określić inaczej jak wysoce konfliktowa. Chodzi tu zarówno o konflikty między narciarzami a resztą świata — a więc producentami sprzętu i handlem, który nigdy nie może im dogodzić, miłośnikami parków narodowych, właścicielami i budowniczymi kolejek i wyciągów, opiekunami tras narciarskich, a nawet władzami narciarskich ośrodków — jak i między samymi narciarzami. Jest to jednak temat, który wymaga osobnego wszechstronnego naświetlenia. Zanim do niego wrócimy przy innej okazji, pora wyjaśnić pewne nieporozumienia, które wokół naszej produkcji nart narosły.

Otóż, kiedy powstała wytwórnia nart w Szaflarach w zasadzie nie włożono jej dużych perspektyw eksportowych — tym bardziej, że zdawano sobie sprawę z dystansu, jaki dzielił jakość naszego sprzętu od klasy światowej. Kiedy jednak na początku lat siedemdziesiątych, po kilku beznieżnych zimach zmałał popyt na krajowym rynku, a jednocześnie poczęła gwałtownie rosnąć popyt na rynkach światowych, udało się nam wejść na dość wymagające rynki w krajach kapitalistycznych z nartami śladowymi, a jednocześnie staliśmy się najpoważniejszym ilościowo i jakościowo producentem nart zjazdowych w krajach socjalistycznych. Polskie narty zjazdowe — początkowo wędrujące do krajów przyjaźnionych drogą prywatnego eksportu, a w ostatnim okresie ugruntowały swą pozycję zarówno w Związku Radzieckim — u naszego najpoważniejszego i najbardziej obiecującego odbiorcy — jak i w innych krajach: w CSRS, na Węgrzech czy w Bułgarii. Sądzić należy, że to dopiero początki naszej ekspansji, która mogłaby znacznie wzrosnąć, pod warunkiem spełnienia kilku znanych od dawna postulatów. Nasz obecny eksport, to 70 tys. nart śladowych i 40 tys. zjazdowych, a w roku 1979, kiedy produkcja Szaflar wzrosła do 250 tys. par, mamy szansę dalszego wzrostu; co więcej, eksport jest jednym z koniecznych warunków wzrostu produkcji, ponieważ znaczna część surowców zmuszani jesteśmy importować. Jednakże eksport nart powinien być potraktowany docelowo znacznie szerzej i do sprawy tej warto wrócić.

...a także na lato

Jedną z najbardziej wyraźnych obecnie tendencji w kształtowaniu modelu rekreacji jest wypoczynek na wodzie. Wszelkiego rodzaju łodzie, motorówki, jachty, pontony i kajaki stanowią obecnie wielki segment rynku światowego. Także i my, choć na stosunkowo niewielką skalę, włączyliśmy się do tej dziedziny wytwórczości i poza „Polsportem” produkującym raczej nieskomplikowane modele o niezbyt wysokim standardzie wyposażenia, mamy w kraju producentów w Szczecinie i Gdańsku, produkujących pełnomorski sprzęt bardzo wysokiej klasy. Zarówno w przypadku „Polsportu” i jego wytwórni w Chojnicach, jak i stożni jachtowych są to w większości jednostki oparte na licencjach zagranicznych i niemal w całości produkowane na eksport. W tej sytuacji znaczny wsad importowy nie powinien stanowić problemu — gorzej, gdy zmieniają się kierunki eksportu z dotychczasowego drugiego obszaru na pierwszy. Jedną z przyczyn tego jest zbyt spartańskie wykończenie łodzi, co nie cieszy np. wymagających pod tym względem Szwedów. Sądzę, że problem podniesienia standardu wykończenia dałoby się rozwiązać, więcej nawet — jest to niezbędne, ale potrzeba tu koordynacji działań kilku producentów.

Na szczęście nie mamy tego typu problemów z obuwem sportowym — piłkarskim, kolarskim czy łyżwiarskim. W tych branżach występujemy często jako dostawca wielkich i znanych firm światowych, które używają nam swojej marki firmowej. Być może nie zaspokaja to dumy narodowej, ale oszczędza nam wydatków na marketing, które, jak wiedzą wszyscy telewizyjni, w przypadku takim, jak Adidas czy Puma, idą w setki milionów dolarów.

Ostatnia grupa asortymentowa w eksporcie „Polsportu” to odzież; tutaj, jak sądzę, należałoby chyba zastanowić się nad przyczynami, dlaczego właściwie jest to grupa ostatnia — i jak wynika z oceny kierownictwa zjednoczenia — niezbyt udana. Dotyczy to szczególnie tzw. odzieży ciężkiej — zimowej, ponieważ w produkcji koszulek i spodni lekkosportowych czy bokserów nie mamy się czego wstydzić. Natomiast w innych modelach „Polsport” dał się wyprzedzić konkurencji. Sądzę, że rozwiązanie tego problemu powinno polegać po prostu na zapewnieniu sobie dobrych projektantów, których można znaleźć w kraju i fachowego doradztwa, co również jest możliwe, jak wykazał przykład „Stomilu”, który w swych sportowych asortymentach postanowił konsultować się z najwybitniejszymi krajowymi sportowcami w danej dziedzinie. Ale ponieważ celem niniejszego artykułu jest raczej omówienie możliwości zdyktowania dotychczasowego eksportu i poprawienia jego opłacalności, a nie inwentaryzacja krajowych producentów ze wszystkich branż i zjednoczeń, spróbujemy przejść do pewnych wniosków i postulatów pod ich adresem. Zaczniemy zatem od spraw najbardziej podstawowych.

Potrzeba całościowej oferty

Zważywszy, że na interesujących nas rynkach eksportowych handel sprzętem sportowym koncentruje się w firmach, które dysponują pełną ofertą, należałoby taką pełną, kompleksową ofertę kompletować

ZŁOTE JABŁKO NA EKSPORT

JERZY JUROWSKI

i prezentować zainteresowanym importerom u nas w kraju. Tymczasem w sytuacji, kiedy powiedzmy „Polsport” nie produkuje atrakcyjnej odzieży narciarskiej, zagraniczny nabywca niejednokrotnie ograniczy swój zakup do np. samych nart, nie wiedząc, że możemy mu także zaoferować atrakcyjne okulary narciarskie, boty, „après-ski”, czy wreszcie znakomite spodnie i kamizelki z łożdkiego „Stomilu”. Nawet zorientowani od lat krajowi handlowcy nie potrafią skoordynować dostaw w jednym miejscu i czasie, a co dopiero mówić o importerach zagranicznych, którzy często stają przed sytuacjami na pozór nierozwiązywalnymi. Nie apeluję tu o włączenie „ośmiennych” producentów do zjednoczenia „Polsport”, bo nie jest to potrzebne, ale sądzę, że jeżeli rzeczywiście zależy nam na zwiększeniu rozmiarów, a co ważniejsze — opłacalności eksportu, to konieczna jest ścisła współpraca wszystkich zainteresowanych. Konieczne musimy pozbysć się wszystkich szkodliwych podziałów i zdać sobie sprawę, że wszyscy płyniemy w tej samej łodzi bilansu handlowego, a skoordynowanie dostaw i dopracowanie się np. wspólnej linii wzorciwa u producentów z różnych zjednoczeń to wzrost opłacalności czasami o kilkanaście procent, przy minimalnych nakładach.

Z przedstawionych tu dziedzin zimowych należy np. skoordynować kolorystycznie i wprowadzić elementy identyfikacyjne dla nart, butów, kijeków, rękawiczek, czapek, kombinizonów, spodni, wiązań, a nawet skarpetek. Zestawy tego rodzaju są obecnie podstawą całego obrotu zimowym sprzętem na świecie i rzecz jasna wielokrotnie zwiększają zyski handlowców i producentów. Wymienię tu celowo produkty wielu, należących do różnych zjednoczeń producentów, ale chciałbym przypomnieć, że nawet w przypadku kijeków i nart, gdzie „Polsport” jest wyłącznym producentem, nie ma żadnej koordynacji wzorniczej. Projektanci przemysłowi mają swoje związki formalne i towarzyskie — czy nie mogliby dopilnować, aby rzeczywistość udane funkcjonalnie spodnie narciarskie „Stomilu” w swej kolorystyce pasowały jakoś do nart czy wiatrówek?

Sprawa nie jest błaża, chodzi tu często o bardzo znaczny wzrost cen transakcyjnych, którego się pozbawiamy w sposób niezmiernie bez troski, bądź też na skutek nadmiernych indywidualnych ambicji, które trzeba przeciw podporządkować interesowi ogólnopanstwowemu.

Problem wzornictwa w sprzęcie sportowym należy niemal do kluczowych, a w dziedzinie narciarstwa można powiedzieć, że chyba dominuje. W chwili obecnej mamy szansę na uzyskanie niezmiernie cennych wieloletnich kontraktów kompleksowej dostawy sprzętu narciarskiego, obejmującego kijki, buty, narty, wiązania i odzież na rynek radziecki w kilkudziesięciotysięcznych seriach. Od dawna na rynku tym cieszyliśmy się, zwłaszcza w dziedzinie odzieży, opinią producenta o znakomitym wzornictwie, na co pracowały nasze najlepsze fabryki odzieżowe. Sądzę, że nie należy dopuścić, żeby ta opinia zmieniła się przez zdecydowanie nieatrakcyjną szatę graficzną naszych nart, które na tle importowa-

nej oferty dostępnej np. w Czechosłowacji, a przed rokiem także i w Polsce, wyglądają bardzo ubogo i co gorsza od długiego już czasu prawie nie się w tej dziedzinie nie poprawia, mimo że same narty jakościowo są coraz lepsze.

Także w dziedzinie sprzętu letniego koordynacja i doprowadzenie do pełnej kompleksowości oferty jest sprawą konieczną. Meble kempingowe powinny pasować do namiotu i bagażnika czy przyczepy samochodowej, a przedmowski sprzęt kuchenny-łódzkowy powinien być ko- niecznie koordynowany np. z łodziami turystycznymi. Sądzę, że przy właściwym porozumieniu „Predomu” i „Polsportu” udałoby się nie tylko zapewnić właściwy poziom komfortu polsportowiskich łodzi, w których można by montować niektóre z elementów wyposażenia przyczep z Nie- wiadoma, a z kolei niewiadomskie przyczepy można by wyposażać w szereg urządzeń turystycznych produkowanych przez „Polsport” czy innych krajowych producentów. Z kolei wydłużenie serii przyniosłoby — mniemam — szereg korzyści krajowemu nabywcy, który obecnie ma okazję nabyć niektóre z wymienianych tu wyrobów eksportowych jedynie na zasadzie tzw. odrzutu.

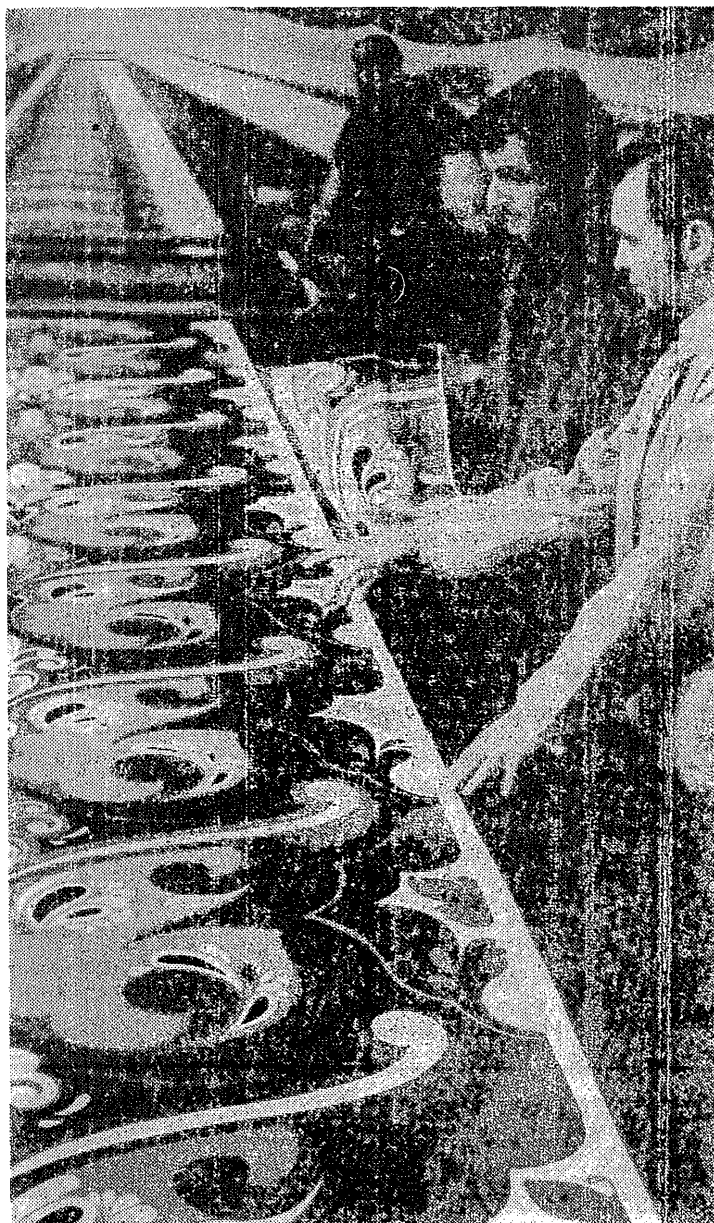
Całościowe podejście do spraw eksportu sprzętu sportowego i turystycznego wymaga jednak przełamania szeregu barier: kompetencyjnych, prestiżowych i wreszcie ekonomicznych. Chodzi tu na przykład o to, że w obecnej sytuacji eksportowy sukces przedsiębiorstwa B nie przynosi żadnych niemal korzyści przedsiębiorstwu A — które się do przyczyniło, dostarczając surowca o

podwyższonej jakości czy specjalnego wyposażenia. W sytuacji, kiedy każdy producent interesuje się wyłącznie własnym interesem, kiedy do akcji nie włącza się koordynator, który mógłby egzekwować dostawy odpowiednich materiałów czy też zapewnić sprawiedliwy podział dodatkowych dochodów dewizowych, uzyskanych dzięki wspólnej skoordynowanej akcji, nigdy takiego efektywnego programu proeksportowego nie uda się uruchomić.

W eksporcie towarów konsumpcyjnych nie zawsze i nie wszędzie potrzebna jest koordynacja działań i kompletowanie oferty. Jednakże w przedstawionym powyżej przypadku konieczność zastosowania nowych całościowo-marketingowych form działania jest zdaniem specjalistów najlepszym przykładem bezwzględnie koniecznych działań, przynoszących przy małych nakładach maksymalne efekty. Przemysł sportowo-turystyczny i zainteresowane centrale handlowe mogłyby tu wypróbować rozwiązania, które warto by stosować także i w innych dziedzinach eksportu dóbr konsumpcyjnych, np. w dziedzinie gospodarstwa domowego, wyposażenia mieszkań czy sprzętu elektroakustycznego. Nietrudno zauważyć, studiując chociażby zagraniczne perspektywy, że kompleksowość i wszechstronność dostaw w konkretnej branży, pod jedną marką handlową czy produkcyjną, jest warunkiem powodzenia rynkowego. Jest to główny program działania mistrzów świata w tej konkurencji — firm japońskich. Sądzę, że w sytuacji, kiedy eksport stał się imperatywem gospodarczym, trzeba korzystać z najlepszych wzorów.

Hoechst zapewnia wyższą wydajność:

Pewniejsze barwienie i drukowanie tkanin.



Niezawodność, osiągnięta przy uszlachetnianiu tkanin produktami firmy Hoechst oznacza lepszą jakość i mniejszy odrzut.

Hoechst oferuje szeroką, zróżnicowaną skalę barw. Standard barwników jest niezmienny, dlatego nie ma ryzyka zmiany odcienia koloru. Specjalizacja w zakresie określonych rodzajów włókien zapewnia optymalne właściwości barwiące.

Dzięki zastosowaniu barwników Samaron i Remazon w opracowywaniu przez firmę procesie z użyciem mrówczanu sodowego, stosowanym przy drukowaniu na mieszkankach poliestrowo-celulozowych, możliwe jest skrócenie cyklu płukania.

Wyczerpujących informacji udzieli Państwu Hoechst AG Biuro Informacji Technicznej w Warszawie, 00 950 Warszawa, ul. Stawki 2, skrytka pocztowa 15. Tel.: 39-97-18, 39-75-62, 39-75-76. Telex: 8 12 298

Zapraszamy do stoiska firmy Hoechst AG w pawilonie RFN na tegorocznych Międzynarodowych Targach Poznańskich. 10.-19. czerwca 1979

Hoechst



„WIĘCEJ WIDZISZ, WIĘCEJ SŁYSZYSZ”

Transport powoli wychodzi z zimowych kłopotów. Nie oznacza to jednak, że działa już sprawnie, że zaspokaja przewoźne potrzeby gospodarki i ludności. Na to będziemy musieli jeszcze poczekać i to nie parę tygodni — a co najmniej parę lat.

Podobna sytuacja istnieje także w komunikacji miejskiej w Warszawie. W zasadzie wszystko wróciło do normy, tylko, że ta „norma” przestaje absolutnie wystarczać rozrastającemu się miastu. Wracając więc dyskusja na temat metra w przyszłości i szybkiej kolei miejskiej, bo świadomość, że tramwaj i autobus nie udźwigną rosnących przewoźów jest już powszechna. Szczególnie wobec szybkiej rozbudowy metra w kierunku południowym (Ursynów) i w kierunku północnym, który stanie się prawdopodobnie głównym warszawskim placem budowy w przyszłym pięcioleciu.

Znalezienie nowych rozwiązań jest więc koniecznością. Powstaje jednak pytanie — jakich? Metro — o którym się najczęściej mówi — to, jak można szacować, około 100 mld zł inwestycji i 10-letni cykl budowy. A ludzie muszą w tym czasie poruszać się w miarę sprawnie i to nie tylko i nie przede wszystkim Flakami 126.

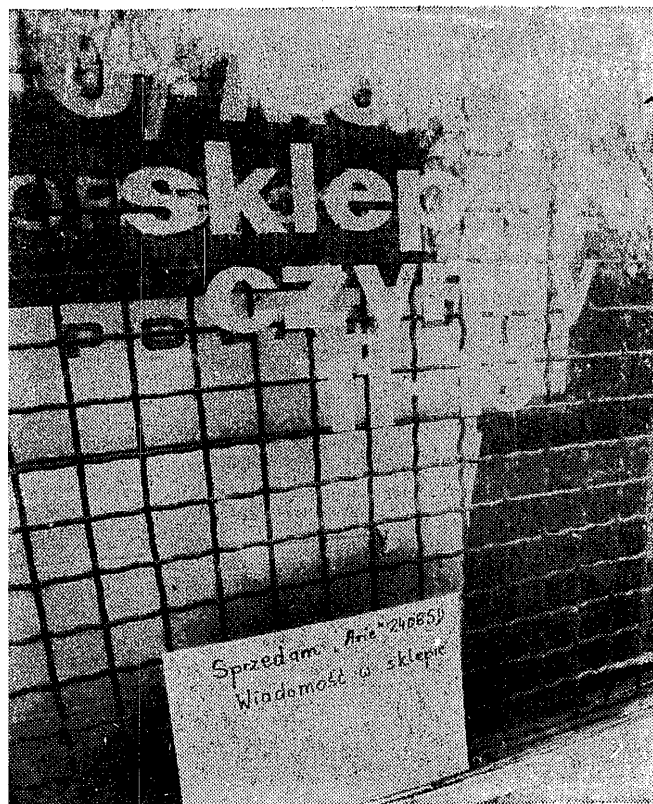
„Przegląd Techniczny — Innowacje” opublikował w styczniu br. dyskusję, w której przypomniano przedwojenną, z początków lat dwudziestych, koncepcję rozwiązania problemów komunikacyjnych Warszawy, której autorem był prof. Aleksander Wasutyński. W ostatnim numerze koncepcję tę rozwija i broni jej przed oponentami Stanisław Kuczborski. Polegała ona na rozbudowie podmiejskich linii kolejowych i doprowadzeniu ich do śródmieścia. Z tą myślą m. in. zbudowano linię średnicową Wschód-Zachód. Prof. Wasutyński uważał za konieczne zbudowanie drugiej linii średnicowej, Północ-Południe. Tak więc linie kolejowe stanowiłyby kościec systemu komunikacji masowej. Autor nie wykluczał budowy metra dla komunikacji międzydzielnicowej, gdyż ówczesna niezwykle gęsta zabudowa uniemożliwiała na większą skalę rozwój tradycyjnych linii tramwajowych. Ponieważ obecnie sytuacja jest inna, odbudowując Warszawę stworzono szansę dla naziemnej komunikacji — tramwaju, autobusu czy trolejbusu.

Może ona spełnić swe zadanie — pod warunkiem jednak, że będzie istniał ów kościec — linie kolejowe łączące centrum z osiedłami peryferyjnymi i podmiejskimi. I to przystosowane — przez posiadanie wydzielonych torów, odpowiednią sieć przystanków i odpowiedni tabor — do masowego przewożenia pasażerów na krótkich stosunkowo odcinkach.

Koncepcja ta ma wielu przeciwników. Wydaje się jednak, że opory wynikają głównie z faktu, że PKP nie daje sobie rady z już istniejącymi przewozami pasażerskimi na liniach podmiejskich, wobec czego trudno sobie wyobrazić, że mogą przejąć jeszcze część zadań, jakie wykonuje komunikacja miejska. Jeśli jednak odwrócić się od istniejącej sytuacji, „zmodernizowane” i uaktualnione koncepcje prof. Wasutyńskiego mają niezaprzeczalne walory. Po pierwsze — linie kolejowe już istnieją i poza nową linią średnicową N-S wymagają jedynie odpowiedniej przebudowy, dostosowania do nowych zadań. Metro — w Warszawie docelowo ma mieć ono 150 km długości — trzeba budować całkowicie od nowa. Po drugie — skala problemów technicznych, związanych z wykorzystaniem linii kolejowych do potrzeb komunikacji miejskiej jest znacznie mniejsza niż przy budowie metra; są to przy tym problemy, które możemy sami rozwiązać, sprawy w zasadzie już u nas w kraju opanowane. Po trzecie — wręcz — ważny jest czas, a można sądzić, że rozwiązanie „kolejowe” przyniesie efekty szybciej niż metro.

Należy więc zgodzić się ze Stanisławem Kuczborskim, że trzeba przygotować projekt techniczno-ekonomiczny takiego rozwiązania, a decyzyjnie podjąć go porównaniu nakładów i efektów, które przyniesie realizacja każdej koncepcji. Realizacja rozwiązania „kolejowego” też wymagać będzie dużych nakładów, zmian organizacyjnych i — co w naszych warunkach również stwarza problemy — przełamania wielu barier kompetencyjnych, „resortowo-terenowych”. Ale zbadać ją trzeba, gdyż stwarza szansę istotnej poprawy warunków życia w stolicy i nie tylko — bo koncepcję tę można zastosować we wszystkich dużych miastach, które rozwijają się wzdłuż linii kolejowych.

S.C.



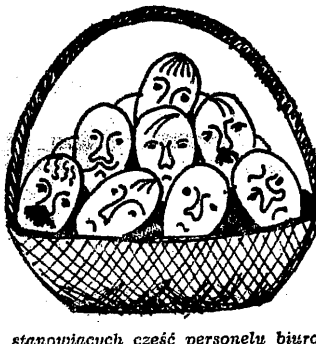
Fot. S. ZUBCZEWSKI

żywocik gospodarczy

● Nie dalej jak dwa lata temu szeroko pisano w prasie, że odtąd kierownik restauracji czy kawiarni sam będzie prowadził lokal, ustalał, gdzie kupić, co podać i za ile. Zamiast się swoją firmą, a nie papierkami „Dziennik Zachodni” informuje, że po reformie papierków zaczęło znów przybywać i obecnie kierownik restauracji musi cztery godziny dziennie śledzić nad zastawianiami typu „evidencja sprzedaży kawy” czy zeszyt utargów w rozbiórce na pozycje: woda mineralna i piętuska. Dyrektorka VG/596/78 — pieważa z brzegu — przewiduje już dziś, że każdy lokal musi mieć w repertuarze 15 rodzajów drożdży; obowiązuje „obiady domowe”; dyrektorka jest napój gorący z mleka, kefir, zupy mleczne, obowiązuje okólnik w sprawie zakąsek. Góra dyktuje co ma być specjalnością danego zakładu. Rozdzielnik przewiduje jakiego używać gatunku kawy itd. Ciekawe, kiedy znowu dojdzie się do wniosku,

że kierownik lokalu powinien mieć samodzielność, a kucharz ustalać swą specjalność — po czym wszystko zaczyna się od capo.

● Ostatnio zrobiono przegląd zatrudnienia m. in. stu tysięcy osób,



stanowiących część personelu biurowego zarządów gospodarczych. Jednym z rezultatów było zredukowanie o 8 osób liczby wicedyrektorów w Zjednoczeniu Hutnictwa Żelaza i Stali. Zdać się, że dyrektorzy zjednoczeń liczeni będą już nie na szuki, lecz jak jajka — na tuziny.

● Ekipa filmu „Na srebrnym globie”, z którego jakoś nie wyszło, pozostawiła koło Jastrzębiej Góry dwa pałace z desek na plaży i nikt tego nie uprząta. W porcie Władysława zaś stoją po niej dwa stare kutry, wielomilionowej jednak wartości, przerobione na paradne okręty.

MENU	
ZAKŁADY ZIMNE	
DYREKTOR	VG/144/22
DANIA GORĄCE	
DYREKTOR	VG/144/22
NAPJOJE	
DYREKTOR	VG/144/22

gielda samochodowa

Z okazji rekordowego notowania (blisko 1 milion 200 tys. zł za Volvo 244 DLC po 8 tys. km), na warszawskiej giełdzie samochodowej, o czym informowałem niedawno, chciałbym zwrócić uwagę na tak zwany profil produkcji szwedzkiej firmy, która w powszechnym mniemaniu (9 na 10 pytań) jest wytwórczą trwałych i bezpiecznych samochodów. Otóż w 1977 roku procentowy udział poszczególnych wyrobów koncernu Volvo w całości sprzedaży przedstawiał się jak następuje:

Nazwa produktu	1977 rok procent w całości sprzedaży
Samochody osobowe	51
Samochody ciężarowe	25
Autobusy	3
Silniki dla przemysłu okrętowego i innych branż przemysłu	5
Maszyny budowlane dla rolnictwa i leśnictwa	11
Silniki lotnicze	3
Wypożyczenie dla rekreacji	1
Inne	1

Jak widać z zestawienia, nawet firma z taką opinią jak Volvo nie może sobie pozwolić na monokulturową produkcję. Kiedy nie ma popytu na samochody, to jest na maszyny budowlane (nie trzeba wtedy na siłę eksportować samochodów) albo silniki lotnicze i jakoś się koniecznie z końcem wiąże. Volvo nie jest zresztą żadnym wyjątkiem. Podobnie ma się sprawa z Fiatem, Mercedem czy Massey Fergusonem.

Na warszawskiej giełdzie notowano:

FIAT 126p z 1978 roku — 120 tys. zł; z 1977 roku, po 24 tys. km 114 tys. zł; z października 1975 roku, po 33 tys. km — 83 tys. zł;

FIAT 127p z 1973 roku — 155 tys. zł;

FIAT 125p (1500 ccm) z marca 1979 roku, po 290 km — 298 tys. zł;

AK właśnie brzmi slogan reklamowy „Unitry” — zjednoczenia, którego kulturotwórcza rola w naszym życiu nie ulega wątpliwości. I owszem, dając się złapać na lep tego hasła i chcąc osobiście poznać walory krajowego sprzętu elektroakustycznego można „więcej zobaczyć”, a i więcej usłyszeć również.

Zamarzył mi się, a jestem trochę zbażkowany na punkcie jakości odbioru, magnetofon wysokiej klasy. Zakłady Radiowo im. Kasprzaka ku mej radości rozpoczęły w zeszłym roku produkcję takiego sprzętu, opatrzonego do dość zawiłym symbolem M 2408 SD HiFi i wziętą nazwą „Aria”. Publicznie (i za darmo) zobowiązałem się do radiowej audycji „Tele-Radio-Test”, a następnie w grudniowym numerze tygodnika „Przegląd Techniczny — Innowacje”. Narodził gwiazdora nie pominięta również telewizja. Według zapewnienia producenta, w ubiegłym roku miało trafić na rynek 5000 sztuk tych magnetofonów, w roku bieżącym następne 5000. Nie jest to dużo. Cena za to wysoka — 11 600 zł — choć mnie, zapalonego melomana, nie wystraszyła. Zaczynamy pisać z mobilizacją gotówkę. Zaczęły się lwy.

W sklepach stołecznych sprzedawcy o żadnej „Arii” nie słyszeli, w jednym nawet z pobłażliwym uśmiechem poradzono mi, abym sobie sam pospiewał arie, np. przy goleniu. „Wie, że dzwoniła, ale nie wie, w którym kościele” — skomentowano moje starania w sklepie patronackim ZRK przy ulicy Wolskiej. Nie wiedziałem...

Zbyt łatwo uwierzyłem specom z „Tele-Radio-Testu”, którzy wielokrotnie zapewniali, że przedstawiają wyłącznie sprzęt krajowy,

obecnie znajdujący się na rynku. Kiedy zrezygnowany i zgorzkniały dałem wreszcie z początkiem kwietnia za wygraną, zdarzył się „cud” (jak mi się wówczas wydawało). Przechodząc wieczorem, w niedzielę i kwiecień, obok sklepu z artykułami RTV przy ulicy Belskiej 6 na Mokotowie zauważyłem wymarzone cacko. Przetarłem oczy — to nie prima aprilis! Na półce stoi to, czego od dawna szukałem! Nawrócony jeszcze raz na wiarę wielbić „Unitry”, następnego dnia wybrałem w owym sklepie nieodpartą chęć zakupu. I tu mydlana bańka moich nadziei pękła. Dowiedziałem się mianowicie, że sprzęt stojący w państwowych sklepach, na państwowej półce, jest własnością prywatną pana ekspedienta, w związku z czym nie jest do sprzedania za państwową cenę. Mogę jednak dokonać zakupu za skromne 16 000 zł. Kiedy zupełnie obustąpiłem czelnością handlowca (handlarza?) zwróciłem się do kierownika sklepu z prośbą o wyjaśnienie sprawy, skwitowano ją wzruszeniem ramion, a jedynym sukcesem było polecenie schowania (ukrycia?) magnetofonu pod ladę, co też wyszło niezadowolony, rzekomy „właściciel” opieszale zaczął czynić skromną satysfakcję rozbijając słowami: „Zadowolony jesteś, kuzo? Spływasz stąd, bo dam kopa w d...”. Wystraszony tak męską postawą, poddałem tyły.

Informacje o tym skandalicznym zajściu postanowiłem podać do wiadomości Państwowej Inspekcji Handlowej. Ale nie sam, aby uniknąć dziennikarskiej „protekcji”, ale za pośrednictwem kolegi. Obiecano zbadanie sprawy. W środę, 4 kwietnia, żądny gotówki handlowiec miał wreszcie okazję sprzedać magnetofon, tyle że klientem okazał się in-

spektor PIH. Nie był to z pewnością dla ekspedienta dobry interes.

Cały ten łańcuch zdarzeń nie nasstraja optymistycznie, choć, obiektywnie rzecz biorąc, ma wiele walorów poznawczych. Jesteśmy bowiem świadkami, jak tu i ówdzie handel poszukiwanymi i nieosiągalnymi w normalnej sprzedaży artykułami wychodzi z podziemia, zrzucając system sprzedaży „spod lady” (który i tak daje ekspedientom znakomite korzyści finansowe — łapówki od tych, którzy mają mało czasu, a dużo pieniędzy) i przechodzi do „brania na żywca”. Znaczący to niebezpieczeństwo przed upadkiem (np. podczas kontroli PIH) powoli zamiera. Naturalna śmierć umiera też na placówkach obracających tego typu towarami jakakolwiek kultura obsługi klienta, który nie dość, że dawno przestał być „panem” (zgodnie z historyczną już dziś dewizą „Klient nasz pan”), to stał się po prostu łajzą, którą krewki handlowiec uważa za słuszną potraktować kopniakiem.

Nasuwają się też pytania: jaki jest cel szeroko zakrojonej reklamy wyrobów, których nigdy kupić nie można? W równym stopniu służy ona oświeceniu szarego człowieka mnogością typów i modeli sprzętu, co rozpamiętaniu na rynku popytu trafiającego w próżnię, powodując rozgorzczenie potencjalnych nabywców. Nie mówiąc już o finansowej stronie całej sprawy.

Na zakończenie zagadka: jak stwierdzić, jakie szlagiery mają obecnie na taśmie krajowej produkcji sprzętu elektroakustycznego? Odpowiedź: czytać pilnie rubrykę „sprzedam” w „Życiu Warszawy”, „Poste”.

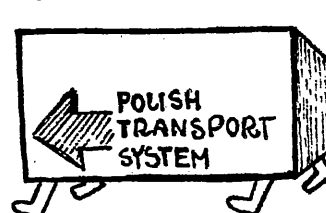
Slogan reklamowy „Unitry”, jak widać wyżej, trafia w dziesiątkę, tylko tarcza nie ta co trzeba.

KRZYSZTOF FRONCZAK

Administracja portu monitoruje, co z tym majątkiem zrobić, ale PP „Film Polski” nie odpowiada. „Głos Wybrzeża” sugeruje, że oszczędzając tam teraz na znaczkach pocztowych.

● Fragment menu z baru „Dworcowego” w Rumii: „Zrazy zawiązane (z mrożonki); Goląbki (z mrożonki); Kottlet mielony (z kooperacji)”. Już dawno nam się zdawało, że z kooperacji zrobiono kottlet mielony, nie stety zupełnie niestrawny.

● W Krakowie-Krzyszowicach jest stacja kontenerowa PKP, gdzie się przeladowuje kontenery z potągów na samochody lub vice versa. Robi to suwnica kupiona w Austrii i ona się zepsuła. Specjaliści od niej są we Wrocławiu i ich wezwano. Specie nie mogli zrobić z braku przysługujących do lokalizacji uzgodnienia. Okazało się wtedy, że przysługują i specjaliści są w Krakowie. Tymczasem zamiast suwnicy zaczął pracować dźwig. Wydajność



przeładunków spadła o 70 proc. Liczne towary nie dotarły do sklepów. Potem uruchomiono suwnicę, a

awarii uległ dźwig. Przy okazji tych perturbacji wykryte zostało, że na stacji leży druga taka sama suwnica importowana z Austrii. Kupiono ją rok temu. Brakuje środków na zmontowanie gotowego urządzenia. Suwnicę żre rdza. Koszty dziesięciomiesięcznej awarii nie są mniejsze niż montażu drugiej suwnicy.

● Z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka, Zjednoczenie Przemysłu Jedwabniczo-Dekoracyjnego w Łodzi wydało deklarację: „Zagadnienie szeroko rozumianej opieki nad dzieckiem zawsze stanowiło odcinek działalności socjalno-bytowej i kulturalno-oświatowej... Funkcję koordynatora w tym zakresie przejął powołany w tym celu przez Naczelny Dyrektora Zjednoczenia — Branżowy Komitet, który jeszcze w ubiegłym roku sporządził szczegółowy program... „Specjalny komitet, deklaracja dla prasy — wszystko w związku z takimi to konkretnymi poczynaniami: zastosowanie okolicznościowych napisów czy emblematów na wyrobach pasmanteryjnych i apaszkach, wysłanie na „Jarmark Dominikański” wyrobów dla dzieci oraz „wzobogacenie treści pracy z dziećmi własnych pracowników”. Jak się jest tak zajętym robeniem szumu — chyba już nie starcza czasu, żeby wyrobić jakieś towary.

● Spółdzielnia „Celowa” wypuściła na rynek z dawną oczekiwaną skarpetki — podkolanówki za 800 zł para. Jest to bowiem, jak wyjaśnia spółdzielnia, wyrób artystyczny. Kat-

kulacja: materiał — 57 zł, robocizna — 292 zł, narzuty — 121 zł. Koszt wydziałowy, koszty zarządu i administracji, marża hurtowa i detaliczna wynoszą 303 zł. Ciekawe, dlaczego kiedy wyrób jest artystyczny — prace urzędnicze stoją się kosztowniejsze? Na przykładzie tym widać, jak wszystkim się opłaca obracać drogiymi wyrobami i jak od tego obracania cena detaliczna rośnie.



Rys. M. ROŻBICKA-HANKE



(jod) Na Targach Łipskich

Fot. S. ZUBCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

tygodnik społeczno-gospodarczy

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stefan Ancerewicz, Jacek Boldak, Stanisław Chelstowski (I zastępca redaktora naczelnego), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński, Jerzy Dzięciołowski (zastępca redaktora naczelnego), Lech Froelich, Maria Gawrońska (redaktor techniczny), Jan Głowczyński (redaktor naczelnego), Teresa Gornicka, Aleksander Jedrzejczak, Paweł Kapusiński, Krzysztof Kraus, Anna Kusko, Joanna Kwiek, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Eugeniusz Możejko, Andrzej Nalecz-Jawęcki, Grzegorz Pisarski, Andrzej Piwoński (red. graficzny), Zdzisław Regiel, Marian Sikora, Karol Szwarc (zastępca redaktora naczelnego), Elżbieta Tadeusik (zastępca sekretarza redakcji), Stefan Zubczewski (fotoreporter).

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7 — 00-38 Warszawa). Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 28-04-23, zastępca redaktora naczelnego 51-53-55, sekretariat 51-53-52, redakcja 28-53-43, 28-53-51. Nie zamówionych artykułów redakcja nie wraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo ich skracania.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 24-24-11.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 24-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 23 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następnego; do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie — 60 zł, półrocznie — 104 zł, rocznie — 208 zł. Jednostki gospodarki uosobionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady zamawiające prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo, ul. Towarowa 24, konto PKO nr 1581-71. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-938 Warszawa, ul. Towarowa 24, Zam. 1035 C-101.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 2/3, Numer indeksu 30506.